

Weir Theresa

Druga szansa

Po wielu latach małżeństwa Molly Bennet pakuje walizkę i ucieka - od wspomnień, męża i kobiety, którą się stała. Kiedy jest u progu nowego życia, dramatyczne wydarzenia zmuszają ją do powrotu - mąż, mężczyzna zawsze silniejszy od Molly, teraz nieoczekiwanie jej potrzebuje. Oddałby wszystko, by odzyskać żonę, ale nie chce jej litości. Molly i Austin stają przed drugą szansą na szczęście.

Rozdział pierwszy

Facet nigdy nie powinien się żenić z kobietą, która kocha innego. Nawet jeżeli ten drugi nie żyje. Zwłaszcza gdy ten drugi nie żyje.

Co mnie opętało? - zastanawiał się Austin. I dlaczego akurat teraz zaczął się zastanawiać nad swoimi stosunkami z żoną, skoro nie robił tego już od wielu lat Austin Bennet wracał ze zjazdu maklerów w Chicago. Skreślił srebrnym Mercedesem na podjazd. Deszcz bił w dach samochodu; wycieraczki nie nadążały z wycieraniem strug wody.

Dom.

Jak to dobrze, że już wróciłem, pomyślał zdziwiony swoimi uczuciami.

Dawno temu, gdy ich córka Amy była jeszcze mała, próbował namówić żonę do przeniesienia się do większego domu w lepszej okolicy, z dala od młodych mieszkańców uniwersyteckiego miasta La Grange w Iowa, ale Molly nie chciała, więc dał spokój. A teraz zdał sobie sprawę, jak spieszy, że tu zostali. Nowy dom niczego by nie zmienił, na nic by nie wpłynął. Molly byłaby z nim ciałem, ale nie duchem, nie sercem.

Jesteś tu, ale tak naprawdę wcale cię tu nie ma - powiedział kiedyś po tym, jak się kochali. Zamiast się z nim pokłócić, tylko przewróciła się na bok i zasnęła.

Światła reflektorów samochodu przecięły strumienie południowej ulewy i oświetliły podwójny garaż. Nacisnął guzik pilota otwierającego drzwi - był umieszczony w pojeździe nad głową kierowcy.

Bez skutku.

Spróbował jeszcze raz.

Znów nic.

Powiedział Molly, żeby włożyła nowe baterie do pilota. Dlaczego ona go nie słucha? Czy zawsze musi sam wszystko robić?

Owładnęło nim znajome uczucie gniewu i złości. Walnął dłonią w klakson - trzy długie sywały. Poczekał dwie sekundy i znów zatrąbił.

Ani śladu Molly.

Cieszył się na powrót do domu, na myśl o chwili, gdy wejdzie do środka. Wiedział, że może przeczekać ulewę, ale czekanie nie leżało w jego naturze. Dlatego wyłączył silnik, wyjął kluczyki, szeroko otworzył drzwi pojazdu i wyskoczył na zewnątrz; biegł szybko, ochlapując nogawki wyjściowych spodni; zimne krople przemoczyły ramiona marynarki.

Otworzył z klucza boczne drzwi garażu i sięgnąwszy za framugę uderzył pięścią w umieszczony na ścianie przycisk automatycznie otwierający garaż. Urządzenie zadziało i wrota zaczęły się wolno uchylać. Biegiem wrócił przez deszcz do samochodu.

Nim Austin ustawił starannie pojazd obok samochodu kombi żony, już się uspokoił. Z tylnego siedzenia wziął aktówkę i małą torebkę z białego papieru. Znajdował się w nim grzybo-ptak, którego kupił dla Molly. Po raz pierwszy • widział coś takiego: zafascynowało go realistyczne, precyzyjne wykończenie i zdumiało, że ze zwykłej huby można zrobić coś tak ładząco podobnego do rzeczywistego ptaka.

Jednak teraz na myśl o wręczeniu prezentu poczuł się zażenowany, niepewny. Przecież to nie Boże Narodzenie ani urodziny Molly. Nie robili sobie 3 żoną niespodzianek. Co go napadło, by kupić tego ptaka? Chyba tylko tó, że na jego widok pomyślał o niej. Rozzłoszczony na siebie, że uległ chwilowej słabości, postanowił ukryć upominek.

Idąc w stronę kuchennych drzwi zatrzymał się na chwilę i przeciągnął dłonią po mokrym zderzaku - szukał maleńkiego wgłębienia, jakie mogło powstać, gdy brat Molly uderzył tu kijem golfowym. Zderzak był gładki. W warsztacie spisali się na medal.

Nikt nie rozumiał, co ten samochód znaczy dla niego, nikt nie rozumiał, że jest, dla niego czymś więcej niż jedynie oznaką dostatku i pozycji. Był dowodem, że stał się w życiu kimś - wbrew ojcu i wbrew temu wszystkiemu, co mówił.

DRUGA SZANSA

Drzwi kuchenne były zamknięte na klucz. Zdziwił się. Dziwne. Molly nigdy nie zamykała drzwi. Austin nieustannie robił jej

wyrzuty właśnie za niezamykanie ich na klucz. Po okolicy kręci się tylu wariatów. Czyżby wreszcie zaczęła go słuchać? Mało prawdopodobne.

Ściągnął przemoknięte buty, zdjął marynarkę i strzepnąwszy z niej krople wody, wyłowił klucze z kieszeni. Otworzywszy drzwi wszedł do środka.

Molly nie należała do żon, które przedstawiają meble lub przemalowują pokój.

Austin nie musiał się obawiać, że przekroczywszy próg znajdzie się w obco wyglądającym wnętrzu. Wchodził pewnie, wiedząc, że wszystko będzie na swoim miejscu. A o tej porze znajdzie ją w kuchni przygotowującą posiłek.

Świat pozorów.

Zaskoczyłby Molly, gdyby jej powiedział, z jaką radością przyjąłby nowy kolor ścian lub przestawienie paru rzeczy. Bo znaczyłoby to, że interesuje ją ich wspólne życie i że jest kimś więcej niż tylko duchem.

Austin szedł przez kuchnię do znajdującego się obok gabinetu, a jego mokre skarpetki zostawiły ślad na płytkach PCW.

Ciemno. Nie pachnie gotowane jedzenie.

- Molly! - zawołał. Gdzież ona się, u diabła, podziała?

Położył aktówkę i papierową torebkę na biurku, potem zawiesił marynarkę na oparciu krzesła.

- Molly!

Wolnym krokiem wrócił do kuchni. Spojrzał przez rozsuwane szklane drzwi: ulewa już się kończyła. Deszcz przeszedł w mżawkę. W głębi ogrodu Austin widział zaniedbany ogród różany Molly.

Zmarszczył brwi na wspomnienie, jak wiele miesięcy temu Molly oddała Amy najcenniejsze krzaki - krzyżówki, które sama wyhodowała. Gdy Austin zapytał, gdzie się podziały róże, wyjaśniła mu, że słabo rosły i potrzebowały nowego miejsca.

I kiedy tak stał przed szklaną taflą, jego spojrzenie odruchowo przesunęło się w stronę karmników dla ptaków. Puste.

Molly nigdy nie dopuszczała, by w karmnikach pokazało się dno. Po Amy i jej córeczce Melindzie największymi miłościami jej życia były róże i ptaki - właśnie w takiej kolejności.

Gniew ustąpił, na jego miejscu pojawił się niepokój. Austin gwałtownie obrócił się na pięcie; serce mu łomotało. Ruszył długimi krokami, prawie biegł przez pokoje. - Molly!

Wczoraj wieczorem zastanawiał się, czy do niej nie zadzwonić, ale zwyciężyła duma. Nie chciał, by Molly wiedziała, że za nią tęskni. Powinien był zadzwonić. Coś się stało. Może coś złego. Może...

Pędził przez kuchnię i jadalnię, wpadł do salonu, w pustym domu jego oddech wydawał się bardzo głośny.

Wszystko na swoim miejscu. Wszystko tak, jak być powinno.

Stał już na trzecim stopniu pokrytych wykładziną schodów, gdy wtem zatrzymał się i wrócił do salonu. Uświadomił sobie bowiem, że coś się zmieniło, a nie od razu zdał sobie z tego sprawę. Na kredensie jak zwykle leżał biały, lniany bieżnik. Zawsze stały na nim zdjęcia w ramkach.

Większość fotografii zniknęła. Zostały tylko zdjęcia Austina.

Odwrócił się i po trzy stopnie wbiegł po schodach wykrzykując imię żony. Na górze, w sypialni, którą dzielili od ponad dwudziestu lat, znalazł posłane łóżko i swoje kapcie stojące porządnie obok. Na toaletce zobaczył złożoną kartkę papieru wyrwaną z notesu, a na niej delikatnym pismem Molly było skreślone jego imię. Wziął kartkę do ręki i rozłożył.

Drogi Austinie!

Przebac mi, że jestem takim tchórzem, ale muszę to zrobić właśnie tak. Nie umiałabym stanąć z Tobą twarzą w twarz. Jesteś zbyt mocny i zbyt mnie onieśmielasz. Boją się Ciebie. Tak. Wreszcie to powiedziałam. Boją się Ciebie. I znużył mnie łak I znużyła mnie moja słabość. Zmoczyła mnie Twoja ciągła dezaprobata. Proszę, nie próbuj mnie odnaleźć. Skontahuję się z Tobą, gdy nabiorą sił, kiedy lepiej będą umiała podjąć wyzwanie, jakim będzie przeprowadzenie rozwodu.

Nie ugotują Ci już więcej obiadu ani nie odbiorą garniturów z pralni chemicznej. Będziesz musiał sam to zrobić. Jedzenie znajdziesz w lodówce i zamrażarce.

Pamiętaj, że śmieci zabierają w czwartki. Worki musisz

12

DRUGA SZANSA

zostawiać przy krawężniku, bo inaczej śmieciarze się nie zatrzymują, i nie pij za dużo wina. Wiesz, że potem boli Cię głowa.

Molly

Austin trwał bez ruchu.

Odeszła. Molly od niego odeszła.

Pozwolił, by list wysunął mu się spomiędzy palców.

Onieśmielam...! Boję się Ciebie...! Rozwód...! Nie, to nieprawda.

Rzucił się do schowka i otworzył go jednym szarpnięciem. Wypadł niestarannie włożony neseser i uderzył go w nogę. Przejrzał torby na półkach - stwierdził, że zniknęła jej zniszczona, stara walizka.

Wiele lat temu próbował namówić Molly, by wyrzuciła ten zabytek, ale się nie zgodziła. Kurczowo trzymała się wyświechtanej walizki, podobnie jak kurczowo trzymała się wspomnień o nieżyjącym kochanku. Z gorliwym zapamiętaniem.

Niczym od dawna cierpiąca męczennica.

Molly.

O, mój Boże. Odeszła. Naprawdę odeszła. Zatoczył się i ciężko usiadł na łóżku.

I co ja teraz pocznę? - zapytał samego siebie. - A jutro? Za tydzień? Poczul, że dom zionie pustką. Próbował sobie wyobrazić, jasię po nim porusza, je posiłki, śpi, szykuje się do pracy. Dziwne. Nierealne. Bolesne.

Siedział wpatrując się w przestrzeń, a słońce kładło coraz dłuższe cienie na podłodze.

Może to i lepiej. Ich małżeństwo przyniosło mu tylko cierpienie. Gdyby zraniła go celowo, byłoby mu łatwiej, bo to by przynajmniej znaczyło, że o nim myśli. To by znaczyło, że on istnieje. Ale wraz z upływem czasu jej całkowity brak reakcji na wszelkie jego słowa czy działania sprawił, że coraz częściej wybuchał w najlepiej sobie znany sposób: obrzucając ją obelgami. I gdy ją atakował, miał nadzieję, że zacznie się z nim kłócić, oddawać ciosy, że jakoś zareaguje, okaże jakieś uczucia.

Theresa Weir

Ale nie docierały do niej żadne słowa czy gesty, nawet wtedy, gdy uprawiali miłość.
A może tylko seks?

Gdy tak siedział, zaczął przemawiać do siebie. Niczym ofiara głębokiego szoku, zmusił się do zapomnienia negatywnych aspektów sytuacji i skupienia na pozytywnych. Trzeba tak robić, żeby nie oszaleć.

Potrafi żyć bez niej. Oczywiście, że potrafi. Myśl o dobrych stronach, nakazał sobie. Będzie mógł pić piwo i jeść chrupki ziemniaczane w salonie. , Jeżeli nie będzie miał ochoty na prysznic, to go nie weźmie. Pójdzie spać brudny. I inne kobiety. Myśl o innych kobietach. Nie wyłysiał ani nie utył, jak wielu jego kolegów. Kobiety w biurze zawsze do niego lgnęły. Teraz będzie mógł skorzystać z okazji. Jeżeli zechce, co noc będzie miał inną.

Powinien był zostać w Chicago na przyjęciu na zakończenie konferencji. Poznał koleżankę po fachu, która dała mu wyraźnie do zrozumienia, że ma ochotę na parogodzinne sam na sam we dwoje.

Co mu przychodzi do głowy? Przecież to on sam nie lubi, gdy ktoś je lub pije w salonie. I nigdy żadna kobieta nie działała na niego tak jak Molly. Nie wiedziała o tym - i nie przyznałby się jej do tego za skarby świata - ale w dniu ich ślubu był prawiczkim. Ona nosiła pod sercem dziecko innego mężczyzny, a on nigdy nie spał z żadną dziewczyną.

To on się jej bał.

Była taka piękna, taka smutna, taka samotna. Chciał stać się w jej oczach bohaterem, chciał ją ocalić. Ale nic z tego nie wyszło. Przeliczył się, bo ona nigdy go nie pokochała.

Zakrył twarz dłońmi.

Dlaczego ludzie marnują sobie życie budując w umysłach świątynie, do których nie prowadzi żadna droga? Dlaczego oddają w nich cześć duchom przeszłości i nie spełnionym marzeniom? Molly zawiniła tworząc taką świątynię i nosząc w sercu żalobę po takim duchu. Dla niej całe to małżeństwo stanowiło jeden wielki wyrzut sumienia. A to cholernie trudne zadanie - być czymś wyrzutem sumienia.

Potrafię żyć bez niej, powtarzał sobie w duchu. Czyż nie żyłem bez niej przez całe nasze nieautentyczne małżeństwo? Na pewno się ze mną nie rozwiedzie. Naprawdę? Wróci.

Naprawdę?

Położył się na boku, aż materac ugiął się pod jego ciężarem, i wyciągnął

DRUGA SZANSA

portfel z tylnej kieszeni spodni. Między prawem jazdy, plikiem kart kredytowych i szkolnych zdjęć Amy oraz małej Melindy znalazł czarno-białą fotografię przedstawiającą jego i Molly. Została zrobiona przed gmachem sądu w dniu ich ślubu. Oboje uśmiechnięci, wyglądali na szczęśliwych, a on obejmował ją ramieniem. Czy tego dnia myślała o swoim nieżyjącym chłopaku? Czy pod jej uśmiechem nie krył się smutek?

Powinien był posłuchać siostry, powinien był posłuchać tych wszystkich ludzi, którzy mu mówili, że popełnia szaleństwo żeniąc się z Molly.

Czy ludzie zakochują się w sobie, pobierają i na zawsze już zostają razem? Przecież powinno tak być. A jednak nie znał nikogo takiego. Co, u diabła, stało się z ludźmi? Zachowują się jak rozpuszczone szczeniaki. Czy mają za łatwe życie? A może są ofiarami społeczeństwa, w którym wszystko można wymienić na nowszy model? Westchnął. Rzadko pozwalał sobie na filozofowanie. Filozofia jest dla mięczaków, ludzi, którzy są słabi i którzy się boją. A poszukując odpowiedzi pogarszają jeszcze swoją sytuację. Jeżeli facet walnie się młotkiem w palec, to poczuje ból. Nie musi znać mechanizmów bodźców nerwowych. Boli i już.

Palcami powiódł po twarzy Molly, a potem aż do zaokrąglonego ze starości brzegu fotografii.

W sercu poczuł ból; tak boli pustka, puste życie. Ucisk. Straszliwe Ogołocenie duszy. Molly. Odeszła. Cisza.

Wokół było tak cicho.

Czy będzie chciała dostać dom? Samochód? Nie, pomyślał zdecydowanie. Nic od niego nie weźmie. Nigdy od niego niczego nie chciała. I na tym właśnie polegał problem. Cisza. Zbyt cicho.

Słyszał swój własny oddech. I gdy tak siedział, kropla wody spadła z włosów i potoczyła się w dół po karku.

Amy. Też odeszła. Dorosła. Wyszła za męża. Jak to możliwe? Przecież zaledwie wczoraj odpiął kółeczka od jej roweru. Parę dni temu biegł obok niej po chodniku...

Puścił ją, ale miał dłoń tuż przy siodełku. I gdy myślała, że ją trzyma, jechała prosto i dobrze. Pchana wiarą. Pchana ufnością.

- Nie puszczaj! - wołała.

- Trzymam cię! - odpowiedział. Małe, niewinne kłamstwo, właściwie prawda, bo gdyby tylko się przechyliła, mógłby natychmiast ją chwycić.

- Nie puszczaj!

A potem zmieniła żądanie, jak każde dorastające dziecko.

- Puść! Ja sama! Już umiem!

- Jesteś pewna? - bał się odsunąć rękę dalej; bał się, że upadnie.

- Puść!

Rower pomknął do przodu. Jechała bardzo szybko. I przerażona, że jest sama, zaczęła krzyczeć: -Tato! Tato!

Biegł z całych sił, ale pomknęła za daleko do przodu. Nie zdążył jej dopaść, by zapobiec upadkowi...

Zaniósł ją do domu łkającą w jego ramionach, miękkie, dziecinne włosy zlepione krwią, skóra tak przezroczysta, że widział na skroniach cieniutkie, błękitne żyłki.

- Tatusiu, dlaczego mnie puściłeś? - pytała łkając.

- Bo mnie prosiłaś.

- Ale ja myślałam, że mnie złapiesz. Jesteś tatą.

Gdy Molly zobaczyła krew, zbladła bardziej niż Amy. I popatrzyła na niego, nareszcie na niego popatrzyła. A na jej twarzy malowała się złość i coś zbliżonego do nienawiści. Skrzywdził najdroższą jej istotę, kogoś, dla kogo żyje.

Mówiła mu, żeby nie odkręcał bocznych kółek, póki Amy nie nauczy się dobrze jeździć, ale on je zdjął - sekret ojca i córki.

Dziś Amy jest dorosła. Nie potrzebuje kółek. I nie potrzebuje tatusia. Założyła rodzinę, ma własną córkę.

Został sam.

Jeszcze raz spojrzął na trzymane w dłoniach zdjęcie. Postacie rozplływały się przed jego oczami. Poczł jęk rodzący się w głębi piersi, poczul ucisk w gardle.

Łaskotanie pobiegło od dłoni w górę, aż do ramienia. Patrzył, jak fotografia wysuwa się z odrętwiałych palców.

Dziwne wrażenie ustąpiło po dziesięciu minutach. Ruszając się bardzo powoli, wstał z łóżka i zszedł na dół nakarmić ptaki Molly.

Rozdział drugi

Upłynął rok...

Molly Bennet leżała na plaży na Florydzie czując gorące promienie słońca na nagim brzuchu. Nigdy wcześniej nie nosiła bikini, ale teraz była nową osobą, inną niż ta dawna Molly, dlatego włożyła taki kostium. Wprawdzie nie z cienkich paseczków - na to zabrakło jej śmiałości - ale dwa barwne, wzorzyste, skąpe kawałki materiału, które z trudem -osłaniały cokolwiek. Z nowym kostiumem przyszedł i nowy kolor włosów. Zniknął mysiobrązowy odcień, z którego Austin tak bardzo lubił kpić.

Zastąpił go głęboki mahoń.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by ukołysały ją dźwięki płynące z plaży, a ciepło promieni słonecznych przez skórę i mięśnie docierało aż do kości.

W potężnym szumie oceanu niemal całkowicie tonęły krzyki mew i rozkoszne nawoływania dzieci.

Rodzina.

Cieszę się takim właśnie życiem rodzinnym, o jakim zawsze marzyła dla siebie, Austina i ich córki. Rodzina składająca się z matki i ojca, którzy traktują siebie jak równych, razem śmieją się i płaczą, razem wyjeżdżają na wakacje. U nich tek nie było. Austin się nimi nie interesował. Zbyttnio zajmowała go praca i on sam.

Austin.

Gdy tylko przyszedł jej na myśl, natychmiast pojawiło się poczucie wtny - to przekleństwo kobiet - i zakłóciło rajski spokój wokół niej. Kiedy przypominała sobie o mężu, łapała się na tym, że zastanawia się, jak on sobie radzi.

10

Problem polegał na tym, że nie załatwiła wszystkiego ostatecznie. W ciągu roku nie odezwała się do męża i już najwyższy czas, by wystąpić o rozwód. Ale bała się tego. Austin był zbyt władczy.

Ktoś stanął nad nią zasłaniając słońce.

- Mam nadzieję, że nasmarowałaś się kremem z filtrem - usłyszała znajomy, głęboki głos z cieniem australijskiego akcentu - jego właściciel spędził tam piętnaście lat. - Choć właściwie jesteś już tak opalona, że się pewnie nie spalisz.

Uniosła się opierając na łokciu i zacięła dłonią oczy.-

To Sean Christian zasłaniał słońce. Był jednym z tych mężczyzn, po których nie widać wieku i wyglądają równie pociągająco i energicznie jako sześćdziesięciolatek jak i dwudziestoparolatek. Opalony, wysoki, bosy, w krótkich spodenkach, muskularny, zbudowany jak dobry pływak, z męską pewnością siebie, której brakowałoby młodszemu mężczyźnie. Molly pociągał w nim nie tylko jego wygląd, lecz również ton pewnej ironii w stosunku do siebie samego.

Stał z dłońmi opartymi na biodrach, a wiatr rozwiewał jego długie, siwiejące włosy. Na koszulce i szortach zostały okruchy mokrej gliny.

W ciągu kilku miesięcy ich znajomości dowiedziała się, że Sean jest wdowcem, ma dorosłe dzieci i wnuki. Dziadek. Kiedy powiedziała, że dochowała się rocznej wnuczki, głośno wyraził niedowierzanie.

W tej chwili wzrok Seana wędrował z zachwytem po jej pełnym biuście, płaskim brzuchu i długich nogach; Austin nigdy tak na nią nie patrzył. -[!]>

- Czy mogę się do ciebie przyłączyć? - spytał.

- Nie rzeźbisz dzisiaj? - zagadnęła myśląc o cudownych dziełach, które rodziły się w jego wyobraźni. Syreny, dziwne węże pokryte łuskami i inne morskie stwory.

- Widziałem, jak szłaś na plażę. I potem już nie mogłem skupić się na pracy - rozłożył obok niej wielki ręcznik, ściągnął koszulkę i położył się przy Molly.

Miał twardy, płaski brzuch niczym nastolatek, a siwiejące włosy pokrywały opalony tors, gęściej przy drobnych sutkach.

Zapatrzyła się na niego. Gdy zdała sobie z tego sprawę, przetoczyła się na brzuch, zawstydzona tak niezwykle u siebie śmiałością.

-11

- Mogę cię nasmarować kremem? - zapytał wyciągając z torby plazowej dużą tubkę. Wycisnął kosmetyk na rękę i wcierał w jej plecy, jego dłoń poruszała się z hipnotyzującą wręcz zmysłowością. Nim zdążyła zaprotestować, rozpiął stanik, tak że mógł jednym pociągnięciem rozprowadzać krem od karku aż po dół pleców, a potem skoncentrował się na bokach, gdy przyciskała do piasku pełne piersi.

- Molly, co z dzisiejszym wieczorem? - Długie, czułe palce artysty przesuwały się po jej rozgrzanej skórze. Fale oceanu za nimi były mocno, rytmicznie.

- Jestem mężatką- odpowiedziała tak samo jak przy poprzednich okazjach, gdy zapraszał ją na kolację na swoją żaglówkę.

- W separacji. To co innego. Przyjdź, Molly. Upiekę rybę na grilu, wypijemy trochę wina. Obejrzymy zachód słońca.

Może zawsze tak uwodził, a może mówił prawdę, jednak to następne słowa zrobiły na niej wrażenie.

- Jestem samotny. Samotny.

Ona też była samotna i choć było to z wyboru, zaczynała ją męczyć puste, jałowe życie. Ubiegły rok spędziła jak Cyganka, bez celu, planu, sensu. Parę godzin dziennie sprzedawała kwiaty w kwiaciarni na molo, ale nie chce spędzić reszty życia handlując cudzymi roślinami. Musi podjąć decyzję. I właściwie może zacząć już teraz. Od dzisiejszego wieczoru.

Kolacja. To będzie coś więcej niż kolacja. Siedzący obok niej mężczyzna przebudził w niej zmysły.

Jego dłonie powędrowały jeszcze raz w dół pleców, a palce wsunęły się pod wąski pasek bikini, dotykając krągłych pośladków.

- Miłe to... ale wystarczy - dodała z trudem łapiąc oddech, a serce łomotało jej w piersiach. - Dzięki.

Zręcznie zapiął stanik; pod jego dotknięciem dostała gęziej skórki mimo upalnego słońca Florydy.

- Chciałbym cię zapamiętać palcami - wyjaśnił. - Wtedy mógłbym cię wyrzeźbić.

Wyobraziła sobie te dłonie poruszające się po jej nagim ciele, wsuwające się w uśpione, tajemne zakamarki. Aż się zachłysnęła powietrzem.

- Co ty na to, Molly?

Przewróciła się na plecy i popatrzyła mu prosto w oczy - skupione źrenice pełne zmysłowych obietnic.

- Dobrze .

Próbował ją namówić, by poszła z nim od razu, ale się nie zgodziła. Czowała się jak młoda dziewczyna czekająca na randkę, aż wrzało w niej z trudem tłumione podniecenie. Musi to zrobić jak należy. Wróci do małego, funkcjonalnego mieszkania, weźmie prysznic, będzie się głowić nad tym, w co się ubrać, a potem starannie się umaluje i uperfumuje.

Musi wszystko zrobić jak należy.

Obiecał, że po nią przyjdzie i razem przespacerują się plażą do przystani, gdzie trzymał żaglówkę.

Wstał pociągając ją za sobą na równe nogi. A potem podniósł wielki ręcznik plażowy i narzucił go na ramiona niczym pelerynę sięgającą do połowy łydek. W jego oczach widziała pożądanie równe jej własnemu, a może nawet większe.

Przytrzymując dłońmi krawędzie materiału, pociągnął ją ku sobie i zakrył przed oczami reszty plażowiczów. Dotknął jej rozgrzanej skóry, zmiotł piasek z szyi, powiódł po ramieniu. Opuszkami palców gładził krągłość jej piersi. Czowała, jak twardnieją sutki pod cieniutkim kostiumem. Pieścił nabrzmiałą pierś i posunął dłoń dalej, ku brzuchowi.

- Jesteś piękna - szepnął. - Taka pociągająca.

To ostatnie słowo wymówił z silnym australijskim akcentem i aż jej się zakreśliło w głowie.

- Pragnę ciebie&Pragnę od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem sprzedającą kwiaty na molo.

Położyła mu dłonie na ramionach. Wyczuwała pod palcami twarde mięśnie, dotyk naprężonego, wygimnastykowanego ciała przytulonego do niej.

Dłoń Seana przesunęła się niżej, palce dotarły pod małeńki trójkąt materiału i pogładziły wygoloną skórę.

Zamknął oczy. Widziała, jak pulsuje tętnica na jego szyi.

- Czy ty mnie pragniesz? - spytał urywanym głosem.

Dawna Molly uciekłaby w tym momencie przerażona, pełna obaw, że nie ma w niej namiętności i nigdy nie zdoła zaspokoić kogoś takiego jak Sean. Ale nowa Molly przytuliła się mocniej. Piasek zachrząścił pod jej stopami.

- Tak - odparła bez cienia wahania.

13

Molly wzięła prysznic, a potem szybko ubrała się w białe, bawełniane szorty i kolorową bluzkę, wszystko nowe, łącznie ze zmysłową bielizną. Ręce jej drżały, gdy nakładała tusz do rzęs i szminkę. Właśnie perfumowała przeguby dłoni, gdy zadzwonił telefon.

- Mama? - usłyszała.

Serce w niej zatrzepotało. Po drżącym głosie Amy domyśliła się, że coś się stało.

Coś bardzo złego. Ścisnęła słuchawkę w dłoniach i czekała na następne słowa córki.

- Tato miał wylew.

Rozdział trzeci

Wylew?

Palce Molly zacisnęły się na słuchawce. To jakaś pomyłka. Austin nigdy w życiu nie chorował. Sprawiał wręcz wrażenie, że posiada nadludzką odporność na wszelkie dolegliwości, nawet przeziębienia.

- Przez parę dni ani do nas nie dzwonił, ani nie zaglądał - wyjaśniała Amy napiętym, przejętym głosem.

Amy, tak zwykle opanowana i trzymająca wszystko pod kontrolą.

- Pojechałam do domu... - znów urwała - i znalazłam tatusia... z... tyłu, na podwórku. Austin miał wylew.

- Było już ciemno. Padało. On... był... - westchnienie, potem drugie. Kolejne słowa wymówiła szybko, wręcz wybiegały z jej ust, jakby chciała je z siebie wyrzucić, nim się całkowicie załamie. - ...na ziemi. Myślałam, że nie żyje.

Molly coś ścisnęło za gardło. Austin miał wylew.

I gdy przekonywała siebie, że to niemożliwe, przeraźliwie jasno dotarł do niej cały koszmar tej sytuacji.

- Leży w szpitalu na łóżku i patrzy w sufit. Nie może mówić. Nie może ruszać nogami. Tylko jedną ręką. - Głos Amy znów się załamał.

Biedna Amy. Moja biedna Amy.

- Och, kochanie...

Dla Molly wyjazd na Florydę był najtrudniejszą decyzją w życiu, ponieważ

musiała zostawić córkę i małą Melinę. A teraz dzieliło ich dwadzieścia tysięcy kilometrów. Cóż za okropne uczucie. Zwłaszcza że macierzyństwo było najwspanialszym okresem w życiu Molly. Jasny, cudowny promień w szarej egzystencji. Dorastanie Amy i jej wyprawka okazały się ogromnie bolesne i matka wciąż nie była pewna, czy całkiem się po tym pozbiła. Przelać na dziecko wszystkie swe uczucia, a potem patrzeć, jak ono odchodzi, zostawia wszystko za sobą... Tak trzeba, ale to boli. I ten ból został z nią na zawsze.

Teraz Amy jej potrzebuje. A Molly się obawiała, że córka już nigdy więcej nie będzie jej potrzebować.

Ale czy potrafi wrócić? Nawet dla Amy?

O mój Boże!

Nie prosz o to. Błagam, nie prosz.

- Tatusz nie wie, że dzwonię. Nie chciałby, żebym ci powiedziała, co się stało, ale... Mamo, przez gardło nie chce mi przejść ta prośba... - Głos Amy znów się załamał. Po raz trzeci w ciągu dwóch minut. Chyba więcej razy, niż przez jej całe dotychczasowe życie.

Nie zdaje sobie sprawy, o co prosi, pomyślała Molly. Bo w przeciwnym razie by mi tego nie zrobiła.

Amy jest silna. Nie wie, co to znaczy zagubić siebie, rozpląnąć się w cieniu kogoś innego.

- Nie spodziewam się, że się znów zejdziecie. Wiem, jaki on jest okropny, ale tak się boję, że podejmę niewłaściwą decyzję. Nie wiem, czy powinien go zbadać inny lekarz, a może my powinniśmy się nim bardziej zająć? - Urwała na moment. - Tak strasznie się boję.

Amy. Odważna, śmiała Amy, która jeździła na najbardziej niebezpiecznych, najszybszych zjeżdżalniach w wesołym miasteczku; która jako zaledwie dwudziestolatka urodziła córkę bez znieczulenia; która nawet w dzieciństwie lubiła ciemności.

- Mamo... Czy wrócisz do domu?

W chwili gdy słowa Amy odbiły się echem lęku w duszy Molly, ktoś zapukał do drzwi jej skromnego mieszkania. # Sean.

W pobliżu czekała jego zagłówek. Na niej mogłyby wyruszyć w nową podróż, dzięki której zaczęłyby od nowa, stałyby się kimś, kim nigdy wcześniej nie mogła się stać.

W powietrzu wisiała woń egzotycznych perfum; teraz ich zapach wydawał się kpina. Parę minut temu Molly stroiła się na randkę, żyła nowym życiem, marzyła o zrobieniu kolejnego kroku na drodze ku niezależności.

Dlaczego przypuszczała, że mogłaby zacząć od nowa? Dlaczego sądziła, że może uciec i nigdy nie wrócić do przeszłości?

Austin i ona pobrali się bardzo młodo. W pewnym sensie dorastali razem. A przynajmniej to on dorósł, gdy tymczasem jej droga ku dorosłości jakoś się urwała. Kolejne stukanie, bardziej natarczywe. Tysiące kilometrów stąd Amy czeka na odpowiedź matki. Przez całe życie Molly robiła to, co musiała. Teraz było tak samo. Ale bała się.

Z upływem lat, gdy coraz więcej ich dzieliło, zmieniło się też ich ubogie życie erotyczne. Wprawdzie nigdy fizycznie jej nie skrzywdził, lecz wielokrotnie zdarzało się, że kiedy zachował się wobec niej wyjątkowo brutalnie, a ona w milczeniu odchodziła... ruszał za nią.

Nawet teraz, gdy dzieliło ich pół kontynentu, niemal słyszała, jak goni za nią po domu i zbliża się coraz bardziej... by wreszcie jej dopaść.^s

To nie był gwałt. W żadnym razie, przecież nie stawiała oporu. Gdyby zaprotestowała, zapewne by przestał. Ale tego nie robiła. Może sądziła, że nie ma do tego prawa. A może miała nadzieję, że tym razem będzie inaczej, że pewnego dnia wszystko się zmieni. Pewnego dnia...

Ale ten dzień nigdy nie nadszedł.

Łączyłfoię bez słowa. W schowku; przyparta do ściany w sypialni; na podłodze w saloniku. Dla niego był to najwyraźniej rozpaczliwy akt, niewykluczone, że demonstracja siły, dla niej zaś wyraz uległości.

Gdy już było po wszystkim, kiedy już skończył rytmiczne wpychanie w nią członka, zostawiał ją bez jednego słowa. Potem na udach nosiła ślady jego rąk i sutki miała obrzmiałe od dotyku jego wygłodniałych warg.

Teraz na zewnątrz czekał na nią Sean. Delikatny, pociągający Sean. Mężczyzna, który nie tłumił w sobie przemocy. Mężczyzna, który - czuła to instynktownie - doprowadziłby ją do orgazmu, a brakowało jej odwagi i zbyt paraliżował ją lęk, by kiedykolwiek doświadczyć tego z Austinem. Przy tym mężczyźnie poczuje się bezpieczna. Tak marzyła o poczuciu bezpieczeństwa. Tylko tego pragnęła przez całe życie.

- Molly? - znów rozległo się stukanie do drzwi.

Troska brzmiąca w jego głosie niemal przeważyła szalę jej namysłu. Ja się boję, chciała zatkać. ¹ Amy czekała przy telefonie.

- Mamo?

Molly drżąc zaczerpnęła powietrza. Jest dorosła kobietą. Matką. Babcią. Żoną. To ona, nie Amy, odpowiada za Austina.

- Wracam do domu.

Rozdział czwarty

Austin chwycił kurczowo poręczę wózka inwalidzkiego i zapatrzył się w szpitalne okno. Przyszła.

Nie chciał jej widzieć.

Spojrzał na swoje bezwładne ciało w zielonej szpitalnej piżamie, na martwą lewą rękę, na stopy w kapciach.

Nie chciał, żeby go zobaczyła w takim stanie.

Był już w szpitalu osiem dni i przyzwyczał się do tutejszej rutyny. Śniadanie o siódmej, potem zawożono go na rehabilitację do bardzo przygnębiającego miejsca. Spotykał tam bowiem innych ludzi podobnych do niego; ludzi, którzy zeszli do poziomu idiotów.

Nie cierpli idiotów, więc tym trudniej przyszło mu pogodzić się, że stał się jednym z nich.

W czasie zajęć pielęgniarz próbował go skłonić do stania na nogach, które nie mogły utrzymać jego ciężaru. Potem terapeutka pracowała nad jego mową, druga nad podstawowymi ruchami.

Austin zupełnie się nie przykładał. Umiał wydawać polecenia, ale nigdy nie potrafił ich przyjmować.

Zwłaszcza że usiłowania wydawały się beznadziejne.

Powiedzieli mu, że wielu ludzi w jego wieku niemal całkowicie wraca do zdrowia.

Ale Austin znał chorego po wylewie, który nigdy nie nauczył się chodzić i mówić.

Człowiek-roślina.

Jeszcze raz spojrział w dół na swoje ciało, a potem odwrócił wzrok. Cholera. Dlaczego Amy go nie posłuchała? Dlaczego uparła się, że zadzwoni do matki? Aż się skulił w środku na wspomnienie tej chwili, gdy Amy go znalazła leżącego na plecach na trawie, zlewanego strugami deszczu...

Wyszedł nakarmić ptaki. Przez rok nabrał w tym wielkiego doświadczenia. Zaczął nawet robić specjalne mieszanki, żeby zwabić rzadkie gatunki. Właśnie wypełnił połowę karmników, gdy kątem oka dostrzegł samotny krzak róży - rósł jeden jedyny w opustoszałym ogrodzie. Przerwał napełnianie karmników, by ściągnąć chochoła z krzaka, a potem uznał, że roślina potrzebuje wody.

Kiedy ciągnął sztywny wąż ogrodowy przez podwórko, poczuł, jak narasta to dziwne cierpienie, którego często doświadczał w ciągu roku. Potem go sparaliżowało. Upadł na ziemię.

Nie wiedział, jak długo leżał. Wiele godzin. Słońce zaszło. Zapadł zmierzch. Obojętnie patrzył na Wielką Niedźwiedzicę. Zaczaj wiać wiatr, przygnał chmury, które zasłoniły gwiazdy.

Umieram, pomyślał.

I gdy tak leżał, przez głowę przelatywały mu najróżniejsze wspomnienia. Myślał o Amy: dziecko w sweterku z okrągłym kołnierzykiem w czerwone i niebieskie paski. Myślał o Melindzie, o tym, jak podnosi ją do góry, a ona piszczy z radości. Myślał o Molly.

Molly.

Dlaczego? To pytanie głośniejsze rozległo się w jego mózgu. Dlaczego? Usnął.

Obudził się przemoknięty i drżący z zimna, bo woda z węża ogrodowego zalała trawę wokół niego. Próbował się poruszyć. Bezskutecznie. Skupił się na tym z całych sił, ale sygnały z mózgu nie docierały do kończyn.

Austin zawsze wysoko cenił sobie godność. Człowiek musi przejść przez życie z godnością, twierdził

Martwił się chwilą śmierci. Nie tym, że przestanie istnieć, ale tym, w jaki sposób umrze. Jak będzie wyglądał, gdy go ktoś znajdzie. W leżącym na ziemi, mokrym ciele nie było ani krzty godności.

Zaczęło padać. Najpierw mżawka, a potem duże, lodowato zimne krople.

Zaśmiał się głośno: ze sparaliżowanego gardła wyrwał się bardzo dziwny dźwięk. Wtedy właśnie znalazła go Amy, która usłyszała ten wyraz kpiny z samego siebie. Stracił czucie w lewej ręce i nodze. Ta część twarzy była również martwa, zupełnie jakby wracał od dentysty po rwaniu zęba. I gdy sanitariusze nieśli go do karetki, zdrową dłonią chwycił Amy za rękę.

- Nie mów nic matce - powiedział głosem, który zabrzmiał jak szept trzęsącego się starca.

Było to ostatnie zadanie, jakie zdołał wypowiedzieć. Teraz, siedząc w szpitalu przy oknie, rozmyślał nad poleceniem, które wydał Amy. Westchnął. Ona też nie umiała przyjmować rozkazów. Za nią przy drzwiach wejściowych rozległ się szelest.

Molly?

Miał nadzieję, że to nie ona.

Odruchowo próbował podnieść się z wózka, ale ciało go nie posłuchało. Miękkie jak szmatą. Ktoś był w pokoju-

Ogarnął go wstyd. Widział siebie takim, jakim ona go zobaczy. Żałosny, strzęp mężczyzny. Ułomny. Nie może chodzić. W wózku inwalidzkim. Próbował namówić pielęgniarkę, żeby go posadziła w normalnym fotelu, ale go nie zrozumiała.

- Witaj, Austin.

Na dźwięk jej znajomego głosu przeszył go głęboki ból. Pomyślał o tym, jak go porzuciła, jak wyjechała bez słowa. Pomyślał, jak bardzo chciałby jej nienawidzić. Postanowił nie patrzeć w jej kierunku, żadnym ruchem nie zdradzić, że wie o jej obecności. Jeżeli będzie ją ignorował, to sobie pójdzie. W pokoju zapadła cisza.

Czekał nasłuchując. Czy wyszła?

Powoli obrócił głowę i zobaczył stojącą w drzwiach obcą osobę.

Molly? Czy to naprawdę była Molly?

Nie.

Przyjrzał się jej dokładniej.

28

Tak.

Młodsza, ładniejsza Molly. Opalona i zdrowa, jej włosy miały mahoniowy odcień, inny niż gdy się poznali.

Życie bez niego najwyraźniej jej służy. Odmłodziła, gdy on się postarał. Jego włosy, kiedyś ciemniejsze, gęstsze i lepsze od włosów Molly, przetykają teraz pasma siwizny. Jego ciało, ciało, które nie zawodziło go w żadnej sytuacji, teraz było żałosne i słabe.

Poczuł obcy zapach. Perfumy, lecz nie dyskretna woń, która zawsze kojarzyła mu się z Molly, tylko jakieś nowe. Inne. Modne. Egzotyczne.

Perfumy...

W pierwszym roku małżeństwa dał Molly perfumy na Gwiazdkę. Nie było jakie. Zrobione specjalnie dla niej, Wypełnił długi kwestionariusz odpowiadając na pytania dotyczące upodobań żony. Na podstawie jego odpowiedzi stworzono zapach odpowiedni dla jej osobowości. Kojarzył mu się zawsze z płynem do zmywania: przyjemna woń czystości.

Molly natomiast uszyła mu koszulę. Rękawy były za krótkie, mankiety za ciasne i piła pod pachami. Włożył ją tylko raz, żeby jej zrobić przyjemność, a potem powiesił w głębi szafy i szybko o niej zapomniał. Ale nie Molly. Zapytała, dlaczego jej nie nosi; odparł, że nie pasuje na niego i wygląda w niej jak idiota.

Rozpłakała się, zrobiła wielką scenę i wepchnęła koszulę do worka z ubraniami przeznaczonymi dla Armii Zbawienia. A potem się dowiedział, że i Armia Zbawienia nie przyjęła koszuli uszytej dla niego.

Potem-kupowała mu już tylko talony na zakupy.

W wiele lat później, gdy wspomniiał to wydarzenie, żałował swoich nieczułych słów, żałował, że mimo wszystko nie nosił prezentu od niej. Żeby z człowieka zrobić idiotę, trzeba znacznie więcej niż koszula.

Usłyszał jej ciche kroki na szpitalnej podłodze.

- Austin...

Chciał użyć jednego ze swoich sposobów służących do stwarzania dystansu między nimi, a z biegiem lat doprowadził je do perfekcji: krzyknąć na nią, rzucić ostrą uwagę, że jest za stara, by się tak czesać, za stara na opaleniznę, za stara na tak krótką spódnicę. Cokolwiek, byle tylko trzymała się od niego z daleka.

Zacisnął zęby; dłonie kurczowo chwyciły poręcze wózka.

Idź sobie!

W mózgu wypowiedział te słowa bardzo dobitnie. Idź sobie!

Skupił się na ruchu ust, aby wydać dźwięk, ułożyć je w dwa proste słowa. Dłonie mu drżały. Na czoło wystąpiły krople potu. Czuł, jak po policzku spływa wilgotna strużka.

Ku swemu przerażeniu zauważył, że wzięła ręcznik leżący w nogach łóżka i podchodzi bliżej, by otrzeć mu twarz.

Wsparł się o skórzane oparcie wózka. Z ust wyrwał mu się dźwięk - płynące z głębi duszy łkanie, w którym brzmiał przepełniający go wstyd.

W jej oczach, w których było widać ostrożność, teraz pojawiło się współczucie.

Jak dawno temu porzucił wszelką nadzieję otrzymania od niej jakiegokolwiek znaku uczucia? Dotknięcia? Uśmiechu? Czegokolwiek. I co wreszcie dostał? Litość.

Nie miał gdzie uciec; miękka bawełna ręcznika dotknęła jego policzka. - Chcę ci pomóc - powiedziała.

Nie chciał, żeby mu współczuła. Prawdziwi mężczyźni nie okazują słabości.

Prawdziwi mężczyźni nie płaczą. Ojciec go tego nauczył. Austin zawsze był mocny, ale teraz... O Boże! Nie jest już mężczyzną.

I żeby nie dostrzegła łez lśniących w jego oczach, przechylił się, tak że zatrzeszczał pod nim wózek, gdy zdołał przesunąć ciężar ciała na jedną stronę i popatrzeć w bok, przez okno. Będzie tak siedział bez ruchu, aż ona sobie pójdzie. '

Te łzy nie są jego, pocieszał się w myślach, przerażony bolesną ostrością swych uczuć. To aspekt osobowości chorego po wylewie, czy jak to tam nazywał lekarz.

Niektórzy chorzy stawali się spokojniejsi, dzięki czemu spadało im ciśnienie. On nie miał takiego szczęścia. Zrobił się bardziej nerwowy i przygnębiony.

A kto nie byłby przygnębiony na jego miejscu?

Czekając, aż Molly wyjdzie z pokoju, starał się nie myśleć o jej obecności,

zapomnieć o niej, ale nie potrafił. Nigdy mu się tonie udawało. Z zamglonymi

Oczami przypominał sobie dzień, gdy zobaczył ją po raz pierwszy - strząsała wtedy płatki śniegu z włosów...

Pracował jako urzędnik w biurze Opieki Społecznej w biedniejszej części

miasta: dorywcze zajęcie, dające dodatkowe punkty przy składaniu papierów do college'u. Molly złożyła podanie o zapomogę, która bez wątpienia jej się należała. Krytycznie podchodził do pomocy społecznej, bo większość ludzi wykorzystywała system szukając darmochoy. Ale Molly była inna. W ciąży, samotna, pracowała w małej pizzerii zarabiając dolara i dwadzieścia pięć centów za godzinę. Większość ludzi, z którymi rozmawiał, wręcz żądała pomocy, jakby zapomogi im się należały. Molly wstydziła się, że w ogóle musi prosić.

Jej podanie zostało odrzucone, ale zdobył dla niej talony na posiłki. Przynajmniej nie będzie chodziła głodna.

Przeglądając jej podanie, zapamiętał adres jej miejsca pracy. Zaczął tam regularnie zaglądać, zawsze zostawiając duży napiwek.

Patrzył, jak pochyla się nad stolikiem - zmęczenie przebijało z każdego gestu, a na twarzy, zbyt młodej na takie zmarszczki, rysowały się linie mówiące o znużeniu. Choć była w ciąży, rzucało się w oczy jej dobre pochodzenie, a otaczający ją słodki smutek sprawiał, że Austin miał ochotę zerwać się i zabić dla niej parę smoków. Któregoś wieczoru, gdy siedział czekając na pizzę, zemdlął. "Szła między stolikami, gdy wtem zatrzymała się, lekko zachwiała i osunęła. Rzucił się do niej, ale nim dobiegł, już wróciła jej przytomność.

Chciał ją zabrać do lekarza, lecz się nie zgodziła. Najpierw się upierała, że będzie pracować do końca zmiany? jednak szybko zdała sobie sprawę, że nie wytrzyma. Pozwoliła się zabrać do domu: nędznego mieszkanka nad narożnym barem. Pomógł jej ułożyć się na kanapie, a potem przejrzał lodówkę i szafki w poszukiwaniu jedzenia. Ani śladu.

- A co z talonami na posiłki? - spytał.

- Musiałam je sprzedać, żeby uzbierać na komorne. Miałam do wyboru: albo jeść, albo spać na ulicy.

Jej widok rozkrwawiał mu serce. Przypominała uchodźców, którzy niczego nie oczekiwali od życia i byli zbyt wycieńczeni, by się czymkolwiek przejmować. Zaprzyjaźnił się z nią. Dowiedział się, że ojciec jej nie narodzonego jeszcze dziecka zginął w Wietnamie. A jedyna osoba z rodziny, jaką miała - brat - stacjonuje za granicą.

Po raz pierwszy od lat Austin martwił się o kogoś innego, nie tylko siebie.

Nie mógł się skupić na nauce. Wiedział, że Molly nie ma dość jedzenia, nie stać jej też na wizyty u ginekologa. W zimowe dni chodziła z gołymi nogami, a usta siniały jej z zimna. Chciał jej pomóc. Chciał się nią zaopiekować.

Nim poznał Molly, umawiał się na randki z dziewczętami ze szkoły. Czasem z koleżanką przyjaciela. Ale nigdy nie było to poważniejsze uczucie. Zawsze spotykał się z dziewczyną tylko parę razy, po czym zaczynała go nudzić. Kiedyś, gdy siedzieli we czwórkę w restauracji, przeprosił nawet towarzystwo, poszedł w stronę toalety i wymknął się przez tylne drzwi.

Molly wszystko to zmieniła. Spostrzegł nagle, że czeka na spotkanie z nią, a gdy się rozstawali, przez wiele godzin niecierpliwie oczekiwał kolejnego dnia, kiedy się zobaczą.

Ta zima była jedną ze sroższych w historii stanu Iowa, ale Austin tego nie zauważył. Był zakochany. Bolesnie, cudownie zakochany.

W dwa miesiące po tym, jak Molly weszła do biura Opieki Społecznej, Austin namówił ją, by za niego wyszła.

W ten sposób przekonał się, że facet nigdy nie powinien się żenić z kobietą, która kocha innego...

- Austin.

Dotknęła jego ramienia. Aż podskoczył.

Molly nie chciała go przestraszyć, ale siedział tak spokojnie. Bez ruchu. Odsunęła rękę, nie wiedząc, co powiedzieć, co zrobić. Zawsze obawiała się bezwzględnej pewności siebie Austina, po pewnym czasie zaczęła jej nawet nienawidzić* W każdej sytuacji musiał objąć kierownictwo. Bez względu na to, jak bardzo była zdecydowana czy pewna swego, gdy stawiała mu czoło, zawsze potrafił obrócić wszystko na nice, tak że to on miał rację, nie ona.

Jego wygląd nią wstrząsnął, ale starała się to ukryć. Skulony na wózku, w szpitalnej piżamie, wydawał się mniejszy. W jego włosach, gęstych, wspaniałych włosach, pojawiły się siwe pasma. Zwykle schludnie ostrzyżone, teraz spadały zmierzwioną falą na kołnierzyk, zasłaniały czoło. Musiała opanować chęć odsunięcia ich na bok. Brat Molly często powtarzał, że Austin jest zbyt przystojny, bez skazy, jak manekin; bardziej przypomina modela na pokazie ubrań dla bogatych elegantów niż mężczyznę z krwi i kości.

No cóż, Austin nie był już chodzącą doskonałością.

W tej chwili żałowała nawet, że nie może zobaczyć choć odrobiny tego dawnego Austina, tej siły, która kiedyś tak ją irytowała. Nim zdolała się powstrzymać, wyrwało jej się ciche westchnienie.

Wywołało głęboki, zduszony jęk u siedzącego obok mężczyzny. Wózek zatrzeszczał wściekle, gdy rzucił się w nim, a ręka dygocz®: czegoś szukała: małego notesu wiszącego na sznurku przywiązany z boku.

Molly sięgnęła po notes, wysunęła ołówek z uchwytu i ułożyła oba przedmioty na kolanach męża.

Poruszając się tak, jakby stawy mu zeszytwniały, zsunął prawą dłoń z poręczy i położył na kolanie. Osiągnąwszy tyle, z trudem posuwał dłoń, aż palce dosięgły ołówka - potoczył się na podłogę.

Tym razem Molly podniosła go z podłogi i wsunęła mu w rękę. Niczym nauczycielka w pierwszej klasie ułożyła palce wokół pomalowanego na żółto drewna.

Powoli, z wysiłkiem prowadził czubek po papierze. Powoli, z wysiłkiem naskrobał jedno słowo. AMY?

Używał prawej ręki, więc się spodziewała, że zobaczy jego zwykłe, schludne pismo. Tymczasem litery wyglądały jak nabazgrane przez dziecko.

- Amy mnie tylko podrzuciła, wpadnie tu później - wyjaśniła Molly.

Odebrawszy ją z lotniska Amy oświadczyła, że ma do załatwienia parę spraw, lecz Molly podejrzewała, iż chce stworzyć rodzicom okazję do spotkania we dwoje, wiedząc, jak trudno będzie im rozmawiać nawet bez świadków.

Austin pracował nad następnymi wyrazami. Kiedy skończył, obrócił notes w jej stronę. Pod imieniem córki znajdowały się dwa słowa: IDZ SOBIE.

I na wypadek gdyby nie zrozumiała, Austin wskazał na nią, zabijając litość, którą dla niego czuła, w taki sam sposób, jak zawsze niszczył jej uczucia.

Patrzył na nią, czekając na jej reakcję, a w zielonych oczach lśniło znane jej dobrze wyzwanie.

Dwa lata temu na widok takiego spojrzenia zaczęłyby dygotać jak osika.

Pochyliwszy się wyjęła ołówek z jego palców i dopisała odpowiedź na kartce.

Obróciła ją, by mógł przeczytać.

NIE.

Z jego ust wyrwało się prychnięcie, po czym na migi pokazał, że chce ołówek.

GDZI TRZYMA? - skreślił drżące litery przekręcając wyrazy. Gdzie się zatrzymałaś? Już miała odpowiedzieć: „w naszym domu”, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

- W twoim domu.

- Nie - wydusił z siebie niewyraźny okrzyk protestu. Patrzyły na nią oczy płonące wściekłością.

- Jak miło, że mi to zaproponowałeś - odparła mierząc go równie twardym spojrzeniem.

Widziała, że jej odpowiedź go zaskoczyła. Nie był przyzwyczajony do oporu z jej strony.

- Zamknij usta Austinie.

Zacisnął wargi i jego oczy rozjrzył gniew.

Znów mocował się z ołówkiem, kiedy Molly usłyszała szelest przy drzwiach, a potem pogodny głos pielęgniarki.

- Czas na rehabilitację, panie Bennet.

Rozdział piaty

Pot spływał po twarzy Austina. Cały dygotał próbując stanąć prosto między poręczami, gdy ciężar ciała spoczywał na prawej ręce i nodze.

Jeżeli Molly myśli, że bez trudu wedrze się w jego życie, to się grubo myli. Jeżeli myśli, że będzie się zachowywał, jakby nic się nie stało, jeżeli myśli, że się ucieszył na jej widok...

Wyobraził ją sobie w jego domu, jak śpi w jego łóżku: Przyjmuje ludzi pokroju Marka Elliota, młodego psychiatry, który zaczął się kręcić w pobliżu półtora roku temu, po wypadku samochodowym jej brata.

Kiedyś nie przypuszczał, by była zdolna do takiego oszustwa, takiej zdrady, ale przecież nie sadił również, by mogła kiedykolwiek go zostawić.

- Dobrze nam dziś idzie. Doskonale - zauważyła pielęgniarka; w jej głosie brzmiało zaskoczenie zabarwione zadowoleniem.

Prawda. Musi szybko dojść do zdrowia. Przecież musi się pozbyć tej dziwki.

W godzinę później, kiedy Amy została przy ojcu, Molly siedziała na szpitalnym korytarzu; obgryzając paznokcie i przerzucając automatycznie strony kolorowych pism, czekała na rozmowę z lekarzem Austina.

Doktor Hank.

Dziwne nazwisko u lekarza. Lepiej pasowałoby do mechanika samochodowego, choć oczywiście nie miała nic przeciwko mechanikom. Podziwiała każdego, kto potrafił zgłębić tajniki silnika samochodowego. Po prostu były nazwiska właściwe dla lekarzy i nieodpowiednie do tego zawodu. Nazwisko

Hank nie przynależało do świata białych kitli. Hank pasowało do tablicy nad placem zastawionym przykurzonymi pojazdami. „Używane samochody Hanka” lub „Bar i grill u Hanka”. A może „Bazar Hanka”. Ale doktor Hank?

Jak zwykle okazało się, że się niepotrzebnie martwiła. Gdy przyszedł doktor Hank, nie miał ani odrobiny brudu za paznokciami, a spod białego kitla nie wystawał rąbek fartucha kucharza. Mocno uściśnął jej dłoń, spokojnie popatrzył zza okularów i tryskał energią, choć był już po sześćdziesiątce.

Spodobał się jej. Sprawiał wrażenie doskonałego fachowca.

- Czy jest możliwe, że Austin będzie miał następny wylew? - jej pierwsze pytanie i największy powód do zmartwień.

Lekarz przysiadł na brzegu miękkiego fotela; między nimi stał niski stolik.

- Jak zapewne pani wie, nie udało nam się wykryć powodu pierwszego wylewu pani męża. W sumie nie jest to zła wiadomość, bo z tego samego względu właściwie nie powinien nastąpić po raz drugi.

- Ale to się może zdarzyć?

- Nie sądzę. Ma dobre wyniki badań. Nigdy nie cierpiał na nadwagę. Uprawia sport. Nie pali. Jeżeli będzie się prawidłowo odżywił, powinien dożyć pięknego wieku.

Nie twierdzą, że całkowicie wróci do zdrowia, bo bym skłamał. Nie można się spodziewać aż tak wiele. Pani mąż może zawsze chodzić z laską lub nigdy nie uda mu się opanować do perfekcji dawnych umiejętności, jak prowadzenie samochodu, zapinanie guzików czy trzymanie pióra, ale to są niewielkie problemy. Ma wszelkie szanse na normalne życie, chociaż czeka go wiele pracy.

Doktor Hank poprawił okulary.

- Gdy wróci do domu, wielokrotnie będzie mu pani chciała pomóc. Ale to ważne, by pani mąż nauczył się sam wykonywać drobne czynności wokół siebie. Naszym celem jest doprowadzenie go do samodzielności.

Słowa lekarza zaniepokoiły ją.

- Nie zostanę z nim, kiedy wróci do domu - powiedziała, żeby od razu jasno postawić sprawę.

- Ale on nie może mieszkać sam.

Ponieważ na razie próbowała pogodzić się z całkowitą bezradnością Austina, więc nie zastanawiała się nad tak daleką przyszłością. Wyczuwając jej przerażenie, lekarz dodał szybko:

- W La Grange są doskonale firmy zajmujące się pacjentami w domu. Mogę dać pani ich adresy.

Przytaknęła.

- Jak długo potrwa, nim będzie mógł sam się sobą zająć?

- To zależy od pacjenta. Parę tygodni od wyjścia ze szpitala. Może miesięcy. W rzadkich przypadkach lat.

Miesiące? Lat?

Nie będę owijać w bawełnę - zaczęła Amy, gdy odwoziła matkę do domu ze szpitala żółtym samochodem. - Jestem w ciąży. O Boże. Znów?

Molly przeraziła ta myśl. Sama była w piątym miesiącu, gdy poroniła. Straciła wtedy dziecko Jaya. Swoje dziecko.

Fizyczny ból był nie do zniesienia. A to cierpienie potem... Emocjonalna udręka...

Całymi tygodniami, miesiącami poruszała się jak we mgły rozpacząc po stracie dziecka. A potem zaszła w ciążę. Amy. Córka Austina. Słodka, kochana Amy, która wszystkim - poza lśnjącymi, prostymi złotorudymi włosami i brązowymi oczami - przypominała ojca. Jasna cera, wydatne kości policzkowe, wysokie czoło i mocno zarysowane brwi.

A teraz Amy jest w ciąży. Znowu,

Tym razem Molly miała rzeczywiście powód do zmartwienia. Przebieg pierwszej ciąży Amy był koszmarny. Mdłości męczyły dziewczynę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, złapała grypę i na tydzień wylądowała w szpitalu, a poród ciągnął się w nieskończoność. Jakim cudem oni to wytrzymali? Chris, mąż Amy, chodził po ścianach. Przez to Molly tym bardziej się denerwowała.

Przypomniała sobie, że Austin też tam był. Spokojny. Na zewnątrz tego piekła.

Amy zatrzymała się na czerwonym świetle. Po pasach przeszła para staruszków, mężczyzna trzymał kobietę pod ramię. Byli do siebie podobni jak brat i siostra.

Niektóre małżeństwa z wiekiem upodabniają się do siebie. Inne nie.

- Ile dzieci chcecie mieć? - spytała Molly. Ogarnęło ją poczucie winy, że zareagowała tak negatywnie, ale była zbyt zmęczona i udręczona, by ukrywać prawdziwe uczucia. Martwiła się o córkę.

Światło zmieniło się na zielone. Amy ruszyła i przejechały przez skrzyżowanie.

- Myśleliśmy o trójce.

Molly aż się zakrztusiła. Troje. Okropne. Straszne. Trzy ciężce.

Ale troje to nie tak źle jak czworo. Albo pięcioro. Czy sześcioro. O Boże! Gdyby tak chcieli mieć szóstkę?

Amy dorastała bez rodzeństwa i Molly dręczyło poczucie winy również z tego powodu.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś, że jesteś jedynaczką? - zapytała. Amy wyciągnęła rękę i poklepała matkę pocieszającym gestem.

- Mamusiu, niepotrzebnie się zamartwiasz. Nigdy nie tęskniłam za rodzeństwem. Miałam ciebie. I tatę.

- Wiesz, twój ojciec... Zawsze żałowałam... Skręciły na University Drive.

- Wiem, że tato rzadko bywał w domu, ale kiedy się zjawiał, było cudownie. Czułam się bezpieczna, wiedziałam, że oboje mnie kochacie. Przestań się martwić.

Molly zmusiła się do wątego uśmiechu. Jak to zrobić? Gnębiła ją troska nie tylko o Amy, lecz również o małą Mellie. A teraz jeszcze kolejny dzidzius w drodze...

Następny dzieciaczek do martwienia... Ile się w niej pomieści zgryzot?^

- Kiedy urodziłaś Melinę, myślałam, że wreszcie zobaczysz, na czym polega macierzyństwo - powiedziała Molly. - Ale ty jesteś inna niż ja. Nie ulegasz obsesjom. Nie leżysz bezsennie pół nocy zamartwiając się sytuacjami, które się nigdy nie wydarzą. - Westchnęła. - Czasem mi się wydaje, że większa część twojego dzieciństwa przeszła mi koło nosa, bo byłam zbyt zatopiona w troskach.

Minęły sklepy, w których Molly robiła codzienne zakupy, potem pralnię chemiczną, do której oddawała garnitury Austina.

- Nie sądzisz, że w pokoju gościnnym na dole będzie tacie najwygodniej? - odezwała się Amy. - Chris zainstaluje poręczce w łazience, a pod prysznicem postawimy drewniane krzesło ogrodowe. Można wypożyczyć łóżko szpitalne, gdyby tato go potrzebował.

- I prywatnie wynająć pielęgniarkę - dodała Molly.
- Pielęgniarkę? Tato by jej nie ścierpiał za skarby świata.
- Będzie musiał.
- Nie, zaplanowałam, co zrobimy. Zamieszkam u niego z Mellie.
- A co z Chrisem? Takie rozstanie źle wpłynie na małżeństwo.
- Nasz dom jest zaledwie o dwadzieścia minut stąd.

W samochodzie zrobiło się duszno i gorąco. Molly oddychała z trudem. Otworzyła okno, wpadło przez nie świeże powietrze.

- Problem tylko z tygodniem w połowie lipca, kiedy mieliśmy jechać na wakacje, ale tato przecież wyzdrowieje do tego czasu, prawda?

Molly nie chciała myśleć o prognozach stawianych przez lekarza.

- A co z twoją ciążą? Jak możesz zajmować się ojcem, kiedy sama spodziewasz się dziecka?

- Poradzę sobie.

- Masz mdłości?

Milczenie Amy wystarczyło za odpowiedź.

- Amy, bądź rozsądna. Ludzie latami korzystają z pomocy pielęgniarek, przeważnie sympatycznych osób. Pozwól mi zadzwonię w parę miejsc, przejrzeć...

- Mamo, proszę...

Molly ogarnęło jeszcze większe przerażenie niż w trakcie rozmowy z doktorem Hankiem. Niemal uwierzyła, że wylew Austina to rodzaj zemsty.

- Dlaczego się tak upierasz?

- Zdajesz sobie sprawę, ile będzie kosztowała prywatna pielęgniarka? Słyszac cenę tato dostałby kolejnego wylewu.

Zatrzymały się na pochyłym podjeździe przed białym piętrowym domem, z którego Molly odeszła ponad rok temu. Amy zatrzymała samochód, zaciągnęła hamulec ręczny i wyłączyła silnik.

- A poza tym... Nie chcę, by tato pomyślał, że nikt o niego nie dba. Mówiac to wybuchnęła płaczem. Śmiała, odważna Amy.

- Och, kochanie.

- Przepraszam - pociągnęła nosem, próbując się opanować. - Sądziłam, że dobrze się trzymam.

Molly pochyliła się ku córce i mocno ją przytuliła.

- Chcę, żebyś przestała martwić się o ojca - powiedziała szukając w torebce chusteczek higienicznych.

Molly przyjechała do Iowa z zamiarem zostania paru tygodni, ale choroba Austina okazała się przewlekła i poważniejsza, niż się spodziewała. Czy nic w życiu nie przyjdzie jej łatwo? Po spotkaniu z mężem i rozmowie z córką wiedziała, że zanim wróci na Florydę, musi najpierw rozwiązać wiele tutejszych problemów.

Wsunęła ligninę w dłoń Amy.

- Chcę, żebyś się zajęła sobą. Swoją rodziną. Zostanę z Austinem. Jemu się to nie spodoba, ale to jego sprawa.

Pomyślała o Florydzie, o oślepiająco białych plażach, o mężczyźnie, który jej pragnął. Wszystko to wydało się jej takie dalekie.

Rozdział szósty

Molly czuła się dziwnie w domu, który dzieliła z Austinem. Otoczyli ją milczący świadkowie przeszłości: zniszczona kurtka, w której chodziła przy różach, stare buty poplamione czerwoną farbą, która prysnęła na nie, gdy razem z mężem malowali patio. Patrząc na te ślady dawnego życia walczyła, by zachować dystans, próbowała udawać, że nigdy tu nie mieszkała, a dom należy do osoby, którą kiedyś znała, lecz teraz stała się jej obca.

Choć wycieńczona i podenerwowana, nie mogła się odprężyć. Krążyła więc po domu porządkując: tu przetrzepała jaśki pokryte haftem krzyżykowym, którym zajmowała się, gdy była w ciąży z Amy, tam poprawiła kupiony na aukcji obraz przedstawiający ogród różany.

Nic się nie zmieniło w czasie jej ponad rocznej nieobecności. Wszystko znalazła na dawnym miejscu: krzesła, wytarty kremowy dywan, porcelanę na półkach.

Molly zawsze pragnęła poczucia bezpieczeństwa, bo jej życie było bardzo nietrwałe. Słabo pamiętała ojca: mężczyznę, który ich zostawił wkrótce po urodzeniu się Sammy'ego. Tak rozpadła się ich rodzina, więc żyli niczym Cyganie, ponieważ matka nie umiała nigdzie zapuścić korzeni.

Molly marzyła o dniu, gdy będzie miała swój własny kąt, dom, który będzie zawsze na nią czekał. Nie musi być duży, nowy ani wytworny. To bez znaczenia.

Wystarczy, żeby był.

Przyrzekła sobie, że gdy doczeka się własnego domu, to nigdy nie przestawi w nim mebla, nie przewiesi obrazu, zawsze będzie bliski, zrtaaay, taki sam. Znajdowała oparcie w niezmienności.

Teraz żałowała, że Austin czegoś nie zmienił. Czegokolwiek.

Weszła do kuchni i sprawdziła zawartość szafek. Niemal zupełnie puste - znalazła w nich tylko parę zakurzonych puszek z zupą i kilka nowych z tuńczykiem. Otworzyła lodówkę. Rączka była lepka, na drzwiach dostrzegła ślady palców. A wewnątrz liczne plastikowe pojemniki.

Najpierw myślała, że to suche płatki śniadaniowe albo jakieś eksperymentalne mieszanki. Przyjrzawszy się bliżej stwierdziła, że to pokarm dla ptaków, specjalny rodzaj, który trzeba samemu przygotowywać gotując wcześniej składniki. Kiedyś tego sama spróbowała, uznała jednak, że za dużo z tym zachodu. Czyżby Austin to robił? Jakie to dziwne. Jeśli tak, to skąd miał na to cierpliwość?

W zamrażarce znalazła chyba z tuzin gotowych obiadów. Niezbyt zdrowe.

Najtańsze rodzaje, pełne soli.

Obok lodówki wisiał ubiegłoroczny kalendarz otwarty na miesiącu, w którym wyjechała.

To okazało się dla niej za trudne. Nie spodziewała się, że będzie jej aż tak ciężko. Nie spodziewała się, że ogarnie ją współczucie dla Austina, choć wiedziała, że to jej słabość i źródło upadku.

Powinna była zatrzymać się u córki. Ale to śmieszne - cztery osoby w ich maleńkim domku, gdy ten, większy, stoi pusty.

Wzięła się w garść. Wyszła z kuchni, zaniósła zniszczoną walizkę na górę i położyła ją na nie zaślany, wielkim łóżku.

W pokoju też nic się nie zmieniło poza warstwą kurzu na meblach i pognWionej narzucie. Na toalecie z lustrem nadal stała jej szkatułka na biżuterię. Obok butelka mleczka kosmetycznego, którym kiedyś smarowała ręce i nogi. Kryształowy flakonik po okropnych perfumach, które kiedyś wylała do umywalki.

Ujęła flakonik i wyjąwszy zatyczkę, powąchała. Choć minęło dwadzieścia lat, w środku nadal pachniało płynem do zmywania. Zatkąła go i odstawiła obok kubeczka na długopisy, który Amy jeszcze w pierwszej klasie zrobiła z puszki. Jak mogła coś takiego przechowywać?

Otworzyła szkatułkę. Jej obrączka leżała w tym samym miejscu, w którym ją położyła rok temu. Tyle że obok złociła się szeroka obrączka Austina.

Wolno zamknęła szkatułkę i głęboko wciągnęła powietrze. W tym domu jest za wiele okruchów mnie samej, zbyt wiele ich zostało tutaj rozsianych.

Otworzyła walizkę i spod ubrań wygrzebała fotografie w ramkach. Ostatnie zdjęcie Amy i Melindy. Popatrzyła na roześmianą twarz wnuczki i poczuła słodką tęsknotę. Z trudem ukryła rozczarowanie, gdy okazało się, że Amy nie przywiozła jej na lotnisko. Molly chciała ją zobaczyć i uścisnąć natychmiast, gdy tylko wyszła z samolotu. Nawet teraz nie wiedziała, czy wytrzyma do rana, kiedy to Mellie wróci od babci Phoebe. Gdyby nie to, że matka Chrisa mieszka o sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, Molly wskoczyłaby do samochodu i pognała spotkać się z wnuczką.

Gdy wyjeżdżała na Florydę, najbardziej żałowała właśnie rozstania z Mellie. Tak bardzo szkoda jej było tego bezcennego, pierwszego roku życia dziecka. Córka i wnuczka raz przyjechały z wizytą i niemal co tydzień rozmawiała z nimi przez telefon. Amy nawet przysłała jej nagrany film na wideo, ale to nie to samo co być tutaj.

Molly nie chciała pozostawać ani chwili dłużej w sypialni, którą dzieliła z mężem, więc wzięła fotografię i przeszła korytarzem wyłożonym dywanem do dawnego pokoju Amy. Na ścianach były te same tapety w kwiatki i stało dawne łóżko z baldachimem. Usiadła na jego brzegu, uznając, że woli spać tutaj.

Jako nastolatka Molly marzyła o łóżku z baldachimem i kucyku. Dlatego kupiła takie właśnie dla Amy. I przez jakiś czas hodowali kucyka. Amy robiła dobrą minę do złej gry i nie chciała przyznać się rodzicom, że zwierzę kopie ją i gryzie, wpycha na pnie drzew i ogrodzenie z drutu kolczastego. Dopiero gdy w szpitalu nakładali jej dwanaście szwów, wyznała, że boi się kuca, a jeździ na nim tylko dlatego, że dostała go na urodziny od matki.

W taki oto sposób Molly wreszcie pojęła, że Amy marzy o czym innym niż ona.

Ustawiła zdjęcia w ramkach na toaletce obok łóżka, a potem zeszła na dół. W gabinecie odkryła ślady prób nieudolnego sprzątnięcia. Widziała, w których miejscach Austin nieporadnie odkurzał biurko. Na podłodze leżał plik nie przeczytanych gazet. W garażu odkryła wypchane torby metodycznie posegregowanych śmieci, które nigdy nie trafiły do odpowiednich pojemników na szkło czy metale.

Otoczenie domu było jeszcze bardziej zaniedbane. Przy drewnianym ogrodzeniu rosły chwasty, wrogach leżały góry ubiegłorocznych, zeschniętych liści.

Jakie to smutne.

Ogródek stanowił jej królestwo, miejsce, gdzie czuła się bezpieczna, gdzie kryła się, gdy doskwierała jej pustka życia z Austinem.

Ziemia pod jej stopami była miękka jak zwykle wczesnym latem. Bzy już przekwitły, ale zdawało jej się, że w powietrzu wisi cień ich słodkiej woni.

Nagle poczuła przemożne pragnienie, by przebrać się w parę starych dżinsów i chwycić za łopatę. Kopana ziemia będzie czarna, żyzna i zapachnie równie cudownie jak ocean.

Igdym stała, w dalekich zaroślach rozległo się nawoływanie przepiórki.

Odpowiedziała jej druga.

Przypomniała sobie, jak wiele lat temu naśladowała prosty, dwutonowy śpiew ptaka i zwykle ku dziecinnej radości Amy z pobliskiego drzewa rozlegał się odzew.

Molly podeszła do przekopanej grzędy. Nadal widniały na niej ślady po jej cennych krzakach różanych. Stawiając pierwszy krok ku wolności, wykopała je i oddała córce.

Jak rosły u Amy? Czy przetrwały ciężką zimę? Czy Amy pamiętała, żeby okryć róże chochołami? A jeśli tak, to czy pamiętała, by je zdjąć w odpowiednim czasie?

Tyle rzeczy, o które się martwi.

Zapatrzyła się na ogród. Może powinna zasadzić jakieś kwiaty. Nie róże, to by było zbyt bolesne, ale jakieś jednoroczne, cynie lub nagietki...

W najdalszym rogu dostrzegła samotny krzew, jedyny, którego nie wykopała.

Podeszła bliżej, by sprawdzić, czy przetrwał zimę bą? żadnej osłony. Na zdrewniałych gałązkach pojawiły się drobne, zielone pączki. Jak na ironię krzew był gęsty, ale wcale nie kwitł.

Była to jedna z jej krzyżówek, które zrobiła w szkole, jako idealistka--nastolatka.

Nazwała ją Słodka Burgundia i dostała za nią stypendium ogrodnicze, którego nigdy nie wykorzystała. .

Wyrastały na nim piękne, ciemne liście, ale kwiaty, dzięki którym przyznano jej stypendium - obfitość trwałych, wielkich i o cudownym zapachu róż - praktycznie zniszczyły krzew. Niemal na śmierć wyssały z niego wszystkie siły. Całymi latami troskliwie się nim opiekowała, ale na gałązkach nigdy nie pojawił się najmniejszy pak.

Już miała wrócić do domu, gdy zobaczyła huśtawkę wiszącą na starym dębie losnym w rogu ogródka. Domowej roboty, z szerokiej, drewnianej deski i grubych lin przywiązanych do poziomej gałęzi grubej niczym słup telegraficzny. Uznała, że to Chris ją zamocował, choć Melinda dopiero za rok czy dwa będzie się na niej mogła sama huścić. Typowy ojciec. Tacy jak on zawsze Starają się przyspieszyć rozwój dzieci, nie zdając sobie sprawy, że i tak dorosną szybko bez niczyjej pomocy.

Molly podeszła do huśtawki i usiadła na desce odpychając się czubkiem huta. Gałąź skrzywnęła pod jej ciężarem. Cienie rzucane przez liście tworzyły wzór na trawie. Zaczęła się huścić - miała zamiar zostać tu tylko chwilę, przecież nie robiła lego od dziecka - ale poddała się ruchowi, zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Świat się zakółsał. Wiatr świstał przy jej twarzy. Pod powiekami wirowały jasne punkciki. Nie dokończyła ostatniego łuku; raptownie zatrzymała huśtawkę nad ziemią.

Siedziała chwilę znów odpychając się palcami stóp, zatopiona we wspomnieniach wywołanych przez staromodną huśtawkę, ciesząc się krótką ucieczką od zamętu i zmartwień świata dorosłych.

Za chwilę wróci do domu. Zadzwoi do Sammy'ego. I do Marka Elliota.

Mark.

Nie tylko pomógł Sammy'emu wygrzebać się ze skutków wypadku samochodowego, po którym brat zatracił większość wspomnień z dorosłego życia, ale pomógł także jej. Wydobył ją z martwoty, w którą się zapadła. Dał jej siłę, by stanęła na własnych nogach.

Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie: zajrzała do jego mieszkania szukając tam Sammy'ego. Mark otworzył drzwi. W dłoniach trzymała pudełko ciasteczek, a Mark rzucił się na nie, mówił .z pełnymi ustami, zapraszał na kawę, opowiadał anegdoty, rozśmieszał, tak że od razu poczuła się swobodnie.

Nigdy nie umiała prowadzić konwersacji, ale przy Marku miała wrażenie, że zna go od zawsze. Taka przyjaźń to rzadki skarb...

Tego wieczoru w klubie miejskim La Grange grano w bingo i Mark Elliot prowadził część rozrywkową. Z wielkich czarnych głośników umieszczonych za jego plecami płynęła

głośna muzyka. Ściągnął z szyi biały nylonowy szalik, otarł nim spocone czoło, machnął kilkakrotnie nad głową, a potem cisnął w widownię, na której zasiadały głównie kobiety; pomyślał równocześnie, że w czasie najbliższych zakupów u Woolwortha musi nabyć przynajmniej tuzin talach szalików.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję wam wszystkim - to mówiąc palcem, na którym lśnił wielki kryształ, wskazał blondynkę siedzącą w trzecim rzędzie. - Kocham cię, kotku.

To wystarczyło, by widownia wpadła w szal, obłąd na tle Elvisa. Dzięki pomocy przyjaciółek jedna z kobiet wspięła się na scenę i objęła Marka ramionami, niemal zrzucając mu z głowy czarną perukę z bokobrodami a la Presley. Wydał górną wargę i wymówił następne słowa doskonale naśladowując akcent Króla.

- Popatrz no tutaj, mamuśka.

Igdy przytrzymał dyskretnie perukę, kobieta ucałowała go w usta, namiętnie obejmując za szyję. Wreszcie wydostał się z jej objęć i oddał ją grupie podnieconych przyjaciółek.

W rytm pulsującej muzyki Mark rozpoczął finał. Uniósł wysoko dłonie ozdobione pierścieniami, zakołysał wyzywająco biodrami, pokręcił tykiem, a potem pobiegł kilka kroków, osunął się na jedno kolano i w poślizgu dojechał na skraj sceny.

Ucałował wyciągnięte dłonie, wydał jeszcze parę razy górną wargę i zerwał się na nogi. I wsunąwszy palce za szeroki pas leżący nisko za biodrach, zamiatając połami stroju, ruszył wolno za kulisy.

Mark zaczął udawać Elvisa przypadkiem: dla niewinnego żartu zrobił to po raz pierwszy na urodzinach u znajomych. Potem ludzie zaczęli go prosić, by przebrał się dla matki, brata, siostry czy szefa. I nim się obejrzał, był zapraszany gdzieś w niemal każdą sobotę, a nawet płacono mu za kręcenie biodrami i śpiew. Nie znał żadnego innego psychiatry, który by w wolnym czasie wcielał się w postać Elvisa. Ale facet musi się czymś zająć wieczorami. Ludzie mówią, że praca dobrze robi duszy. Miał do wyboru albo udawać Elvisa, albo dumać o Molly Bennet.

Szybko przebrał się w zwykłe ubranie w toalecie, a potem zrobił to samo, co robił przez ostatnie trzy wieczory, odkąd usłyszał, że mąż Molly dostał wylewu: przejechał obok jej domu, by zobaczyć, czy wróciła z Florydy.

Tym razem zobaczył zapalone światła. Zwolnił i wjechał na pochyły

podjazd, wyłączając silnik, nim mały MG zupełnie się zatrzymał. Już pędził do piętrowego domu, a jego serce waliło, równocześnie tańcząc z radości, Gdy otworzyła drzwi, poczuł się tak, jakby go ktoś uderzył obuchem. Miała na sobie krótką, białą spódniczkę i kolorową bluzkę, była opalona, piękna i pociągająca. Chciał jej dotknąć, pocałować, mocno przytulić.

- Molly! Rany! Wyglądasz wspaniale! - powiedział w sposób, który najpewniej uznała za okrzyk zachwyty młodszego brata.

Mark od zawsze miał ten problem i obawiał się, że to nigdy się nie zmieni. Kobiety, a zwłaszcza Molly, traktowały go jak młodszego brata. Przychodziły do niego, gdy pojawiały się kłopoty z mężczyzną ich życia lub gdy potrzebowały pomocy przy przeprowadzce, albo żeby podczas wakacji zaopiekował się ich kotem, psem czy papugą. Kiedy proponował randkę, prawdziwą randkę, zęgały się szybko i tylko dostawał buziaka w policzek.

Dlatego świetnie zdawał sobie sprawę z sytuacji. Niewykluczone, że ona nigdy nie zobaczy w nim mężczyzny, kogoś, kogo naprawdę mogłaby pokochać. Obawiał się, że zawsze będzie się jej wydawał młodszym braciszkiem.

- Mark? - na jej twarzy malowała się radość. Patrzyła na niego wesoło, choć w jej wzroku kryło się też zdumienie. - Ale się zmieniłeś!

Niczego takiego nie zauważył. Wprawdzie przez krótki okres w życiu, gdy miał praktyki w szpitalu, dał się wciągnąć w głupotę zabiegania o modny wygląd, ale szybko uznał, że za dużo z tym zachodu. W życiu są ważniejsze sprawy.

Jeżeli teraz robił wrażenie innego, to zapewne zmiana nastąpiła w Molly.

- Dostałeś ode mnie pocztówki? - zapytała.

- Przyczepiłem je do lodówki.

Wciągnęła go do środka, zamknęła drzwi i chwyciła jego dłoń w rękę. Szybko obejrzała go od stóp do głów, a potem dotknęła zacięcia na policzku.

- Schudłeś - rzuciła.

Zastanawiał się, co by powiedziała, gdyby wyznał jej prawdę - że kilogramy same z niego zleciały, bo tęsknił za nią. Podniosła dłoń i sięgnęła do jego ciemnych włosów.

- I zapuściłeś włosy. Podoba mi się, ale szkoda loczków - dodała ze smutkiem.

Dobrze. Facet z loczkami wygląda młodziej, sprawia wrażenie słodkiego i miłutkiego. Zmęczyło go już bycie słodkim i miłym.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Molly, ale jakby nie Molly. Zawsze mu się podobała, zawsze ją kochał, a teraz emanował z niej nowy, egzotyczny wdzięk. Przedtem czuł się przy niej swobodnie. Normalna niczym ciasteczka domowej roboty ze szklanką mleka. Teraz była tajemnicza. Bardziej kojarzyła się z satynowym prześcieradłem i szampanem.

- Czy to szminka? ^przeciagnęła palcem po jego górnej wardze. -Nigdy wcześniej nie dotknęła go w tak intymny sposób. Nie potrafił już dłużej nad sobą panować. Przytulił ją do siebie.

Nim się obejrzał, już obejmowała go ramionami i tuliła głowę do jego torsu. Czuł bicie swego serca znajdującego się tuż przy jej uchu. Czy i ona słyszy to szalone łomotanie?

- Tak się cieszę, że przyszedłeś - powiedziała.

Gdy tylko usłyszał jej głos, od razu poznał ten ton: nie brzmiała w nim tęsknota ani pragnienie, tylko potrzeba pociechy.

Poruszyła się i odsunęła, wymykając z jego uścisku. Wyciągnęła chusteczkę higieniczną z pudełka stojącego na stoliku, wytarła oczy i przedmuchała nos.

- Przepraszam, ale właśnie wróciłam ze szpitala... - Znów się wzruszyła, zdołała tylko potrząsnąć głową i sięgnąć po następną chusteczkę.

Po chwili parsknęła śmiechem, nagle slcreDowana swoim wybuchem.

- Chyba osiągnęłam kres wytrzymałości emocjonalnej. Jestem zupełnie wykończona - wyrzuciła z siebie szybko. - Lot był okropny, fatalne przesiadki, czekanie na trzech lotniskach. Do tego wcale nie chciałam wracać. A potem spotkanie z Austinem... Wiadomość, że Amy spodziewa się dziecka.

Uniósł brwi,

- Znowu?

- Tak - pociągnęła nosem. - Wyobrażasz sobie? Następna ciąża. Opanował rozbawienie. Wspominając przejścia Amy mógł się założyć, że Molly gorzej znosiła ciężę córki niż sama zainteresowana.

- A potem przyjazd do tego domu - ciągnęła Molly. - Miejsca, które, jak sądziłam, pożegnałam na zawsze. Czy wiesz, że on tu niczego nie zmienił? Przypuszczałam, że chociaż popakuje moje rzeczy i wyrzuci na strych. Szkoda, że nie widziałeś lodówki. Pełna karmy dla ptaków.

Na tym ostatnim zdaniu zachłysnęła się bardziej niż na poprzednich, jakby to ją dotknęło mocniej niż ciąża Amy czy spotkanie z Austinem w szpitalu. Potrząsając głową wykonała bezradny gest dłonią.

- Za dużo jak na jeden dzień. Za dużo jak na rok.

Może nie rozumiał znaczenia karmy dla ptaków w lodówce, ale rozumiał Molly. Byli podobni do siebie. Troszczyli się o ludzi przebywających obok. I jeżeli źle się działo, mieli poczucie winy.

Za gardło ścisnął go ból. Oddałby wszystko, żeby tylko ona była szczęśliwa.

Wiedziony egoizmem pożałował, że spotkanie z nim jej nie wystarcza. Ale szybko się poprawił.

- Och, Molly - znów ją do siebie przytulił, dając jej taki rodzaj pociechy, jakiej potrzebowała i jaką umiała od niego przyjąć.

- Prześpij się - poradził. - Rano wszystko wyda ci się łatwiejsze. Podniosła na niego wzrok i słabo się uśmiechnęła.

- Czy to rada psychologa?

Zawahał się, a potem pogładził jej miękkie, puszyste włosy, wdychając ich woń.

- Rada przyjaciela - odparł.

- Tęskniłam za tobą - wyznała ze szczerością, która była kolejnym ciosem w serce.

No proszę, trzyma ją w ramionach, dotyka jej ciała. Istna tortura. Jej twarz tak blisko, jej usta...

Jak często się zastanawiał, co by poczuł całując te wargi? Jak smakują? Chciał ją teraz pocałować. Boże, jak strasznie tego chciał. Ale wiedział, że wszystko by popsuł. Zresztą i bez tego miała dość problemów. Nie powinna wiedzieć, że jest dla niego kimś więcej niż przyjaciółką. Nie powinna wiedzieć, że ją kocha.

Rozdział siódmy

Następnego ranka po spotkaniu babci i wnuczki Melinda została z przyjaciółką swojej mamy, a Amy i Molly pojechały do szpitala.

- Dzisiaj zabierzemy cię na rehabilitację - oświadczyła Molly, nastawiając się na negatywną reakcję Austina. **Siedział** na wózku; szarpnął szarą bluzę przy szyi.

- **Ściska** cię? - Molly podeszła, by mu pomóc. Machnął w jej kierunku ręką i wydał niski pomruk. Jak na osobę, która nie może mówić, bardzo jasno wyraził swoje niezadowolenie. Popatrzył twardo na zone i chwyciwszy za notes i ołówek, zabrał się do pisania.

Zajął mu to całą minutę, ale w końcu naskrobał imię Amy. Wskazał **potem** na córkę i na siebie. Chciał, żeby to ona zabrała go na terapię.

- Ja też idę - powiedziała Molly.

Ponownie przycisnął ołówek do kartki, tym razem tak mocno, że rozerwał papier i złamał grafit.

Rzucił bezużyteczny przedmiot w róg pokoju. Próbował cisnąć za nim i notes, lecz był przywiązany do wózka. Szarpnął za sznurek, wydał kolejny pomruk i poddał się.

- Mamo, może ja powinnam...

- Nie.

Austin się przyzwyczaił, że w każdej sytuacji stawia na swoim. Dziś tak nie będzie. Jeżeli Molly ma się nim zajmować, powinien jak najszybciej zdać sobie z tego sprawę.

- Austin... - pochyliła się nad nim.

Z uporem wpatrzył się w jej oczy. Wargi opornie układały się w słowo.

- Nie - udało mu się w końcu wymówić; znacznie wyraźniej niż poprzedniego dnia. Zupełnie jakby spierała się z dwulatkiem. Zmusiła się, by wytrzymać jego spojrzenie i nie dać się zastraszyć. Widziała, jak szybko pulsuje tętnią na jego szyi. Twarz nabrała pałowego koloru.

O Boże! A jeżeli dostanie kolejnego wylewu? Lekarz twierdził, że to mało prawdopodobne, jednak przy wybuchowym charakterze Austina...

Molly wyprostowała się i położyła dłonie na oparciu wózka. Austin przechylił głowę na bok i uparcie wpatrywał się w jej oczy.

Jego oczy.

Ciało może było bezsilne, ale w źrenicach płonęła moc. Ogień. Wściekłość.

On mnie nienawidzi!

Wstrząsnęło nią to odkrycie. Zaskoczyło. Zabolało. Przez cały czas była przekonana, że jest mu doskonale obojętna, a w jego sercu nie ma miejsca na tak głębokie uczucia. A jednak... Bez wątpienia...

Nie powinna przejmować się jego myślami. Nie powinno jej to dotyczyć.

- Mamo?

Wstrząśnięta tym, co ujrzała w twarzy Austina, Molly zapomniała, co miała zamiar powiedzieć. Dla uspokojenia wzięła głęboki oddech.

- Amy będzie miała dziecko - oświadczyła po chwili.

Widziała jego reakcję - zaskoczenie i zdziwienie. Jakby ktoś wrzucił kamyk do jeziora, tak ta wiadomość docierała do kolejnych pokładów jego mózgu. Mogła niemal czytać jego myśli, prawie dokładnie widziała, kiedy chwilowo

zaakceptował sytuację ze względu na Amy. Zamrugał oczami i osunął się w fotel, a dłonie spoczęły biernie na kolanach. Jego wzrok zdawał się mówić: wygrałaś, ale tylko tę rundę. Molly obeszła wózek i ujęła gumowe ączki.

Zwolniwszy hamulec,

popchnęła go do przodu. Ruszyli, Molly pchała, a Amy szła obok.

- Tatusiu, pamiętasz, jak zachorowałam na zapalenie płuc i wzięli mnie do szpitala?

- spytała córka, gdy podążali korytarzem. - Miałam zaledwie pięćlat i musiałam spać w namiocie tlenowym. Umierałem ze strachu, więc

pierwszą noc spędziłeś w namiocie razem ze mną. Pamiętasz, jak rano, kiedy przyszły pielęgniarki, wyczołgałeś się z namiotu i miałeś mokre włosy przyklepione do głowy?

Amy roześmiała się, a ojciec prychnął gardłowo i przytaknął. Amy zawsze umiała rozweselić Austina, gdy popadał w ponury nastój.

Molly nie udało się pokonać znajomego uczucia irytacji. Złościło ją, że Austin zrobił tak mało, by zdobyć oddanie córki, z którego chyba nawet nie zdawał sobie sprawy.

Ale kiedy to było? Kiedy siedział przy Amy? - zastanawiała się Molly. Wróciła myślą do tych trzech wypadków, gdy córkę zabrano do szpitala, powoli przypominała sobie okoliczności...

Molly sama się rozchorowała, dlatego lekarze nie pozwolili jej zostać w szpitalu. I Austin zaskoczył ją tym, że się zaofiarował. Zupełnie o tym zapomniała... Ale na pewno nie słyszała tej historii.

Gdy znaleźli się na dole, Austinem zajął się instruktor, robiąc z nim serię ćwiczeń ruchowych, które miały utrzymać w formie jego stawy i mięśnie.

Nie przejmował się tym, że Amy patrzy. Już wcześniej tu bywała. Ale . Molly źle wpływała na jego nastrój. Mimo to postanowił, że nie pozwoli, by jej obecność rozproszyła jego koncentrację. Musi szybko wrócić do zdrowia.

Po gimnastyce przyszedł czas na ćwiczenia mowy. Austin zawsze unikał sytuacji, w której miał zrobić coś głupiego, frywolnego, nie chciał wyjść na idiotę, dlatego te zajęcia były dla niego koszmarem.

Siedział naprzeciwko rehabilitantki, między nimi leżała karta kontrolna; poprosiła go, żeby powtarzał spółgłoski i samogłoski. Zwinął język i przycisnął go do górnej szczęki.

Niektórzy ludzie - choćby Sammy, brat Molly, facet bez najmniejszych zahamowań - wcale by się tym nie przejęli. Sammy najpewniej uznałby to za bardzo zabawne i nawet by mu się to spodobało. Ale nie Austin. On tak nie potrafi. Nawet gdyby chciał.

Wcale też nie pomagało, że rehabilitantka była młoda i ładna, o doskonale umalowanej twarzy i starannie uszminkowanych ustach. Kiedy wydymała wargi, on miał naśladować jej ruchy. Jej doskonałość tym dobitniej uświadamiała mu własne braki. Jego niechlujne ubranie, nie ogoloną twarz. Jego

paraliż. Oto ona, młoda, śliczna dziewczyna, każdy lok na swoim miejscu, wydeła usteczka i czeka, aż on zrobi to samo.

Wcale też nie pomagało, że Molly siedzi przy stole i wszystkiemu się przygląda. Och!

- No, proszę, panie Bennet - terapeutka stuknęła polakierowanym paznokciem w blat stołu. - Proszę spróbować literę „Ł”.

Jego wzrok powędrował do zegara na ścianie. Na dużym cyferblacie łatwo było zobaczyć wskazówki, ale nie wiedział, która jest godzina. Cyfry plątały mu się w głowie.

- Proszę patrzeć na mnie. Na moje wargi - spomiędzy nich wypłynął miękki, dopracowany dźwięk.

Z wysiłkiem spróbował ją naśladować i wydał coś przypominającego muczenie krowy przy porodzie.

Zmarszczyła cienkie brwi. Postawiła krzyżyk w jednej z kratek na karcie kontrolnej. Test. Nienawidził testów. Zawsze ich nienawidził.

Po następnych pięciu minutach, kiedy bezskutecznie próbował naśladować podpowiadane przez nią dźwięki, minutach obserwowania, jak zaznacza krzyżykiem nieudane próby, wreszcie wybuchnął.

- Niiee! - z trudem wykrztusił słowo. Przycisnął czubek języka do dolnego podniebienia. - Test - zabrzmiało bardziej jak „tes”. Rehabilitantka popatrzyła na niego, pytająco unosząc brwi, co jeszcze bardziej go rozzłościło. Wytłumaczy jej dobitniej!

Zdrową ręką chwycił papier leżący przed nią i zmiął go. To mu me wystarczyło. Ścisnął go dalej i wreszcie rzucił na podłogę.

- Tato!

Amy patrzyła na niego z mieszaniną nagany i miłości. Dziewczyna zamknęła notes.

- Wystarczy na dziś. Marnuje pan czas mój i swój - wstała. - Mam innych pacjentów, którzy chcą ze mną współpracować. Może jutro będzie pan bardziej do tego skłonny.

Skarcony poczuł, że wyszedł na kompletnego głupca.

- Ona tylko chciała ci pomóc - tłumaczyła Molly, gdy rehabilitantka wyszła.

Amy podniosła papier, który Austin zmiął i rzucił na podłogę.

- Ale ty przecież nie chcesz, żeby ktokolwiek ci pomagał? - zapytała żona.

Nie, nie chce. Nie chciał pomocy lekarzy ani terapeutów. A zwłaszcza pomocy Molly. Nie potrzebuje jej. Ani teraz. Ani nigdy.

Gdy wracali do pokoju, córka nie snuła wspomnień z dzieciństwa. Amy i Molly rozmawiały o wypisaniu go ze szpitala, jakby go przy nich nie było, jakby nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

Wiedział, że jego ubezpieczenie pokrywa jeszcze tylko dwa tygodnie pobytu. Potem będzie musiał się wynieść. Ale nie zamierza wrócić do domu. W każdym razie dopóki ona tam jest.

Mogą robić plany dotyczące jego osoby, ale to ich plany, nie jego. Nikt o tym nie wie, lecz on ma własną koncepcję.

Rozdział ósmy

Skoro powrót do zdrowia po wylewie może trwać miesiące lub nawet lata, każdy, włączając w to doktora Hanka, był zdumiony postępami, jakie zrobił Austin w tak krótkim czasie.

Nim minęły dwa tygodnie, już chodził korytarzami szpitala opierając się na metalowym balkoniku. Usprawnił także rękę, choć nadal z trudem wykonywał niektóre ruchy, na przykład miał kłopoty-używaniem sztućców czy zapinaniem guzików.

Postępy oraz upływ czasu wskazywały na jedno: nadszedł moment powrotu do domu.

Chyba to dla ciebie za dużo - powiedziała Molly do córki, gdy Amy zajęła miejsce w samochodzie kombi matki. W jednej ręce trzymała torebkę słonych krakersów, a w drugiej wiaderko.

- Nic mi nie będzie - rzuciła, choć twarz miała kredowo błądą. - Poczekaj tylko minutę.

- Amy, dlaczego nie zostaniesz w domu? Nie nadajesz się do jazdy.

- Przecież tatuś wraca dziś do domu. Czeka na mnie.

Molly wrzuciła bieg i odjechała od krawężnika, myśląc, że Amy uporem dorównuje ojcu.

Kiedy dotarły do szpitala, dowiedziały się, że biedaczka męczyła się na próżno. Austin bynajmniej nie czekał nieciepliwie na ich przyjazd. Ani na przybycie kogokolwiek innego.

Zniknął.

W pokoju nie pozostał najmniejszy ślad jego obecności. Pościel na łóżku zmieniona, wszystko gotowe na przyjęcie nowego pacjenta.

- Nie ma go tutaj? Jak to? - zapytała Molly pielęgniarkę.

- Wypisał się godzinę temu.

- Co? - wykrzyknęły chórem.

- Nie mógł się ot tak wypisać. Przecież zabieramy go do domu - tłumaczyła Molly.

- Przykro mi, ale sam podpisał stosowne dokumenty - pielęgniarka przełożyła tacę z lekami do drugiej ręki.

Do Molly nie docierało znaczenie prostego zdania. Dlaczego Austin nie poczekał?

- Nie rozumiem. Jak on się dostanie do domu?

- Nie pojechał do domu. Na własną prośbę został odwieziony do ośrodka specjalnej opieki.

Ośrodek specjalnej opieki? Dlaczego sama o tym nie pomyślałam? - zapytała siebie w duchu Molly. i

- Dom starców? Tato w domu stardów?

- Ośrodek specjalnej opieki - poprawiła pielęgniarka.

- Dom starców - Amy chwyciła się za brzuch. - O Boże, nie mogę w to uwierzyć.

Wszystko dla niego przygotowaliśmy. Myślałam, że o tym wie.

- Wiedział - wyjaśniła kobieta tracąc cierpliwość; najwyraźniej dotknął ją ton, w jakim Amy wykrzyknęła „dom starców”. - Właśnie dlatego tak się śpieszył. ¹>

1 atuś w domu starców! - powtarzała Amy urażonym głosem, gdy jechały przez miasto pod adres, który dostały od pielęgniarki. - Klonowy Dwór. Rany, brzmi jak nazwa domu pogrzebowego. Dlaczego on to zrobił?

- Przeze mnie - Molly zakręciła ostro. - Tak sobie myślę... że może to i niezły pomysł...

- Mamo!

Molly nie nalegała, ale w duchu miała nadzieję, że widząc warunki życia w ośrodku Amy zmieni zdanie. Zachmurzyło się i zrobiło się zimno; przygnębiająca pogoda typowa dla

Środkowego Zachodu. Molly jej nie cierpiała. Idealny dzień i w przytułku. Klonowy Dwór okazał się długim, parterowym budynkiem z czerwonej cegły. Gdy Molly zatrzymała się na niemal pustym parkingu, zaczęło padać; pierwsze duże krople szybko przeszły w ulewę.

Molly wyłączyła silnik i spojrzała na córkę. Amy obiema rękami obejmowała wiaderko przyciskając je do piersi. Twarz jej jeszcze bardziej pobladła.

- Będziesz musiała iść beze mnie - wyszeptła.

Molly dotknęła policzka córki. Był zimny i pokryty lepkiem potem.

- Powinnaś leżeć w domu w łóżku.

Amy przytaknęła zamykając oczy i opierając głowę na siedzeniu.

- Wrócę jak najszybciej - zapewniła Molly.

Amy wymarotała coś niewyraźnie i Molly szybko wysiadła.

Wewnątrz domu pachniało cytrynowym odświeżaczem powietrza. Obok biurka recepcjonistki wisiał terminarz zajęć w warsztatach i prób chóru. Wszędzie panowała czystość. Recepcjonistka była pogodna i uprzejma.

Nieźle miejsce, pomyślała Molly. Może jeśli Amy sama zobaczy...

Znalazła Austina siedzącego samotnie w kącie dużej sali. Wyglądał przez okno, za którym rozciągał się niczym nie osłonięty ceglany mur.

Podeszła cicho i zatrzymała się o parę kroków od niego.

- Austin...

Nie zdradził się, że ją usłyszał. Nie odwrócił się, nawet nie mrugnął powieką. Ale żałośnie opuszczone ramiona świadczyły o wielkim utrudzeniu. Nadal łatwo się męczył, wtedy jego stan się pogarszał i wracał do pierwotnego poziomu tuż po wylewie.

- Austin... - Nie miała pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. - Co ty tu robisz? Na dworze deszcz walił o szyby. Ściany sąsiednich budynków pociemniały od mokrych kropli.

Austin nieporadnie sięgnął po notes i ołówek.

Chociaż doktor Hank ostrzegał go, że używając ich stale będzie wolniej odzyskiwał umiejętność mówienia, Austin upierał się, by wszystko pisać.

Teraz, ponieważ był zmęczony, kreślił mniej wyraźne litery. Różnej wielkości i dziwacznych kształtów, kilka zgubił, zrobił błędy ortograficzne. Ale zrozumiała, co starał się wyrazić. Nim wróci, chce, by się wyniosła z domu.

- Kto się tobą zajmnie, jeżeli wyjadę? - zapytała.

Znów napisał. AMY.

Spojrzeniem szukał nieobecnej córki.

Molly przyszło do głowy, jak cierpi przez niego Amy.

- W tej chwili Amy siedzi na parkingu i wymiotuje - wskazała w kierunku samochodu. -

Stale ma mdłości, a wiesz, jak się to u niej kończy.

Coś zablęskło w jego oczach: troska i może odrobina tego niepokoju, który pochłaniał Molly.

Austin po raz kolejny zmagał się z pisaniem. NIETZEBAKOGO.

I żeby poprzeć to zdanie, próbował wstać. Dla większości ludzi prosta czynność, a dla Austina wielkie zmaganie. Molly chciała mu pomóc, lecz z doświadczenia wiedziała, że odtrąci jej dłoń.

Po chwili już stał przed nią na niepewnych nogach. Choć zgarbiony, nadal był wysoki; musiała podnieść wzrok, by spojrzeć mu w oczy. Szerokie ramiona zdawały się przyginać go ku ziemi.

Spędził tu zaledwie parę godzin, a już dostrzegła drobne ślady zaniedbania.

Rozpięty guzik. Sposób, w jaki siedział na wózku... A przecież wyraźnie rzucało się w oczy, że tak zmęczony pacjent powinien leżeć w łóżku,

W tym momencie zupełnie nie wyglądał na człowieka, który kiedyś budził w niej taki lęk, lecz wystarczyło, by spojrzała mu w oczy, a widziała płonący w nich ogień.

Wrogość.

Nienawiść.

Ale już się go nie bała. Wróciła, żeby pomóc Amy, i właśnie to zamierza uczynić.

Nawet jeśli to oznacza znoszenie Austina przez parę miesięcy.

- Mam nowe życie - oświadczyła, myśląc o zmianach zaszłych w ubiegłym roku.

Ale zapuszczenie korzeni wymaga czasu. Zaczynanie od nowa, zwłaszcza w jej

wieku, wymaga czasu. - Jeżeli sądzisz, że wróciłam na zawsze, to się grubo mylisz.

Nam zamiar wyjechać z La Grange, gdy tylko będziesz umiał sam się sobą zająć.

Uniół brwi.

Nareszcie zwróciła jego uwagę.

- Nie robię tego dla ciebie, tylko dla Amy. Powinna się przejmować swoją rodziną, przygotowywać na przyjęcie nowego dziecka, a nie zamartwiać

o ojca. Jeżeli potrafisz spojrzeć poza swój czubek nosa, to natychmiast wrócisz do domu.

Jego spojrzenie minęło postać żony i spoczęło na kobiecie robiącej naszydełku w rogu pokoju, na staruszkach grających w karty przy oknie.

Amy miała rację.

Dom starców nie był złym miejscem, tyle że nieodpowiednim dla Austina. Molly nie mogła sobie wyobrazić męża pracującego w warsztatach czy śpiewającego w chórze. Idiotyczny pomysł. Austin nie miał w sobie za grosz spontaniczności czy swobody.

Popatrzyła na niego i spostrzegła, że cały drży. Nagle poczuła się tak, jakby to ona się nad nim znęcała.

Opadł na oparcie wózka i chwyciwszy za notes gorączkowo skreślił jedno słowo:

PSZYRZEKASZ?

Coraz szybciej rozumiała jego niewyraźne pismo. Czy przyrzeka wyjechać natychmiast, gdy on wróci do zdrowia? - Przyrzekam.

Zamknął oczy i westchnąwszy ciężko, pokonany skinął głową,

Rozdział dziewiąty

Następnego dnia po powrocie Austina do domu Molly słysząc dzwonek otworzyła drzwi wejściowe i zobaczyła, że do męża przybył gość - jego siostra, Gabrielle. Stojąc na stopniu Gabrielle głęboko zaciągnęła się papierosem, po czym rzuciła go na ziemię i zgmiotła wysokim obcasem czerwonego sandałka. Podzwaniając bransoletkami, wygładziła obcisłą skórzaną spódnicę.

- Przeczytałam w lokalnej gazecie, że Austin wyszedł ze szpitala - powiedziała. Chociaż Gabrielle mieszkała zaledwie sto dwadzieścia kilometrów od nich, Molly widziała ją tylko dwa razy w życiu. Pierwszy raz na krótko przed ślubem, 'a^drugi na pogrzebie ojca Austina i Gabrielle. W obu sytuacjach dziewczyna zachowała dystans. Wyjątkowo nieprzystępna osoba.

Wszystko w niej było obce. Styl ubierania. Sposób, w jaki paliła i piła. Zachowanie pełne pretensji, zupełnie jakby zesła prosto z kart książki opisującej młodocianych przestępców z lat pięćdziesiątych. Twarda - to słowo najlepiej określało Gabrielle Bennet.

Austin bardzo rzadko wspominał siostrę. Molly wiedziała o niej niewiele poza tym, że pozuje nago do zdjęć publikowanych w pismach tylko dla mężczyzn.

Molly otworzyła szerzej drzwi i odsuwając się na bok zaprosiła szwagierkę do środka.

Gabrielle założywszy nogę na nogę przysiadła na krawedzi krzesła. Marzyła o papierosie. Austin wprawdzie nigdy nie umiał nawiązywać rozmowy, ale cisza panująca w pokoju zaczynała jej działać na nerwy. Zaczęła żałować, że Molly zostawiła ją z nim samą. Strasznie to krepujące, kiedy człowiek nie wie, co powiedzieć własnemu bratu.

Ale czy kiedykolwiek mieli sobie coś do powiedzenia? W ciągu ostatnich dwudziestu lat widziała go «oże trzy czy cztery razy. Popelniła błąd wpadając tutaj. Co ją opętało? Ten facet siedzący obok to obcy człowiek. Ma dorosłą córkę, której nigdy w życiu nie widziała, a ta dziewczyna ma dziecko. Gabrielle przypomniała sobie notatkę w prasie o narodzinach maleństwa, ale nie pamiętała jego płci. Przełknęła ślinę.

- Wspomniałam ci, że chodzę do szkoły wieczorowej?

Kłamstwo. No, nie całkiem. Poszła tam parę razy, a potem dała sobie spokój. Ale uznała, że Austin ucieszyłby się z wiadomości o jej dalszej edukacji.

- Taa, w zeszłym roku zdałam maturę i pomyślałam, że zrobię jakiś kurs w college'u. Austin wydał aprobujący pomruk i poprawił się na wózku. Zdziwiła się, że się ucieszył na jej widok. Ale przecież kiedyś byli mocno związani, stawali za sobą murem. Kiedyś Austin dostawał w skórę za to, co ona nabroiła.

Ach, stare, dobre czasy.

Rany, papierosa! Nie widziała żadnej popielniczki. Gdyby zapaliła, Molly najpewniej wpadłaby z wiadrem wody.

Jak dotąd tylko Gabrielle mówiła, ale nagle Austin zaczął wydawać dziwne dźwięki i pojęła, że próbuje się z nią porozumieć. Z trudem zrozumiała, o co mu chodzi.

Chciał wiedzieć, co jeszcze robi.

Cholera, papierosa!

Wyciągnęła z torebki gumę do żucia i zaferowała bratu kawałek; gdy odmówił, wsunęła porcję do ust.

- Co robisz? - grała na zwłokę. Przecież się nie przyzna, że zarabia na życie rozbieraniem. Choć może się okazać, że zareaguje podobnie jak staruszka mieszkająca w jej bloku. Kiedy powiedziała jej, czym się zajmuje, ta odparła:

- Och, mam starą toaletkę, którą też chciałabym rozebrać.

- Nie rozbieram mebli - wyjaśniła Gabrielle - tylko siebie z ubrania. Kobieta załapała się pasem, niemal odgryzła sobie język i czym prędzej uciekła. Przynajmniej dała spokój z idiotycznym zapraszaniem na herbatę.

- Co teraz robię? - powtórzyła. Nie chciała już więcej kłaniać, choć przecież w tym się specjalizowała. - To i owo, różnie.

Nie przychodził jej do głowy żaden temat do rozmowy, który by interesował ich oboje czy jakoś ich łączył. Większość jej anegdot z życia wziętych dotyczyła mężczyzn, barów, kapel i pijaków. Oraz zmarnowanego życia. Dlatego wróciła myślą do ich przeszłości, do wspólnych spraw i ze zdumieniem przypominała sobie niegdyś ulubioną historyjkę.

- Pamiętasz, jak w dzieciństwie byliśmy w tej drogiej restauracji? I przyciąłeś obrus w suwaku rozporka? Kiedy wstałeś, ściągnąłeś na podłogę połowę zastawy! - Typowa sytuacja. - W domu dostaliśmy po uszach, ale nie żałuję, było warto. Austin przytaknął z uśmiechem.

- A mój pierwszy dzień w szkole, kiedy nie mogłam usiedzieć w klasie? Ciągle uciekałam do twojej, aż wreszcie pozwolili mi zostać z tobą do końca dnia. Zapaliła się do tematu i stopniowo lepiej poczuła się w towarzystwie Austina, gdy tymczasem on zasnął. Molly ją ostrzegła, że zaledwie wczoraj wrócił do domu i przeprowadzka kosztowała go dużo wysiłku. Nie powinna była siedzieć tak długo. Wstała i podeszła do wózka.

- Cześć, Austin - szepnęła. We śnie nie wyglądał tak źle i nie wydawał się zupełnie obcym człowiekiem.

Dostał wylewu przez ich starego. Zawsze popychał Austina, żądając sukcesu i oczekując więcej, niż ktokolwiek mógłby osiągnąć. Pchał go bezlitośnie. W ich świecie nie było nagrody za zwycięstwa, tylko kary za porażki. Dlatego Austin nie przegrywał zbyt często.

Gabrielle pamiętała, że kiedy miał dziewięć czy dziesięć lat, ojciec zmusił go, by stał w kącie przez całą noc, bo na klasówce z matematyki nie rozwiązał jednego zadania. Tylko jednego.

Matka się nie wtrącała. Była wiecznie roztrzęsionym cieniem błakającym się po obrzeżach ich życia. Gabrielle wtedy tego nie rozumiała, ale matce po

prostu brakowało rozumu. Ojcu to odpowiadało, bo zawsze chciał czuć, że jest lepszy od otoczenia.

Ich matka nie była jednak aż taka głupia, skoro pewnego dnia zniknęła i więcej się nie pojawiła. Gabrielle podejrzewała, że znalazła sobie bogatego faceta. Najpierw dostali parę pocztówek z egzotycznych miejsc, lecz stopniowo przychodziły coraz rzadziej, aż wreszcie przestała pisać nawet i na Boże Narodzenie.

Kiedy ojciec powiedział, żeby o niej zapomnieli, bo już nigdy nie wróci, Austin się rozpląkał. Gabrielle nigdy wcześniej nie widziała go płaczącego, nawet wtedy, gdy dostawał lanie. I nigdy więcej nie ujrzała łez w jego oczach.

Stojąc przy nim zastanawiała się nad życiem brata, nad tym, jak mu się ułożyło. Ojciec interesował się wyłącznie synem, a ponieważ był opętany dążeniem do doskonałości, więc ograbił Austina z dzieciństwa.

W korytarzu rozległy się głosy przypominając jej, że czas wyjść. Austin nadal spał. Kiedy cię znów zobaczę? - pomyślała. - Za następne dziesięć lat?

Coś ją ścisnęło za gardło. W oczach zakręciły się łzy. Chwyliła torebkę i wybiegła z pokoju.

Mark przykazał sobie trzymanie się z daleka od Molly przez parę dni, ale gdy tylko usłyszał, że na dobre wzięła Austina do domu, po prostu musiał zajrzeć i zobaczyć, jak się wszystko układa.

Sądząc po opuszczonych ramionach Molly - nie najlepiej. Było zaledwie wczesne popołudnie drugiego dnia pobytu Austina w domu, a już wyglądała na wykończoną. Nie chciał myśleć o tym, jak Molly troszczy się o męża, obsługuje go, zamęcza się dla mężczyzny, który nigdy na nią nie zasługiwał i który nigdy nie doceni jej wysiłków.

- Jak sobie radzisz? - spytał, gdy wpuściła go do domu. Z westchnieniem zamknęła za nim drzwi.

- Nieźle. Austin jest wściekły, że tu zostałam.

- To może powinnaś się jeszcze raz zastanowić. Po co się dla niego mordować? Nie lepiej wynająć...

- Mark, proszę - przerwała mu. - Muszę to zrobić.

Dobrze ją rozumiał. Na tym właśnie polegał jego problem. Potrafił się

wczuć w każdą sytuację. Był jak gąbka, która wchłania prądy otaczających go ludzi. Z lewej strony dobiegł dźwięk zamykanych drzwi, a potem stukot wysokich obcasów.

Korytarzem szła kobieta w obcisłej, krótkiej spódniczce, czerwonej skórzanej kurtce i długich kolczykach. Zramion spływały jasne cieniowane włosy, mocno utapirowane, a cała fryzura trzymała się dzięki niejednemu opakowaniu lakieru do włosów. Matka Marka nazwałaby ją arabeską. Co osa u licha robi w domu Molly? Na tle tapet w kwiatki i antycznych roebk' wyglądała jak z innej planety. Minęła wyczyszczoną do połysku poręcz schodów, szła po wyfroterowanej podłodze przykrytej dywanem.

Stojąca za nim Molly poruszyła się nerwowo.

- Mark, to siostra Austina, Gabrielle.

Siostra Austina? Pruderyjny Austin, konserwatysta do szpiku kości, ma taką siostrę? Najlepszy przykład na diametralne różnice między rodzeństwem. Łączyły ich tylko imiona. Molly nie wymawiała Gabrielle jak imię anioła, lecz z krótkim „a” w środku. Egzotyczne, ciekawe, a równocześnie dziwaczne. Ci Bennetowie umieli sobie dobierać pompatyczne imiona.

Niektóre kobiety źle podają rękę. Ta umiała wymieniać uścisk dłoni. Mark zauważył, że miała suchą rękę; od jej ubrania płynął odór starego dymu papierosowego, którego nie tłumiała ciężka woń perfum.

Przytrzymała jego dłoń. Spojrzeniem spod ciężkich powiek powiodła wolno od góry do dołu wzdłuż jego ciała; poczuł się tak, jakby go dotykała. Coś się w nim poruszyło, choć przecież starannie i świadomie unikał kobiet tego typu.

Wreszcie puściła jego dłoń.

- Nie wiedziałem, że Austin ma siostrę.

Bardzo niegrzeczna uwaga. Pomyśli sobie, że nigdy o niej nie wspominali. Co się zgadza ze stanem faktycznym.

- Nie utrzymujemy bliskich kontaktów rodzinnych, prawda Molly? - rzuciła z uśmiechem.

Mówiła niskim, szorstkim głosem: za dużo papierosów i przesiadywania do późna w nocy. Mark nienawidził tytoniu. Nikt nie palił w jego mieszkaniu czy samochodzie.

Typowe dla byłych palaczy. Rzucił nałóg cztery lata temu i ze wszystkich sił walczył o wprowadzenie prohibicji tytoniowej. Jeżeli on potrafił przestać palić, może to zrobić każdy człowiek.

Z trudem się opanował, by nie zapytać siostry Austina, dlaczego nie spróbuje plastrów nikotynowych. Molly przeniosła wzrok z jednego gościa na drugiego.

- Napijcie się kawy?

- Dzięki, nie - odparła Gabrielle i nagle zaczęła się śpieszyć. - Muszę już uciekać - uniosła rękę, patrząc na przegub, gdzie nie było zegarka; przy tym ruchu zadzwoniły bransoletki. - Jestem umówiona.

I już jej nie było, została po niej tylko smuga woni perfum i starego dymu tytoniowego.

Mark został trochę dłużej, aż go wypłoszyły dźwięki dobiegające z pokoju Austina, który domagał się opieki.

Jaka szkoda, że dostał wylewu. Mark ucieszył się, kiedy Molly wreszcie wyrwała się od tego łajdaka. Nawet się zastanawiał poważnie nad odwiedzeniem jej na Florydzie. W marzeniach widział, jak razem pływają w oceanie. Potem leżą koło siebie na plaży. A dalej nastąpiłaby scena jak z filmu *Stad do wieczności*, gdy fale uderzają o piasek.

Z sypialni dobiegł łoskot. Upadł?

Molly aż podskoczyła. ^ , - Sprawdzę, co z Austinem.

- Pójdę z tobą, może się przydam.

- Twój widok tylko go rozwścieczy.

Austin nie aprobował nikogo w pobliżu, zwłaszcza Marka. Ale z drugiej strony, który mąż lubiłby faceta łążącego za jego żoną?

- Dobrze, ale daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

Przytaknęła ściskając go za rękę i ruszyła w stronę sypialni, a Mark sam otworzył sobie drzwi wejściowe.

Niemal potknął się o siostrę Austina. Siedziała na górnym stopniu schodów z wysoko podciągniętą spódnicą i płakała.

Oparł dłoń na jej ramieniu ratując się przed upadkiem.

- Przepraszam - rzucił.

Podniosła wzrok. Niezbyt ładny widok. Tusz spływał dwoma strumieniami po policzkach. Odwróciła się i zaczęła przeszukiwać zawartość małej torebki. Wreszcie się poddała i wyrzuciła wszystko pod nogi. Szminka, tusz do rzęs, puder, trochę drobnych, pogniecione rachunki, butelka z lekarstwem na receptę i prezerwatywy.

- Cholera - zaklęła zbierając cały bałagan i wrzucając do torebki. Nigdy nie uważał się za geniusza, ale dopiero gdy wytarła nos w rękaw kurtki, domyślił się, czego szuka. Poszedł do samochodu i spod przedniego siedzenia wydobył pudełko chusteczek higienicznych. Trochę zgniecione i zakurzone, ale lepsze niż nic. Wrócił na schody i podał je Gabrielle.

- Dzięki.

Położyła je na kolanach. Zużywając cały plik wytarła oczy i twarz, a Mark usadowił się na stopniu obok niej.

- Austin wyglądał tak okropnie - wyjaśniła rzucając kolejny kawałek ligniny pod nogi. - Nie uwierzysz, ale w dzieciństwie właśnie to robił. - Parsknęła śmiechem. - Udawał, że wydychuje z nosa dżdżownicę. Chował w dłoni robaka, potem głośno kichał i dżdżownica leciała daleko do przodu. Typowe zagrywki starszego brata, uwielbiał mnie straszyć.

Marka zaskoczyła opowieść o tak dziwnym aspekcie charakteru Austina. Często mu się zdarzały podobne sytuacje. Gdy właśnie zaczynał się uważać za cwaniaka i mądrąkę, który rozszyfrował wszystkich i wszystko, ktoś rzucał podobną anegdotę, a on widział, że tak naprawdę nic nie wie. Zupełnie nic.

Gabrielle pociągnęła nosem i zmięła ligninę w palcach.

- Tato utknął w robocie, której nienawidził. Uczył wychowania fizycznego w miejskim liceum w Ceder Rapids. Typowy sfrustrowany geniusz z kupą problemów, który spodziewał się, że jego potomstwo okaże się cudowne, skoro jemu się nie udało. Pr[^]sięgam, on naprawdę żył dla Austina. Mój brat jeszcze nie dotarł na uniwersytet, gdy nagle się zmienił, stał się napuszczony. Doszło do tego, że nie mogliśmy zamienić normalnie paru zdań. Skupiony na wyższych celach, nawiedzony i nieprzystępny. Chodząca doskonałość. Dlatego tak mnie kopnęło, gdy go zobaczyłam w tym stanie. Tego się nie spodziewałam.

Gabrielle zaczęła zbierać mokre chusteczki i wpychać je do torebki.

- A ty? - spytał Mark. - Też cię pchał do wyższych celów? Wybuchnęła gardłowym śmiechem.

- Mnie? Skądże. Miałam szczęście. Kiedy się nie poddałam, stary szybko dał sobie ze mną spokój. Przestałam dla niego istnieć. Ale Austin... Ten przeszedł piekło i stary zupełnie poprzewracał mu w głowie.

Mark nie zgadzał się z jej przekonaniem, że wyszła bez szwanku. Pracując jako psychiatra ciągle się zdumiewał, jak wielu ludzi miało nienormalne dzieciństwo. Tak wielu, że normalne dzieciństwo było właściwie nienormalne. Życie to pole minowe, ani przez chwilę w to nie wątpił.

Wstała i wepchnęła bluzkę pod pasek spódnicy. Gdy spłynęła większość jej makijażu, wyglądała lepiej. Młodziej. Bardziej miękko. Łagodniej.

- Dzięki. - Podała mu zgniecione pudełko chusteczek.

W dzieciństwie, gdy Mark czuł się pokrzywdzony przez los, matka zabierała go na lody. Jedzenie to doskonała pociecha.

- Poszłabyś do cukierni? - spytał.

Popatrzyła na niego zaskoczona, jakby nikt wcześniej nie zaprosił jej w takie miejsce. A potem się uśmiechnęła. Miała małe zęby i białe jak na palaczkę.

- Jasne.

Rozdział dziesiąty

Drzdek, brzdek.

Austin uderzał tacą o ramę łóżka. Metal zgrzytał o metal.

Jego obawy już się sprawdziły. Kiedy utknął w kącie, na wąskim łóżku wepchniętym obok zniszczonej starej szafy, Molly zabawiała się ze znajomymi.

Mógł stawić czoło intruzowi, ale nie odpowiadał mu obraz widziany oczyma wyobraźni: słaby, przygięty do ziemi mężczyzna oparty na balkoniku przeciw facetowi w doskonałej formie. Nie był gotów do takiej konfrontacji. Ani fizycznie, ani psychicznie.

A w tym momencie akurat nie zależało mu na panowaniu nad całym domem.

Ponownie zaczął walić tacą. Rozległ się brzdek.

Kroki. Szybkie. Molly biegnie.

Otworzyła drzwi i wsunęła głowę do środka.

- Potrzebujesz czegoś? - spytała zadyszana. Żeby ta osoba w korytarzu sobie poszła.

Nasłuchiwał.

Cisza. Wreszcie z zewnątrz dobiegł szum zapalanego silnika. Dobrze. Intruz się oddalił.

Skoro ten problem sam się rozwiązał, Austin uniósł do góry najlepszą metodę porozumiewania się ze światem. Wzrok Molly powędrował od notesu w jego dłoniach do karafki z wodą na szafce nocnej i znów do notesu.

- Woda? Ale przecież masz wodę!

Dopisał słowo ŚWIEŻA przez wyrazem WODA i znów jej pokazał.

Przeczytawszy to zmarszczyła brwi, po czym wzięła pełną karafkę i wyfikał uczynić zadość jego prośbie.

Austin zadowolony oderwał kartkę poliniowanego papieru, zmiął ją i rzucił na podłogę, gdzie leżał już pokaźny stos podobnych.

Każdy potrzebuje mieć w życiu cel oraz konkretny plan. Czyż nie mówili o tym bez końca na kursach uczących, jak osiągnąć sukces? No więc on miał cel: odzyskać swój dom.

Najpierw miał zamiar jak najszybciej odzyskać formę, żeby w ten sposób zmusić ją do wyjazdu. Ale nie wracał do zdrowia tak szybko, jak miał nadzieję. Widział, że zajmie to dużo czasu, a nie chciał, by się tu tak długo kręciła. Dlatego wczoraj, gdy Molly przywiozła go do domu, postanowił rozwinać w sobie te cechy charakteru, które najprawdopodobniej skłoniły ją do porzucenia go. Będzie wychodził ze skóry, żeby się okazać najbardziej wymagającym, najokropniejszym durniem.

Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że to rola wymarzona dla niego. Nie minęły jeszcze dwa pełne dni, a już widział u niej oznaki zmęczenia. Wygra. Zawsze wygrywał.

Wczoraj wykorzystał każdy pretekst, jaki dawała mu choroba. Zmusił ją, żeby go ubrała. Umyła mu twarz i ogoliła. Zmusił ją do karmienia. Założenia butów. Zdjęcia butów. Zawiazania sznurowadeł. Za mocno. Teraz za luźno. Podaj mi balkonik. Pomóż wstać. Pomóż usiąść. Napiłbym się wody. Nie, colę. Och, zmieniłem zdanie. Proszę o mleko. Telewizja? Co na programie czwartym? A szóstym? Nie, na dwunastym, W pokoju jest za zimno. Teraz za ciepło. Prześcieradła są za mocno nakrochmalone. Te znów za mało. Chcę dodatkową poduszkę. Och, chyba raczej płasko.

Moje ubrania pachną pleśnią. Nie trzymaj ich w tej zawilgoconej szafie.

A może by sobie zafundować podkurek? Sięgnąć po dzwonek, który zostawiła przy łóżku. Dzwonić mocno i gwałtownie, żeby się pośpieszyła.

Chciałbym herbatnika.

Czy mi go włożysz do ust? Dobrze.

Bez smaku. Co to jest? Bez tłuszczu i cholesterolu? Nie chcę go.

Widzę, że jesteś wściekła. Widzę, że tracisz cierpliwość. Widzę, że niedługo będziesz chciała wyjechać....

Wieczorem Austin uznał, że jest zbyt zmęczony, by opierać się na

balkoniku lub nawet o własnych siłach wstać i podejść do wózka. Molly musiała go więc zanieść. A potem zawiozła go do kuchni i ustawiła wózek przy stole.

Przed nim stał posiłek przyrządzony dokładnie wedle wskazań doktora Hanka.

Łosoś. Fasola szparagowa ugotowana bez soli. Chleb pełnoziarnisty. Chude mleko.

Molly bez słowa usiadła po drugiej stronie i ujawszy widelec zaczęła jeść.

Nawet nie spróbował sam sięgnąć po sztućce. Tylko zmierzył talerz ponurym spojrzeniem, a potem podniósł wzrok na Molly.

Kiedy dalej go ignorowała, uniósł zdrową rękę i pozwolił, by dłoń opadła na blat.

Wtedy pociągnął ku sobie serwetkę tak, że sztućce spadły na podłogę.

Wstała, podała mu czysty widelec i wróciła na swoje miejsce.

Za pomocą papierowej serwetki zrobił wielkie przedstawienie: pracowicie rozdzielił warstwy rozkładając je oddzielnie; cała czynność zajęła mu przynajmniej pięć minut.

Skończyła swoją porcję łososia i popatrzyła na Austina.

~ Nie mam zamiaru cię karmić.

Blefuje. Wiedział, że blefuje. Ustąpi.

W dziesięć minut później skończyła swój posiłek, wstawiła talerze do zlewu i zaczęła je zmywać.

Może ustąpi. Uznał, że powinien zacząć hałasować.

Uniósł dłoń i ujął palcami widelec. Naprawdę trudno mu przyszło go uchwycić, jeszcze trudniej byłoby unieść go do ust. Ale zamiast choć spróbować jeść samemu, pozwolił, by dłoń osunęła się na blat celowo uderzając sztućcem o Bąg talerza. Ponieważ tym się nie przejęła, wsunął odrobinę ryby na widelec i udając wielki wysiłek podniósł go w stronę ust, mając nadzieję, że się odwróci we właściwym momencie.

Jednak to nie Molly obejrzała to przedstawienie, lecz Amy. Otworzyła kuchenne drzwi w chwili, gdy podnosił na widelcu kawałek łososia do ust i celowo pozwolił, by jedzenie upadło na talerz.

Oczy Amy rozszerzyły się ze zdumienia i oburzenia. Podbiegła do ojca i stanęła w jego obronie.

- Mamo, jak możesz!

Molly zakręciła kran z wodą i obróciła się gwałtownym ruchem, zaciskając dłonie na krawędzi zlewu za sobą.

- Powinien sam się obsługiwać.

- W miarę możliwości - odparła Amy.

Austin czekał, aż Molly wyliczy wszystkie te czynności, których nawet nie próbował wykonywać, ale żona milczała. Nie, to nie leżało w jej charakterze.

- Czy w szpitalu powiedzieli ci, żebyś go zagłodziła na śmierć? - Amy nałożyła kawałek łososia na widelec i uniosła do ust ojca. Austin spojrzał na nią z wdzięcznością, ugryzł trochę i skrzywił się. Wystygło. Zimna ryba. Ohyda.

Gdyby to Molly go karmiła, wypłułby pokarm, ale ponieważ była to Amy, zmusił się do przełknięcia.

Amy zmarszczyła brwi, spojrzała na rybę, po czym spróbowała kawałek, a na jej twarzy ukazał się taki sam wyraz, jak u ojca.

- To jest zimne! - zawołała z rosnącym oburzeniem. Zerwała się i włożyła talerz do kuchenki mikrofalowej.

W minutę później przyniosła go do stołu.

- Powinien jeść sam - oświadczyła Molly ze stanowczością w głosie, której Austin nigdy wcześniej nie słyszał.

- Jakim cudem? Nie widzisz, że jest wycieńczony?

Rzeczywiście był wycieńczony. Zdał sobie z tego sprawę dopiero wówczas, gdy Amy powiedziała to głośno. Bardzo dużo go kosztowało zmuszenie Molly do biegania wokół siebie.

Rzucił w kierunku Molly pełne wyrzutu spojrzenie. Widzisz, to ty powinnaś mnie karmić, zdawał się mówić.

Molly nie zauważyła jego szyderstwa. Patrzyła na Amy i wyraz jej twarzy sprawił, że coś go ścisnęło w dołku.

Widział wyraz zdumienia. Zaskoczenie. Ból. I uświadomił sobie nagle, że Molly i Amy nigdy się nie kłóciły. Zawsze zgadzały się ze sobą w każdej sprawie. Zawsze razem i on z boku. A teraz Molly była tu obca, wykluczona z ich grona.

Patrzył, jak zagryza dolną wargę i odwraca się, ale zdążył dostrzec łzy w jej oczach. A on nieoczekiwanie poczuł, że nie podoba mu się rola gości niezgody między matką i córką.

Amy szykowała następny kęs, gdy powstrzymał ją, ujmując za rękę. A potem wyjął widelec spomiędzy jej palców.

Pod czujnym spojrzeniem Amy zdołał nabrać na niego trochę ryby. Uniósł

dłoń na wysokość ust. Walczył z siłą ciężenia. Ręka zadrżała. W duchu wydawał sobie polecenia:

Ściskaj mocno widelec. Podnieś rękę wysoko. Pochyl się do przodu. Pochylenie to bardzo ważna sprawa.

I już kęs wylądował w jego ustach, a on opuszczał ramię, by odpoczęło przed następną turą ruchów.

Amy nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Mamo? - **zawołała przez ramię.**

Molly **otarła policzki** i odwróciła się, by zobaczyć, że Austin wkłada do ust **drugi kęs.**

- Prawda, **jakie to cudowne?** - **zapytała** Amy, uznając wreszcie, że jej troska **dała mu siły** do podjęcia samodzielnej próby.

Molly popatrzyła mu prosto w oczy nie spuszczając wzroku. Nie oskarżyła go o udawanie. Nie powiedziała Amy, że ojciec wykorzystał ją w swojej grze.

- Cudowne - powiedziała tylko.

Ciche pogodzenie się z sytuacją - typowe zachowanie Molly. Austin uważał to za objaw słabości, może dlatego, że on nigdy nikomu niczego nie przepuszczał. Ale nagle się zastanowił, po raz pierwszy od lat, czy w milczącym przyzwoleniu Molly nie kryła się większa siła.

Austin postanowił jej nieco popuścić, ale szybko zmienił zdanie, gdy w nocy słyszał, jak półgłosem rozmawia z kimś przez telefon. Czyżby miała swoje tajemnice?

Zapalił lampkę przy łóżku i sięgnął po dzwonek. Dzwonił i dzwonił w nieskończoność, aż usłyszał stuk odkładanej słuchawki i jej szybkie kroki.

Właśnie pisał drukowanymi literami słowo SKURCZ, gdy wpadła zadyszana od biegu po schodach. Przypomnił sobie, jak gnał po tych samych schodach ponad rok temu, przerażony, że coś jej się stało, tylko po to, by odkryć, iż od niego odeszła. Pokazał jej notes. Zostało mu tylko parę kartek. Niedługo będzie potrzebował następny.

- Gdzie?

Wskazał górną część ramienia unieruchomioną przez wylew. W tym momencie była zdrętwiała, niemal martwa, ale nie bolała.

Zrezygnowana Molly, widząc, że nie ma wyjścia, podeszła do łóżka i sięgnęła do górnego guzika piżamy.

Sam nie wiedział, dlaczego ujął ją zdrową ręką za wąski przegub i powstrzymał. Spojrzała na niego, a w jej brązowych oczach dostrzegł pytanie. Jej twarz była tuż obok. Światło lampy lśniło na jej włosach, zapalając w nich miedziane błyski. Północ już dawno minęła; wyciągnął ją z łóżka. Miała na sobie starą, bawełnianą koszulę nocną sięgającą tuż przed kolana. Jeszcze się nadaje do użytku. Praktyczna. Po wielu praniach zrobiła się cienka. Spływała w dół jej kształtnych piersi. Przysięgłby, że widzi ciemny zarys brodawek.

Miała nagie, opalone ramiona. Brązowa skóra na nogach i stopach przypomniła mu o roku, który spędzili oddzielnie. Ale czyż nie byli zawsze oddzielnie, nawet gdy mieszkali pod jednym dachem? Nawet gdy się kochali, widział coś, co go niepokoiło - spotkanie dwojga obcych ludzi. Nie rozumiał, dlaczego tak, się dzieje, ani nie wiedział, jak to naprawić.

- Austin?

Ciągle trzymał ją za przegub. Nagłe zdał sobie sprawę, że nie chce, by zdejmowała mu piżamę. Nie chce, by zobaczyła jego bladą skórę na tle swojej zdrowej opalenizny.

Pokręcił głową i puścił dłoń odpychając ją lekko. Idź sobie.

Już wczoraj przejrzała jego grę. Jeżeli pójdzie teraz na górę i ułoży się do snu, Austin natychmiast znów ją przywoła.

- Skoro już jestem, mogę równie dobrze wymasować ci ramię - mówiąc to zaczęła rozpinać guziki.

Zwykle nie nosił piżamy. Dobre dla staruszków. Ale po wylewie jego krew krążyła wolniej. Marzył łatwo. A przy jego ograniczonych możliwościach ruchowych trudno było zakładać podkoszulek.

Skończyła z guzikami i zsunęła materiał z ramienia znany mu ruchem, który przypomniiał mu o jej zdradzie.

Wzięła na rękę nieco olejku, rozgrzała go rozcierając między dłońmi i gdy ułożył się na boku, usiadła obok; materac przygiął się lekko pod jej niewielkim ciężarem.

Nim się obejrzał, jej palce sięgały wszędzie, a jego nozdrza wypełnił zapach nowych, egzotycznych perfum, których teraz używała.

Wylała olejek na ramię i zaczęła je metodycznie masować. Ujęła go jedną ręką za łokieć, a drugą za przegub i powoli obracała kość w stawie, tak jak jej pokazał rehabilitant.

- Boli? - spytała.

Czuł ciepło jej ciała przylegającego do niego z boku. Dzielili ich tylko cienka warstwa bawełny.

Pokręcił przecząco głową. Bolało, ale nigdy by się nie przyznał. Nie przed nią. Kiedy skończyła z ramieniem, wzięła się za ścięgna przy karku. Kolistym ruchem posuwała się w dół, ku mięśniom na plecach.

Doktor Hank ostrzegł go, że wylew mógł uniemożliwić występowanie erekcji. Ale pod dotknięciem jej dłoni poczuł, że budzi się w nim pożądanie.

Przekręcił tors w jej stronę i znów chwycił ją za przegub ręki odpychając ją od siebie i niemal zrzucając z łóżka. Wściekł się na nią, że go pobudziła, i na siebie, że zareagował na tę podniecie.

Zerwała się na równe nogi i stojąc na szeroko rozstawionych stopach, z dłońmi opartymi na biodrach, zmierzyła go ostrym spojrzeniem. Przez cienką koszulkę widział jej wąską talię, krągłe biodra i zarys jej długich nóg. Czy celowo tak się nad nim znęca?

Nie miał czasu, by sięgnąć po notes i z trudem przelać na papier słowa ukształtowane w jego mózgu.

- Idź! - wykrzyknął zawierając w jednej sylabie gniew, obrzydzenie, ból i nienawiść. Może mu się uda" i Molly uzna to jedynie za część gry, kolejną przeszkodę, którą postawił na jej drodze, by zmusić ją do skakania pod jego dyktando.

- Chcesz coś jeszcze? - spytała, pewnym ruchem zakręcając olejek. Pokręcił przecząco głową. Idź, jak najszybciej!

- Szklanka wody? Mleka? Herbatnik? Banan? Może cały posiłek? A co z telewizją? Chciałbyś, żebym włączyła? A łóżko? Czy prześcieradła są dobre? Koc wystarczająco ciepły? Nie za cienki? Wszystko bawełniane, a może wolisz sztuczne?

Z jękiem odwrócił twarz do ściany pociągając za sobą nakrycie. Po jej wyjściu zgasił światło i leżał w ciemnościach z otwartymi oczami, planując strategię na jutro. Wygrała tę rundę, ale w następnej zwycięży on.

Rozdział jedenasty

Nadeszła sobota. Ponieważ Mark już od ponad miesiąca nie widział się z rodziną, więc postanowił się wybrać do Cottage Grove na przedmieściach Chicago. .

Był piękny ranek i zapowiadał się wspaniały dzień. Mark zwinął dach swojego MG, grubo posmarował się kremem ochronnym i pomknął trzy kilometry do Molly, żeby zobaczyć, czy da się skusicie na całodzienną wyprawę. Jadąc analizował w myślach wszelkie możliwe preteksty, pod jakimi mogłaby mu odmówić, i przygotował kontrargument nakażdy z nich.

Ale gdy znalazł się w jej domu i przedstawił swą propozycję, mc mu nie pomogły te doskonale przemyślane zdania. Ani to, że potrzebuje trochę odpoczynku, ani to, że Mark zna pielęgniarkę, która z radością - no, może nie z radością, ale zawsze - zgodzi się zostać z Austinem.

- Chciałabym, ale nie mogę - powiedziała Molly. Stała w drzwiach frontowych z rękami splecionymi na piersiach.

Mark wsunął palce w kieszenie dżinsów i postawił stopę w modnym bucie na górnym stopniu.

- No pojedź, dobrze ci zrobi. Pokręciła głową.

Widać było gołym okiem, że potrzebuje dnia wytchnienia. Włosy matowe, przygarbiona ze zmęczenia, oczy podkrążone z braku snu. Ten cholerny mąż ją wykańczał.

Molly z tęsknotą popatrzyła na samochód zaparkowany na podjeździe. Otwarty dach. Słońce odbija się w chromowanych częściach. Zapowiadali

około dwudziestu pięciu stopni. Cudownie. Byłoby jeszcze cudowniej, gdyby mogła pojechać.

Z końca korytarza dobiegł łoskot. Mark spędził w szpitalach dość czasu, by rozpoznać dźwięk wydawany przez wózek inwalidzki uderzający o coś twardego. Na przykład o mur.

Molly popatrzyła w kierunku, skąd dobiegł hałas, i odsunęła się odrobinę na bok, ponieważ tuż obok pojawił się Austin.

Postarzał się o dziesięć lat, pomyślał Mark. Biedak.

Mark natychmiast pożałował odruchu sympatii. Znał swoje słabości; największą było to, że jest zbyt miły. Ten facet to dureń, przypomniał sobie. Tak, może tak, ale ma tę dziewczynę.

Austin siedział sztywno, przechylony na bok. Jego oczy... Patrzyły na Marka z ogniem, przesywająco. Choć w wózku i zmiażdżony, nadal emanował energią, siłą, czymś nieuchwytnym.

Mark, choć niechętnie, poczuł coś w rodzaju podziwu. Musiał mu to przynależać: ten facet nigdy się nie poddaje.

- Witaj Austin - odezwał się.

Austin nie odpowiedział. Gdyby kogoś innego mierzył w milczeniu tak upartym spojrzeniem, zapewne by się zmieszał, ale Mark się tym nie przejął. A ponieważ w naturze miał prostolinijność, więc wypalił prosto z mostu.

- Wpadłem, żeby zobaczyć, czy Molly nie wyrwałaby się z domu na trochę. Molly stanęła za wózkiem i uchwyciła mocno ręczki.

- Dzięki, ale już wcześniej obiecałam Austinowi, że posiedzimy razem na patio. ^ Mógłby samotnie wygrzewać się na słońcu. Albo z Amy czy pielęgniarką, o której Mark wcześniej wspomniał.

- A jeśli...

- Mark, nie mogę.

Nie żartowała. Molly nie będzie u jego boku gnała po autostradzie Interstate 80.

Próbował ukryć rozczarowanie, ale nie wiedział, czy mu się udało.

- Może następnym razem - rzucił pogodnie, odchodząc. Zachowywał się normalnie, tak że nikt by nie podejrzewał, jak go dotknęła

jej odmowa. Dlaczego wybrała Austina? Choć przykuty do wózka, ten facet nadal miał nad nią władzę.

Molly nic nie powiedziała na temat następnego razu. Pochyliła się nad Austinem i włosy zakryły jej twarz, chowając ich oboje niczym za intymną zasłoną.

- Jeżeli nie masz nic do roboty w sobotę, zajrzyj na wielkie otwarcie sklepu „K Mart”!

- zawołał, gdy dotarł do samochodu. - Znów będę udawał Elvisa!

Molly podniosła głowę i obdarzyła go smutnym uśmiechem, pomachała mu na pożegnanie i zamknęła drzwi. Wiedział, że nie przyjdzie.

Mark przemierzył już jedną trzecią trasy do domu rodziców, gdy przypomniał sobie, że siostra Austina mieszka w pobliskiej miejscowości na południe od Interstate 80.

Co tam, u diabła, pomyślał zatrzymując się na poboczu i wyciągając ze schowka pod tablicą rozdzielczą kartkę z adresem, który mu naskrobała, kiedy ją zabrał na lody.

Odszukał ulicę na zakurzonej mapie stanu Illinois.

Właściwie to zupełnie po drodze.

Okazało się, że jej mieszkanie znajduje się w tańszej części miasta. Zniszczone samochody stały na cementowych podjazdach, a przed każdym domem do żelaznych prętów ogradzających werandy przyczepiono łańcuchem poobijany, metalowy pojemnik na śmiecie. W takiej okolicy nie spaceruje się wieczorami. W takiej okolicy nie zostawia się bez troski samochodu. W takiej okolicy mało kto chce mieszkać.

Właśnie przeszło mu przez myśl, że ma zły adres, gdy dostrzegł równie zaniedbany jak całe otoczenie niebieski, mały samochód marki Gremlin - ten sam, który był niedawno zaparkowany koło domu Molly.

Była dziesiąta rano, ale gdy Gabrielle otworzyła mu drzwi, wiedział, że wyciągnął ją z łóżka. Zerknęła na niego ponad łańcuchem. Na twarzy miała rozmazany wczorajszy makijaż, włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Spojrzenie zapuchniętych oczu zdradzało, że go nie poznaje.

- To ja, Mark Elliot.

Na jej twarzy malowało się wyraźnie: a ja widzę cię po raz pierwszy w życiu. Choć Mark był przyzwyczajony do takiej reakcji kobiet na swój widok, powoli zaczynało go to irytować.

- Spotkaliśmy się w domu twojego brata, pamiętasz? Lody czekoladowo-miętowe z bitą śmietaną.

Wystarczyło. Popatrzyła na niego przytomniej i uśmiechnęła się.

- Mark!

Drzwi się zamknęły. Usłyszał brzęk łańcucha. Otworzyła je na całą szerokość. Spodziewał się czegoś przezroczyściego i zmysłowego, ale była ubrana w długą bawełnianą koszulkę z misiem koala na przodzie. Na stopach miała za duże, szare skarpety.

Wciągnęła go do środka, czyli do zapuszczonej kuchni i zamknęła za nim drzwi, a on zatroszczył się przełomie o samochód zostawiony na ulicy.

- Wejdz. Siadaj.

I już ruszyła do środka, a jej stopy w skarpetkach cicho sunęły po taniej wykładzinie z zielonych płytek.

Wystarczyły cztery kroki, by znaleźć się w pokoju. Patrzył, jak zbiera poduszki, ścielę kanapę i składa kołdrę.

- Usiądź. Wracam za minutę - zniknęła w ciemnym korytarzu, który, jak się domyślał, prowadził do sypialni i łazienki.

Już siadał na kanapie, kiedy jego wzrok spoczął na półkach pokrywających jedną ze ścian. Znajdowały się na nich puchary i dyplomy. Całe mnóstwo. Gdy Gabrielle wróciła, Mark ciągle jeszcze oglądał wystawę na półkach.

- To z mojego pierwszego konkursu piękności - wyjaśniła biorąc do ręki nagrodę, mniejszą od innych, a mimo to imponujących rozmiarów. - Miałam wtedy cztery lata.

Koszulkę z misiem koala zastąpiło ubranie bardziej w stylu tej Gabrielle, którą spotkał u Molly. Obcisłe czerwone spodnie i wydekoltowana bluzka bez stanika pod spodem. Umyła też twarz i nałożyła grubą warstwę makijażu.

- A to - ujęła następną, jeszcze większą nagrodę - dostałam, kiedy miałam pięć lat. Zaczęła wymieniać kolejne konkursy, dodając, gdzie się odbywały i które miejsce zajęła.

Mark raz zatrzymał się w hotelu, gdzie odbywały się miejscowe wybory piękności. „Najsłodsza pszczołka z przedszkola” czy coś podobnego. Widział dziewczynki wpadające i wypadające z windy, całkowicie zafascynowane swymi odbiciami w wyłożonych lustrami korytarzach. Właściwie nie dzieci, lecz

miniaturowe lalki Barbie. Aż mu się zimno robiło na ten widok. *Co z nich wyrośnie?* Skoro nieustannie są oceniane na podstawie wyglądu? Jakież dziwaczny system wartości znajdzie się w tych jeszcze nie ukształtowanych umysłach?

Od tego czasu uważał konkursy piękności dla dzieci za formę znęcania się nad nimi i świadomego okrucieństwa.

- Dużo podróżowałaś - rzucił jako jedyny komentarz.

- Po całych Stanach. Moja sąsiadka namówiła rodziców, żebym spróbowała, i gdy już raz zaczęłam...

- A co ze szkołą?

Odłożyła nagrody na półkę układając je we właściwej kolejności.

- Rzadko w niej bywałam, co mi bardzo odpowiadało.

- Tobie może tak, ale...

Zadzwonił telefon i Gabrielle podniosła słuchawkę. Gdy plotkowała o jakimś fantastycznym facecie, Mark odwrócił się unosząc oczy ku niebu i zaczął metodycznie oglądać maleńki pokój.

Za sobą usłyszał trzask pocieranej zapałki; po chwili doleciała go woń siarki i dymu papierosowego. Podenerwowany, że w ten sposób Gabrielle zmusza go do wdychania zanieczyszczonego powietrza, zdecydował, że wychodzi. Zastanawiał się, co go opętało, żeby się tu w ogóle zatrzymywać. Z jego punktu widzenia Gabrielle była mieszkanką innej planety. Nie mogliby nawet przez dwie minuty prowadzić towarzyskiej konwersacji o pogodzie.

Czekał, aż skończy rozmowę, by się z nią grzecznie, acz pośpiesznie pożegnać, gdy spostrzegł plakat leżący na bocznym stoliku. Kobieta ubrana wyłącznie w majteczki złożone z dwóch tasiemek i trójkąta materiału z przodu oraz buty na wysokich obcasach. Krągłe, pełne piersi o dużych, brązowych sutkach. Płaski brzuch, długie nogi, umięśnione uda.

Gabrielle.

Pod zdjęciem znajdowały się słowa: „Występuje codziennie. Panna Szał. Gwiazda o Boskim Ciele”.

Przełknął ślinę, był skrępowany. Mimo szumu w głowie usłyszał, że rozmowa telefoniczna się skończyła.

- Podoba ci się to zdjęcie? - usłyszał, tuż za sobą jej głos. - Zrobiłam je parę tygodni temu.

Nie mógł oderwać wzroku od tych piersi.

- Ono... Ono jest... - znów przełknął ślinę. - Ładne.

I oto spotkała go jeszcze większa niespodzianka. Gabrielle przytuliła się do niego. Te same piersi, w które się tak intensywnie wpatrywał, przylegały do jego pleców. Objęła go. Jej głowa spoczywała między jego łopatkami.

- Tak się cieszę, że do mnie wpadłeś.

Wpadł nie tylko do niej, ale jak śliwka w kompot. Nim się obejrzał, już rozpięła mu dżinsy. Obie dłonie pieściły go przez materiał krótkich bawełnianych szortów. Był twardy jak kamień.

- Muszę iść - wykrztusił.

Wsunęła palce przez rozporek i delikatnie go pogłaskała. Zrobił się jeszcze twardszy.

- Nie odchodź - wyszeptała. - Jeszcze nie.

Od bardzo dawna nie był z kobietą. Jeżeli się nie opanuje, to wystrzeli prosto w jej ręce.

- Muszę iść - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Tymczasem ona dalej się nad nim znęcała. Ujęła go za ramiona i spróbowała odwrócić. Posłuchał.

Nie spuszczać z niego wzroku wolno zdjęła bluzkę, pozwalając, by się osunęła na podłogę. Za nią poszły spodnie, a Gabrielle prowokacyjnie zsuwała je gładząc skórę, aż stanęła przed nim ubrana tylko w czarne majteczki. Ujęła jego dłoń i położyła na piersi. Sutek niemal palił go pod palcami.

- Zostań jeszcze chwilę - powiedziała.

Przesunęła się na kanapę i sadowiła na poduszkach w wystudiowanej, prowokacyjnej pozie.

- Chociaż parę minut Jeżeli nie chcesz, nie musisz nawet zdejmować ubrania. Za nią stały jej nagrody. Pomyślał o dziewczynkach w windzie. Jednym ruchem zasunął suwak chowając nabrzmiały penis. A potem ujął kołdrę z końca kanapy, rozłożył ją i nakrył Gabrielle.

- Mam zasadę: nie daję się przelecieć na pierwszym spotkaniu.

- Odrzucasz moją propozycję? - zapytała z niedowierzaniem. Wzruszył ramionami z udaną nonszalancją.

- Taaa...

- Boisz się, że jestem na coś chora, co? Moje ostatnie testy niczego nie wykazały. I mam gumki, jeśli ty ich nie zabrałeś.

- Nie przyszedłem tutaj po seks, tylko żeby cię zobaczyć.

Nadal odczuwał podniecenie, które w nim wywołała, a głos w mózgu szeptał, żeby nie był takim durniem. Jeżeli on jej nie przeleci, zrobi to następny facet. Przecież w ten sposób od niczego jej nie ocali.

- Muszę iść - i ruszył ku drzwiom.

Na stoliku w kuchni dostrzegł długopis. Ujął go i zapisał swój numer telefonu wewnątrz pudełka zapalek, potem rzucił oba przedmioty na blat.

- Tu masz mój numer telefonu - powiedział. - Zadzwoń, gdybyś miała ochotę na rozmowę.

Na jej twarzy wyraz zdumienia ustąpił miejsca uldze.

- Jesteś pedałem, co? Westchnął.

- Raczej tradycjonalistą. - I kretynem, dodał w duchu.

Zerwała się z kanapy upuszczając kołdrę na podłogę i pośpieszyła ku niemu. Gdy stali twarzą w twarz, przyklękała przed nim, chwytając go dłońmi poniżej pośladków. Ocierała policzkiem o wypukłość w rozporoku.

- Nie lubisz mnie? - spytała.

- Lubię.

Uśmiechnęła się do niego.

- Zrobię, co tylko zechcesz - wyszeptała.

Oderwał jej dłonie i postąpił krok do tyłu. Po czym uciekł gdzie pieprz rośnie.

Ucieszył się widząc, że nikt nie obrobił samochodu, gdy bawił w towarzystwie Gwiazdy o Boskim Ciele.

Gabrielle słuchała, jak Mark odjeżdża. Potem chwyciła najbliższą znajdującą się przedmiot: pełną nieodpalków popielniczkę i cisnęła nią w drzwi, patrząc z zadowoleniem, jak się roztrzaskuje na kawałki.

A potem wybuchnęła płaczem.

W dziesięć minut później sięgnęła po torebkę. Drżącymi rękami znalazła buteleczkę z lekarstwem przepisany przez lekarza, wyjęła z niej trzy . błękitne tabletki valium i wrzuciła je do ust.

Trudno jej było pogodzić się z odrzuceniem.

Rozdział dwunasty

Austin próbował doprowadzić ją do szaleństwa. Właśnie tak, myślała Molly jadąc kombi wąską, wysadzaną drzewami ulicą wiodącą do sklepu spożywczego. Ale mu się to nie uda.

Przyszło jej do głowy, że to, co dla postronnego obserwatora wyglądałoby na sytuację, w której żona mimo rozstania powraca, by się zająć sparaliżowanym mężem, jest w istocie walką o władzę, potyczką, gdzie używa się siły woli jako broni, a obie strony odnoszą zwycięstwa i ponoszą klęski.

Rankiem, gdy Mark wpadł do niej, Austin wygrał, z czego Molly nie była zadowolona. Próbując uniknąć nieprzyjemnej sceny, poddała się milczącej manipulacji męża. A teraz żałowała chwili słabości.

Nie tylko straciła okazję wyjazdu ze znajomym, ale na dodatek przez resztę dnia musiała zrtosić zadowolenie Austina. Zdobył kolejny punkt.

Dostała nauczkę. Dlatego właśnie teraz pojechała po zakupy, a raczej na wielkie otwarcie nowego „K Mart” w La Grange.

Gdy dotarła na wydzieloną część parkingu, impreza już trwała w najlepsze. Z wielkich czarnych głośników umieszczonych obok zmontowanej na tę okazję sceny płynęły głośnie dźwięki piosenki Elvisa. Przez przednią szybę samochodu widziała kogoś w czarnej peruce z bokobrodami, jak przycisnąwszy usta do mikrofonu wymachuje energicznie kończynami.

Mark?

Mark.

Zaparkowała samochód i pośpieszyła do miejsca, gdzie widzowie stali przed sceną. Nie był to wielki tłum, ale zebrała się spora grupa. Mała na tyle,

że nikt jej nie zasłaniał widoku, lecz dość duża, by mogła ustawić się z dali od podium. Nie chciała, by Mark ją zauważył. Miała zamiar powoli przystosowywać się do nowej sytuacji.

Mark śpiewał na tle wcześniej nagranej muzyki i chórków. Skończył *Blue Suede Shoes* i zmieniając tempo rozpoczął nastrojową interpretację *Dixie*.

Zdumiewające. Naprawdę wyglądał jak Elvis. Szczuplejszy, w lepszej formie, ale jednak Elvis. I nawet jego głos przypominał śpiew Króla. Tak bardzo, że można było niemal mu uwierzyć, zapomniawszy o absurdalności sytuacji, dopóki sam wykonawca tego nie przekreślał wybuchając krótkim chichotem.

Skończył piosenkę. Czas na nawiązanie kontaktu z widownią.

- Cieszę się, że przyszedliście na wielkie otwarcie nowego sklepu „K Mart”

- powiedział Mark-Elvis. - Powtórzcie wszystkim, że mnie tu widzieliście. Rozległ się śmiech.

- Dajcie tej kobiecie z tyłu różowego Cadillaca - skinął w kierunku Molly.

- Podejź no tutaj, ślicznotko. Spojrzała za siebie. Nikt za nią nie stał.

- Ja? - Wskazała na siebie i pokręciła głową. Nie, Marku, nawet się nie ważył ciągnąć mnie na scenę.

- Taa, ty... - potwierdził.

Ludzie obracali się do tyłu i patrzyli na nią wyczekująco. Stojący obok nieco się odsunęli.

Przecież nie pójdzie na scenę na oczach wszystkich. Znow pokręciła przecząco głową.

- Idź, no idź - zachęcała ją sąsiadka.

Molly czuła się jak jedyna agnostyczka na zjeździe członków sekty religijnej.

Przysięgając w duchu, że potem Marka zabije, ruszyła przez tłum. Kiedy dotarła pod scenę, odstawił mikrofon i wyciągnawszy do niej rękę, pomógł jej wdrapać się na górę.

Z uśmiechem objął ją ramieniem.

- A może byś tak udawała, że za mną szalejsz? Widzom to się spodoba.

- Pomyślą, że miałaś w tłumie znajomą - odwróciła od niego wzrok i spojrzała na morze. głów. Zamarła.

Tłum.

Serce szybciej zabiło jej w piersiach. Zrobiło się jej gorąco. Spocily się ręce.

Tłum.

Mark przytulił ją mocniej i przechylając do tyłu, głośno ucałował w same usta. I natychmiast ją puścił.

Widzom bardzo się to spodobało. Klaskali i gwizdali. Parę kobiet z przodu - czyżby również znajome? - krzyczało podskakując i potrząsając głowami.

Pod wpływem okrzyków i zamieszania Molly nieco się uspokoiła. I tak nie zwracali na nią uwagi, patrzyli tylko na Marka.

Zaczął następną piosenkę: *Love Me Tender*.

Wrzawa jeszcze wzrosła, a potem przemieniła się w mruczenie do taktu, gdysłuchali z uwagą. Molly skorzystała z okazji, by umknąć ze sceny i stanąć na pewnym gruncie parkingu.

Piosenka się skończyła. Zabrzmiały tony melodii zamykającej występ. W trzy minuty później już było po wszystkim. Mark zeskoczył ze sceny i znalazł się koło niej.

- Mam nadzieję, że od dziś staniesz się jedną z moich wielbicielek.

- Mało prawdopodobne. Jeszcze cała się trzęsę. Jak mogłeś mi coś takiego zrobić?

- Ucieszyłem się na twój widok. Nie przypuszczałem, że ci się to nie spodoba.

Większość kobiet uwielbia, gdy je ktoś obłapuje na oczach setki ludzi. - Uśmiechnął się do niej lubieżnie. - Uwielbiają zwłaszcza mój pot.

- Na Boga!

I pomyślęj, że mówi to facet, który półtora roku temu żalił się jej, że nie może się z nikim umówić na randkę. Wszystko się zmienia. Naprawdę wszystko.

- Jak to nazywają w twoim fachu? - spytała, a nogi wreszcie przestały pod nią dygotać. - Rozdwojenie jaźni?

- Nie psuj mi nastroju.

Nagle przypomniała sobie, po co tu przyjechała.

- Zakupy. Miałam zrobić zakupy.

- Pójdę z tobą - oświadczył.

Ponieważ zbliżała się pora następnego występu, nie chciało mu się przebierać.

Molly robiła z nim już wcześniej zakupy, więc wiedziała, czego ma się spodziewać. Jego zdaniem zakupy stanowiły rozrywkę, nie nudny obowiązek.

Lubił zonglować owocami i warzywami. Lubił po parę razy wracać do stoiska, gdzie za darmo dawano spróbować nowego produktu. Tak samo zachowywał się i Elvis. W pół godziny później Mark pomagał Molly załadować torby do samochodu. Zajęła miejsce za kierownicą, gdy on stał w otwartych drzwiach, trzymając jedną rękę na dachu, a drugą na skrzydle.

- A więc nie możesz zostać, żeby mi pomóc przy następnym występie? Lody ci się stopią.

- Świetnie się bawiłam. Dzięki - powiedziała czując się tysiąc razy lepiej niż dwie godziny temu.

- Za co? - uśmiechnął się lekko.

- Za to, że jesteś moim przyjacielem. Za wygłupy. Za to, że mnie rozśmieszyłeś. Spoważniał nagle. Patrzył na nią tak uważnie, że poczuła się niezręcznie.

- Coś się stało? - zapytała.

Gwałtownie zmienił wyraz twarzy potrząsnawszy głową, jakby sam siebie karciał, po czym prychnął sztucznym śmiechem.

- Tak się rozmarzyłem - powiedział zamykając drzwiczki samochodu. Zawsze czuła się swobodnie w jego obecności. Na tym właśnie polegała wyjątkowość ich związku. Mogła z nim rozmawiać o wszystkim. I nagle wyczuła, że coś się między nimi zmieniło. Jakby poza jej plecami ktoś napisał nowe zasady ich wzajemnej relacji. Nie chciała, by ta znajomość funkcjonowała na innych warunkach.

Niepewna, nie wiedząc, jak się zachować, włożyła kluczyk do stacyjki i zapaliła silnik. Nie mogła odjechać, bo dłonie Marka nadal przytrzymywały drzwi.

Wtedy właśnie wsunął głowę przez otwarte okno i pocałował ją. Jego dłoń spoczęła na jej policzku. Wargi na jej wargach. Pocałunek pełen szacunku. Czuły. Smutny. Kiedy się wyprostował, siedziała bez ruchu, nie wiedząc co zrobić lub powiedzieć.

Nie darz mnie takim uczuciem, błagała w myślach. Proszę, nie obdarzaj mnie takim uczuciem.

- To było od... - urwał, jakby chciał się jeszcze zastanowić nad słowami. - ...Elvisa - dokończył Mark czując, że przekroczył niewidzialną granicę z którą nie powinien był się znaleźć.

Przytaknęła z westchnieniem. A potem przyłożyła dłoń do policzka i zaśmiała się niepewnie, próbując zbagatelizować sprawę i nie przywiązywać do tego incydentu zbyt wielkiej wagi. Mark był spontaniczny. Zawsze chętnie obejmował, przytulał, więc czemu miałby jej nie pocałować?

- W ciągu jednego dnia dwa pocałunki od Elvisa. Może mi uderzyć do głowy - powiedziała.

- Mam nadzieję - odparł głosem, w którym dosłyszala nutkę nadziei. Odsunął się nie odrywając od niej wzroku. - Uważaj na siebie.

Nie patrząc sięgnęła po kluczyk. Przekręciła go. Zgrzyt

Slinik przecież już pracował. Mark wybuchnął śmiechem, ona mu zawtórowała i wszystko między nimi wróciło do normy.

Ruszyła, a Mark jej pomachał. W lusterku widziała, jak się odwraca i idzie ku scenie - poły fraka trzepotały na wietrze.

W domu Molly wypakowała jedzenie i porozkładała do szafek. Potem otworzyła torbę z pocztą leżącą na kuchennym stole. Przerzuciła notki od wydawców przypominające o przedłużeniu prenumeraty na „Forbes”, „Money” i „Business Week” razem z broszurami reklamowymi głoszącymi wielkimi literami: „Już wygrałeś zagłówek”, „Już wygrałeś nowy samochód”.

Na dnie znalazła zwykłą, białą kopertę, jej adres skreślono nie znanym jej charakterem pisma i nie było nadawcy. Stempel z Florydy.

Rozerwała ją jednym ruchem wsuwając palce pod krawędź, poszarpała brzeg i zacięła się w palec.

List był od Seana, datowany pięć dni wcześniej.

Droga Molly!

Bez Ciebie plaża nie jest już taka piękna. I wczoraj wieczorem zachód słońca nie był taki cudowny. Kiedy wrócisz? Kolacja dalej czeka. Wino dalej się chłodzi. Każdego dnia pragnę Cię mocniej.

Sean

Przycisnęła list do piersi, do serca. Przez chwilę patrzyła w przestrzeń widząc siebie na plaży, słysząc szum fal, dźwięk głosu Seana z tym podniecającym australijskim akcentem.

Przez całą młodość, gdy skrycie marzyła o tym, by podobać się mężczyz-

nom, oni nie zwracali na nią uwagi. Najwyżej sobie z niej kpili. **Przezywali:** chudzielec i królik, bo w tamtych czasach najmodniejsze były małe białe ząbki. Jay był pierwszym chłopcem, który się nią zainteresował. Okazał jej dobroć i zwykłą ludzką życzliwość. A potem stało się coś cudownego. Zaczął ją kochać mimo jej wad. I ona odpowiedziała mu miłością.

Ale Jay zginął. Jedyny przyjaciel. Pokrewna dusza. Z upływem lat coraz słabiej pamiętała jego rysy. Teraz już się zupełnie zatarły. Jak to o niej świadczy? Jakże mogła zapomnieć twarz człowieka, którego kiedyś tak głęboko kochała?

Zdała sobie sprawę z ciszy panującej w domu, potem usłyszała głosy w ogrodzie. Podeszła do kuchennego okna. Amy na podwórku napelniała karmniki. Austin leżał na leżaku ogrodowym ustawionym na patio. Miał na sobie luźne spodnie w paski, które dostał od Amy, i starą, szarą koszulkę z herbem uniwersytetu. Bosy.

Austin nigdy wcześniej nie chodził w takim stroju, dlatego też wyglądał w nim obco. A zarazem młodziej, bardziej swobodnie.

Może to dzięki Melindzie z jego twarzy zniknęły ostre bruzdy. Dziewczynka siedziała obok niego na leżaku. Molly słyszała przez otwarte okno, jak coś do niego zagaduje w swoim języku pokazując na jego rzęsy i brwi. Kiedy jej palec zawędrował do ust, udawał, że go gryzie, a dziecko wybuchnęło śmiechem.

Molly jak przez mgłę przypomniała sobie podobną scenę, gdy wiele lat temu Austin bawił się z Amy.

Kiedy Melinę znudziło zęczenie się nad dziadkiem, zeszła z leżaka i wyrzuciła stos książek z torby, którą wszędzie ze sobą nosiła. Usiadła na krągłym tyłeczku i rozłożyła książeczki wokół siebie. Odrzuciła *Królika Karola* i *Małą Świnkę*.

Wybrała *Zwierzątka na wsi*. Trzymając ją w jednej rączce wdrapała się na dawne miejsce obok dziadka. Wsunęła się pod jego ramię, skrzyżowała pulchne nóżki, włożyła palec do buzi i czekała cierpliwie, aż jej zacznie czytać.

Mdły patrzyła zastanawiając się, co Austin zrobi. W ciągu tygodnia usprawnił znacznie ruchy i mowę, ale nadal rzadko się odzywał. Mówił wyłącznie proste, jedno- lub dwusylabowe wyrazy. I nadal uparcie pisał polecenia w tym przeklętym notesie.

- Muuu - Powiedziała Melinda wskazując książeczkę. Austin powtórzył dźwięk, po czym przewrócił stronę. Melinda zaszczekała. A za nią Austin.

Cóż za świetnie dobrana para; ich mózgi pracowały w tym samym rytmie złączone milczącym porozumieniem. Melindzie brakowało słów, by wyrazić myśli, Austinowi fizycznych możliwości.

Dwukrotnie przejrżeli książeczkę, po czym Melinda zeszła po następną. Austin podtrzymał ją, gdy wdrapywała mu się na kolana.

Wtej znajdował się prosty tekst.

- To jest pies - czytał z trudem Austin. - Ko... tek jest mo... kry. Kiedy był w połowie, oczy Melindy zaczęły się zamykać. I nim skończył, zasnęła.

Austin upuścił książeczkę. Uniósł dłoń i palcami gładził miękkie loczki wnuczki. A potem ucałował czubek jej głowy.

Molly patrzyła przez okno obserwując męża. Nadal trzymała w dłoniach list od Seana, na ustach nadal czuła smak gorącego pocałunku Marka; ogarnął ją niezrozumiały smutek i coraz większa niepewność.

Austin zamknął oczy i upajał się pieśczętą promieni słonecznych na twarzy, ciepłem ciała wnuczki ułożonej przy nim. Miłość do niej to cudowny ból, który wykwita w jego sercu napelniając go ślepym zachwytem. Kiedy była przy nim, ogarniało go przemożne pragnienie osłonięcia jej przed wszelkim złem tego świata, uczucie bardzo podobne do tego, którym obdarzył Molly na początku ich znajomości. Melinda niemal od pierwszych dni swego życia lgnęła do niego instynktownie, piszcząc z beztrioskiej radości.

Kochał Amy, ale w inny sposób. W dzieciństwie błagała, by ją nosił na ramionach. Czasami chodzili do parku sami, tylko we dwoje. Ale nawet jako małe dziecko była niezależna. I miała Molly. Więc między matką i córką była tak silna, że zabrakło tam miejsca dla niego.

Gdy tak wygrzewał się w słońcu, uświadomił sobie, że wylew go zmienił. Dwa lata temu nie umiałby znieść leżenia i nieróbstwa. Nie doznawał nawet przelotnych chwil zadowolenia. Dwa tata temu połykałby w pośpiechu jedzenie, by pędzić z jednego spotkania na drugie lub dzwonić do kolejnych klientów.

Doszło do paradoksu: nawet gdy chciał zwolnić tempo, spokojnie usiąść do stołu czy pójść do kina, nie umiał tego zrobić. Tak się przyzwyczaił do gnania przez każdy kolejny dzień, do gnania przed siebie, nie patrząc na prawo czy lewo, że wolniejsze działanie natychmiast wyprowadzało go z równowagi. Utknął na poziomie najwyższych obrotów.

Ale teraz... Teraz odpowiadał mu spokojniejszy rytm. Oczywiście nie chciałby się tak wylegiwać przez resztę życia. Z nadzieją wyczekiwał na dzień, gdy wróci do zdrowia, znów stanie na nogi, ale nie tęsknił za przepracowywaniem osiemdziesięciu godzin tygodniowo.

Zawsze marzył o żeglowaniu. Zawsze chciał pojechać do Disneylandu. Zawsze chciał obejrzeć mecz drużyny Blackhawks. Zawsze chciał pojechać na dwa tygodnie w kanadyjską głuszę i łowić ryby.

Ale samotna wyprawa nie byłaby przyjemna.

Popatrzył w dół na jasnowłose dziecko leżące obok niego. W taki dzień, gdy wnuczka spokojnie spała u jego boku, czegoż więcej mógł chcieć od życia?

Niemal usypiał, gdy pojawił się nad nim cień.

- Tato, przepraszam - w głosie Amy brzmiało poczucie winy. - Powinieneś był mi powiedzieć, że zasnęła. Na pewno rozboleła cię ramię - przysunęła się bliżej i sięgnęła po Melinę.

- Nie - rzucił szybko, ale następne słowa mówił już wolniej. - Wszystko dobrze.

Chciał powiedzieć, że nie chce, by Amy zabierała córkę, ale słowa poplątały mu się w głowie. I gdy je próbował uporządkować, Amy uniosła śpiącą wnuczkę. Na jego boku i pod pachą zostało ciepłe, puste miejsce, które przypominało ojej obecności.

Trzymając dziecko przytulone do ramienia, Amy dodała:

- Teraz na pewno jest ci wygodniej.

Zaraz się rozplacze jak jakiś głupek. Walczył, by ukryć wzruszenie.

Wiele lat temu nauczył się nie zdradzać uczuć. Łatwo zranić kogoś, po kim widać emocje. Przez lata nikomu nie okazał tego, co czuje, nawet Molly. Zwłaszcza Molly.

Rozdział trzynasty

Był to weekend, w czasie którego Ameryka celebrowała Dzień Wolności. Gabrielle leżała w łóżku cierpiąc na straszliwego kaca. Poprzedniej nocy - w piątek - serwowano darmowe piwo w „Pokusie”, barze, w którym ostatnio występowała. Gabrielle umiała wypić nieograniczone ilości piwa, ale w połowie wieczoru faceci zaczęli jej fundować mocniejsze trunki. I tu zaczęły się problemy. Oczywiście nie jest alkoholiczką. Zna wielu alkoholików i nie przypomina żadnego z nich.

Przewróciła się na drugi bok przypominając sobie, jak dała się ponieść emocjom w czasie striptisu. Zdjęła istic symboliczne majteczki - rzecz zabroniona przez prawo stanowe w Illinois - na co jeden pijak na widowni nadmiernie się podniecił. Nim się obejrzała, już wskoczył na scenę i ją chwycił. Bramkarze musieli go wyrzucić, ale to rozpoczęło bójkę, do której wszyscy ochoczo się przyłączyli.

Czy właściciel „Pokusy” na serio kazał jej więcej się tam nie pokazywać?

Niemożliwe. Przecież nie skończyła dwutygodniowej tury występów.

Wszystko to wina Marka Elliota, uznała w duchu, mocno zaciskając powieki i starając się nie poruszać głową zbyt raptownie. Nie chciała przecież, by mózg obijał się o wnętrze czaszki. To bardzo boli.

Po tym, jak Mark przyszedł tutaj i odrzucił jej awanse, wpadła w obłąd. Ogarnęło ją całkowite przygnębienie, Martwiła się, że już się nie podoba mężczyznom. Cóż w takim razie pocnie? Jak zarobi na życie? Ma przecież tylko jedno: swoje ciało.

Czas działał przeciwko niej. Starzała się. Kiedyś nadejdzie chwila, gdy się posypie - żyła w strachu przed tym momentem. Co zrobi, jeżeli urodą nie będzie mogła zarobić na utrzymanie?

Ale wczorajsza noc pomogła, przynajmniej chwilowo, zagłuszyć te zmartwienia. Nigdy wcześniej nie tańczyła tak jak zeszłej nocy. Mężczyźni na ten widok rozdziawiali usta, a oczy wyskakiwały im z orbit.

Nadal ma w sobie coś.

Problem więc leży nie w niej, lecz w Marku. Wprawdzie go podnieciła, ale z jakichś względów jej nie chciał. Jest uparta. Potrafi go zmusić, żeby jej zapragnął.

Odrzuciła kołdrę i usiadła próbując nie zwracać uwagi na ból głowy. Z trudem stanęła na nogach i powlokła się do kuchni, gdzie połknęła proszek przeciwbólowy i valium.

Wiele lat temu, gdy zaczynała pracować w branży, nim wyszła na scenę musiała wziąć parę tabletek valium. Dziś już tego nie potrzebowała. Śmieszne, do czegoż to człowiek się nie przyzwyczai.

Wypiła dwie szklanki wody, żeby uzupełnić braki płynu w organizmie. Wiadomo przecież, że kac jest w części spowodowany przez odwodnienie.

Właśnie odstawiła szklankę na stół, gdy spostrzegła pudełko od zapalek pozostawione przez Marka.

Zużyła wszystkie zapalki. Pudełko zmiękło i spłaszczyło się. W ciągu ostatnich paru dni już wielokrotnie chciała je wyrzucić, ale powstrzymywała się w ostatniej chwili. Teraz, czując przyływ odwagi, głównie dlatego, że jeszcze działał wypity alkohol, wzięła pudełko i sięgnęła po wiszący na ścianie telefon.

Gdy Mark wreszcie podniósł słuchawkę, odezwał się zaspanym i chrypiącym głosem. Spojrzała na zegar nad zlewem. Cztery minuty po ósmej. W pierwszym odruchu chciała natychmiast odłożyć słuchawkę, przemogła się jednak i przywitała się głosem ostrym od zbyt wielu papierosów i tequili.

- Cześć, tu Gabrielle.

Dziwne, jak telefon zdawał się podkreślać niuanse brzmiące w tonie rozmówcy. Mark sprawiał wrażenie czujnego.

- Zastanawiałam się, co dziś robisz - powiedziała starając się, by jej głos brzmiał, jakby wstała parę godzin temu i jakby nie bolała jej głowa. Jakby była porządną dziewczyną w typie, który niewątpliwie mu się podoba.

- Dziś?

Wyobraziła sobie, jak się przeciąga, ziewa...

- Co dziś jest? - spytał.

...Leżąc w łóżku... prześcieradło narzucone na biodra, przeciera twarz, która wymaga golenia. Miał ciemne włosy, pewnie więc jego policzki szybko pokrywał zarost, a to ją podniecało.

- Sobota - na wszelki wypadek spojrzała na kalendarz wiszący przy drzwiach. - Trzeci lipca.

-O, tak.

W jego głosie brzmiało coś więcej niż ostrożność. Był zmęczony. Myślała szybko. Poszedł późno spać... Może się z kimś kochał? Może ten ktoś nadal z nim jest?

- Pracowałem do późna wczoraj w nocy. I chyba straciłem rachubę dni. Ulżyło jej, że mu nie przeszkadza i że to nie kobieta go zmęczyła.

Ciekawe, gdzie on pracuje, zastanowiła się przelotnie. Może w fabryce? Wielu robotników było stałymi bywalcami barów, w których się rozbierała. Wpadali na parę piw po pracy i zostawali aż do zamknięcia.

- Mam dla ciebie parę propozycji na dzisiaj. - Wiele lat temu nieśmiałość powstrzymałaby ją od zaproszenia mężczyzny, ale nie teraz. - W „Pokusie” będzie dziś pieczenie świni. I kapela z beczką piwa. A w „Wielkiej Rzece”

mają zabawę na plaży. - Bardzo chętnie obejrzałaby Marka w spodenkach kąpielowych. Sama mogłaby włożyć nowe, fioletowe bikini. Już wyobrażała sobie, jak naciera ją olejkiem, gdy usłyszała jego głos.

- O, z przyjemnością, ale muszę dziś jechać do staruszków.

Nie mogła nawet znieść myśli, że ten sam mężczyzna odrzuci ją po raz drugi.

- Naprawdę musisz? Może byś sobie dziś odpuścił?

- Czeka ją na mnie.

Rzadko spotykała dorosłych ludzi, którzy nadal spędzali czas ze swoimi rodzicami. Pretekst wymyślony na poczekaniu? Możliwe.

O, Boże. On jej nie znosi.

- W porządku - rzuciła szybko, by zagadać niezręczną pauzę. - Tak pomyślałam...

- A może byś się dołączyła? -Co?

85

Czy dobrze słyszy? Czy zaprasza ją do miejsca, które nie istnieje?

- Pojedź ze mną.

Nie kłamał. Naprawdę spędza czas ze swoimi rodzicami: Oto pojawił się nowy problem: przecież nie może jechać do domu jego rodziców. W żadnym razie nie zgodzi się na przedstawienie matce. Ojcu. Krewnym.

- Wpadnę po ciebie w drodze do nich i po wszystkim odstawię na miejsce.

- Chyba nie powinnam. Zwłaszcza jeżeli to spotkanie rodzinne.

Gdyby wiedział... Oto ona, stoi w kuchni naga i z okropnym kacem, a on zaprasza ją w odwiedziny do cioci Kłoci.

- Mama się tym nie przejmie. Zwykle szykuje góry jedzenia i sprasza połowę ulicy. Sam tam nie znam większości ludzi. Miło by było, gdybyś pojechała. Miałbym się przynajmniej do kogo odezwać.

Nie wierzyła, że on naprawdę ją namawia, by poznała jego rodzinę. Dziewcząt takich jak ona faceci nie przedstawiają mamusiom.

- I co? - zapytał Mark.

- Dobra.

Właściwie, czemu nie? A po wszystkim może wpadnie do niej...

Gabrielle siedziała na frontowej werandzie czekając na Marka. Wzięła prysznic i dwa razy umyła włosy, żeby pozbyć się odoru dymu papierosowego. Potem przeczuciwszy stos obcisłych sukienek i wydekoltowanych bluzek wygrzebała z dna szafy bawełnianą spódniczkę nad kolano, bawełniany podkoszulek w serek i meksykańskie mokasyny z miękkiej skóry. Przecież w końcu ma poznać matkę Marka.

Silnik jego samochodu wydawał charakterystyczny dźwięk. Nim go zobaczyła, usłyszała, że nadjeżdża. Wstała, wygładziła spódnicę i poprawiła pasek.

Jej sąsiedzi uznają to za dziwne. Mężczyźni nigdy po nią nie przyjeżdżali, tylko przywozili ją do domu. Miała wrażenie, że idzie na prawdziwą randkę, a zdarzyło jej się to tylko parę razy w życiu.

W szkole średniej chłopcy nie afiszowali się z tym, że się nią interesują. Nie chcieli, by ktoś ich zobaczył z dziewczyną, która ma złą opinię. Jednak chętnie spędzali z nią czas po ciemku. Potem przechwalali się tymi spotkaniami przed każdym, kto chciał słuchać. Nawet Eddie Chapin, który sprawił jej tak

wielką przyjemność zapraszając na bal maturalny. Po tej nocy zadziwił ją jeszcze bardziej ogłaszając wszem i wobec, jaki to szczególny wieczór spędzili razem. Jako szesnastolatka przekonała się, że na świecie nie ma prawdziwych mężczyzn, a miłość to słowo, którego faceci używają, gdy chcą seksu.

Sportowy samochód Marka wynurzył się zza rogu i Elliot szybko zaparkował przed jej domem. Dach był otwarty. A on był absolutnie wspaniały. Te rysy.

Ten pieprzyk na policzku.

Jego skóra. Zielona koszulka jeszcze podkreślała lekką opaleniznę. Te włosy.

Jazda dokonała cudów na jego głowie, wiatr odrzucił ciemne loki do tyłu. To muskularne ciało.

W cukierni nad lodami wyznał, że był kiedyś otyły. Kto by się tego teraz domyślił?

- Nie wysiadaj - powiedziała widząc, że ma zamiar wyłączyć silnik. Pośpieszyła do miejsca dla pasażera, ale nie umiała otworzyć drzwi. Nie było klamki.

Mark sięgnął do nich i otworzył je jednym pchnięciem.

- Uważaj.

Nim usiadła, zabrał z siedzenia kwiaty.

- Powiedziałem właścicielce domu, w którym wynajmuję mieszkanie, że się ze mną wybierasz. Przesyła' tódla ciebie - powiedział podając jej bukiet białych stokrotek.

Nikt wcześniej nie dał jej kwiatów bez specjalnej okazji. Ku swemu przerażeniu poczuła, że zaraz się rozplacze. By ukryć te uczucia, podniosła bukiet do twarzy i powąchała kwiaty - okazało się, że nie pachną. Zaczęła oglądać płatek po płatku.

- Jak to miło z jej strony - rzuciła, gdy udało jej się opanować.

- Pani Davenport to urocza babcia. Doskonale posuwa w remika. Ruszyli i gdy przy zmianie biegów naciskał pedały, Gabrielle obserwowała napinające się mięśnie ud pod cienką materią dżinsów.

Przed wjechaniem na 180 Mark zatrzymał się na stacji benzynowej. Nalał bezołowiowej za parę dolarów, a potem weszli do środka, żeby kupić coś do

picia. Wybrał puszkę coli i paczkę chipsów, gdy Gabrielle z tęsknotą patrzyła w stronę piwa. Głowa już jej nie bolała, ale nadal czuła wewnętrzne dygotanie - resztki kaca. W końcu też wzięła colę, uznawszy, że wytrzyma następną godzinę bez alkoholu.

W samochodzie Mark sięgnął ponad skrzynią biegów i otworzył schowek; odsunął na bok zakurzone mapy oraz inne drobiazgi, by wyjąć tubę kremu ochronnego. Podał go dziewczynie.

- Przyda ci się.

- Nigdy w życiu nie używałam czegoś takiego.

Wrzuciła go na miejsce i zatrzasnęła schowek. Czasem opalała się na golasa i wtedy smarowała się starą, pocziwą oliwką dla dzieci. Ponownie otworzył schowek, wyjął krem i znów jej podał.

- Skoro jedziesz ze mną, masz się posmarować. Albo to, albo rozwinę dach.

Już od lat nikt jej nie mówił, co ma robić.

- Pokaż no to - wyrwała tubkę z jego rąk i przeczytała - czterdzieści... SPF! To zupełnie jakby nie wychodzić na słońce!

- I o to właśnie chodzi.

- To w takim razie po co zwijać dach?

Rozległ się klakson. Gdy tak się kłócili, ktoś stanął za nimi. Mark włączył silnik, zjechał na bok i znów się zatrzymał.

- Smaruj się, to pojedziemy.

Na nosie miał parę idiotycznie grubych okularów przeciwsłonecznych. Nie widziała jego oczu, ale usta zacisnęły się w stanowczą linię.

Z westchnieniem odkręciła tubkę, myśląc, jakie to bezsensowne. Słyszała, że czasem mija dwadzieścia lat, nim człowiek dostanie raka skóry. Oczywiście nie uważała siebie za odporną na wszelkie choroby. Po prostu nie mogła sobie wyobrazić, że za dwadzieścia lat jeszcze będzie żyła.

- Szkoda takiego słońca - narzekała wcierając krem w skórę. W Illinois tak rzadko trafiały się bezchmurne dni. Skończywszy zakręciła tubkę i odłożyła ją na miejsce. - Jak teraz?

- Prawie dobrze - mówiąc to sięgnął pod siedzenie i wyjął parę okularów. Przetarł je symbolicznie o spodnie i podał Gabrielle. - Załóż jeszcze to, a będę szczęśliwy jak diabli.

Przyjrzała się im obracając w dłoniach. Urodą dorównywały okularom

Marka. W takim samym stylu, tyle że jej straciły już połysk. Szkła były podrapane, matowe i jakby lepkie. Wsunęła je na nos myśląc: Co tam, u licha. Przecież zawsze szła na całość.

Po założeniu okularów uznała, że musi zapalić. Wygrzebała z torby pudełko papierosów i wyjęła jednego.

- Wolałbym, żebyś nie paliła. Zdumiona ukwiła w nim twarde spojrzenie.

- Jak rany, przecież dach jest zwinięty!

- Mimo to wolałbym, żebyś nie paliła - wzruszył ramionami. Ten facet to nudny kretyn. Cholera. Leci na nudnego kretyna. Odwróciła się do niego plecami, zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko wypełniając płuca słodką trucizną.

- W ustach masz fabrykę raka. Wiadomo powszechnie, że w papierosach jest smoła, ale czy zdajesz sobie sprawę, że zawierają również pestycydy, nawozy oraz chemikalia używane przy ich produkcji?

Ignorowała go paląc dalej.

- Dlaczego chesz pakować w siebie to całe świństwo?

- Jesteś lekarzem czy co? - wypuściła kłąb dymu.

- Psychiatrą.

- Spadaj.

- Przykro mi, ale to prawda - wzruszył ramionami. Rany. Umówiła się z czubologiem. Jak dla niej to za dużo.

Znów głęboko się zaciągnęła, potem jeszcze raz, aż z papierosa został tylko ustnik. Zaczęło się jej kręcić w głowie. Zupełnie jak w szkole, kiedy paczka dziewcząt chowała się w ubikacji, by razem zakurzyć.

Stare, dobre czasy.

Po raz ostami wciągnęła dym i wyrzuciła niedopałek na pobocze, zastanawiając się, czemu u diabła w ogóle zadzwoniła do Marka i co w ogóle w nim widziała.

Czubolog. Nie umiała się z tym pogodzić. Dlatego ją odrzucił, jasne. Ale zostaje coś jeszcze. On naprawdę się jej podoba. I z niejasnych powodów, teraz, kiedy wiedziała już, co robi, stanowił dla niej jeszcze większe wyzwanie.

Zapewne jest od niej o blisko dziesięć lat młodszy. Przez to sprawiał wrażenie naiwnego. Czystego i nietkniętego. Nigdy nie знаła nikogo tak czystego, tak nietkniętego.

A kiedy odrzucił jej propozycję, sprawił, że poczuła się... zepsuta. I to ją rozwścieczyło. Mogła sobie pozwolić na szczerość wobec siebie i przyznać, że pewna część jej osoby chce go zdeprawować, ściągnąć na swój, niższy poziom. Chciała go do siebie przygarnąć i oplątać. Zbrukać.

Ale inna część chciała go osłonić. Przed rzeczami, które widziała, i przed rzeczami, które robiła. Przed ludźmi takimi jak ona.

Samochód pomknął do przodu. Stopniowo wsunęli się między inne pojazdy. W pięć minut później już gnali Interstate 80.

Podobał się jej powiew wiatru, tłotył na skórze, we włosach. Wywiewał z niej kaca. Radio było włączone. Ku jej zaskoczeniu odbierało rockową stację. Bogu dzięki, że nie musi słuchać klasycznych rzepoleń.

Szum wiatru uniemożliwiał prawdziwą rozmowę. Od czasu do czasu Mark coś pokazywał, resztę zdania uzupełniając gestami. Miał wymowną twarz i łatwo przychodziło jej odczytać, co chce przekazać.

Popatrz na te stopy wystające z okna tamtego samochodu.

Zobacz, ciężarówka domowej roboty.

Ładna żaglówka.

Ładna linia kreślona przez odrzutowiec na niebie.

Czuła, że się odprężyła, a słońce i wiatr wprowadziły ją w pełen zadowolenia półsen.

Wsunęła się w głębiej w fotel, oparła kolana o tablicę rozdzielczą i przymknęła oczy, a bukiet stokrotek nadal leżał na jej kolanach.

Połowa zabawy to podróż na miejsce. Tak przynajmniej ludzie powszechnie twierdzą. W wypadku Gabrielle wyglądało na to, że cała zabawa skończyła się w chwili przyjazdu. Na widok domu rodziców Marka stwierdziła, że popełniła błąd. Stał na końcu ślepej ulicy, piętrowy, a la ranczo, z białymi płótkami i szerokim podjazdem, na którym nie było ani kropli oleju. Ponad drzwiami do garażu na dwa samochody umocowano kosz do gry w koszykówkę. Wszędzie doniczki z czerwonymi pelargoniami i białymi petuniami. I jeszcze huśtawka.

Górne strefy amerykańskiego mieszczaństwa.

Co też ona sobie ubzdurzyła? Przecież powinna była to przewidzieć i się tu

nie pokazywać. Powinna przecież wiedzieć, że facet, który spędza weekendy z rodzicami, pochodzi z tradycyjnej rodziny, przy której ona będzie się czuła pod każdym względem gorsza.

Mark gładko przejechał nad niskim krawężnikiem swoim MG, który teraz wyglądał obrzydliwie przeciętnie na tle lśniących, nowszych modeli zaparkowanych po obu stronach ulicy. Pokonał trawnik bez najmniejszego chwastu i stanął tuż przed drzwiami frontowymi wyłączając silnik i wyskakując z samochodu, nim całkiem się zatrzymali.

Gabrielle siedziała patrząc w przestrzeń i myśląc, że powinna była pójść na pieczenie prosiaka w „Pokusie”. Tam by się nie czuła nie na miejscu. Rzuciła okiem na samochody.

- Ci wszyscy ludzie są w twoim domu?

- Mama zaprasza nie tylko znajomych - wyjaśnił zdejmując okulary i rzucając je na siedzenie. - Ale się nie martw. Wszyscy nie zmieścili się w środku. Większość jest z tyłu domu. - Widząc jej niepokój, dodał: - Bez paniki. To normalni, zupełnie zwyczajni ludzie.

Tak, dla niego. Ale nie dla niej. Wiedziała lepiej. Parę razy się sparzyła na typach, które mieszkały w domach jak z obrazka i prowadziły równie przykładowe życie.

Ponieważ nie chciała, by Mark domyślił się jej wielkiego napięcia, odłożyła okulary na tablicę rozdzielczą i wysiadła z samochodu. Próbując odsunąć moment spotkania z jego przyjaciółmi i rodziną, zatrzymała się, by obejrzeć kolekcję odcisków dłoni, od niemowlęcych do rąk nastolatka, które zostały wiele lat temu odcisnięte w zastygającym cemencie na skraju chodnika. Dla identyfikacji pod odciskami napisano imiona właścicieli. Carrie, Mark, Babbie i Keith.

Mark ujął ją za rękę i pociągnął; stawiała opór.

- Co jest?

- Spodziewałam się czegoś innego. Teraz czuję się jak nieproszony gość.

- A czego się spodziewałaś?

- Czegoś bardziej na luzie. - Nerwowo wzruszyła ramionami. - Parę zniszczonych samochodów. Rozbebeszony silnik oparty o drzewo we frontowym ogródku.

Mężczyźni w rozciągniętych podkoszulkach siedzący przed telewizorem i popijający piwo.

Roześmiał się uznawszy to za żart i wprowadził ją do środka-. Gabrielle

upewniła się, że zabrała torebkę, na wszelki wypadek, gdyby postanowiła się ulotnić.

Nie musi robić nic, na co nie ma ochoty, być tam, gdzie być nie chce. Oto jedna z pozytywnych stron dorosłości.

Prowadził ją przez dom; mijali gustownie ustawione zdjęcia rodzinne i meble pasujące do siebie, najprawdopodobniej kupione w tym samym czasie lub wręcz wybrane przy pomocy dekoratora wnętrz.

Spacer zakończył się w kuchni, która była nowoczesna, choć przytulna. Miedziane rondle i lśniący metal. Na środku stanowisko do pracy z drewnianym blatem. Białe, koronkowe firanki.

Przy zlewie stało parę kobiet rozmawiając łagodnymi głosami. Wyglądały, jakby właśnie wyszły z kościoła. Czyste. Świeże. Staromodne, ale szykowne w pastelowych letnich sukienkach i lśniących pantofelkach; przypominały bukiet kwiatów. Takie kobiety wymieniają przepisy na galaretki i robią narzuty ze ścinków.

Gabrielle takie osoby zawsze onieśmiały. Nie dorównywała im. I nigdy nie dorówna. To mądrzy, zrównoważeni dorośli. A ona jest złym dzieckiem.

W pewnym okresie swego życia krążyła po obrzeżach iclrświata. Ale nadszedł wiek dojrzewania i przestała wygrywać na konkursach piękności. Ciężkie chwile, jak na odwyku.

Gdy zamykają się jedne drzwi, to otwierają się inne. Tak się też stało z Gabrielle. Kiedy nagle przestała dostawać dawki pochwał, szukała ich gdzie indziej i znalazła to, czego potrzebowała: najpierw u chłopców ze szkoły średniej, a potem u mężczyzn. Gdy miała osiemnaście lat, wydrukowano jej pierwsze akty. I tak poszła swoją drogą. Coraz trudniej przychodziło jej przebywać w towarzystwie ludzi uznających tradycyjne wartości, co niedziela chodzących do kościoła i organizujących rodzinne spotkania. Austin i Molly wpasowali się w to środowisko. Ona go unikała.

Rozmowa powoli wygasła. Kobiety jedna po drugiej spoglądały w ich kierunku. Dłoń Gabrielle bezwiednie powędrowała w kierunku farbowanych, potarganych wiatrem włosów, ale zatrzymała się w pół drogi. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. Nie chciała, by ktoś dostrzegł jej zdenerwowanie.

Jedna z kobiet wysunęła się z grupy i podeszła do nich. Była szczupła, imponującego wzrostu; posiwiata, jasne włosy miała krótko obcięte i zaczesane do góry. Poruszała się z wyniosłym wdziękiem. Powitalny uśmiech był mądry

i poważny. Pod wpływem jej pewności siebie Gabrielle poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie i nieporadnie.

Mark objął tę kobietę i ucałował nieświadomie okazując uczucie. Jego matka? Tak. Gabrielle dostrzegła, że mają podobne oczy i usta,

Mark nazwał ją Mamutek, na co kobieta roześmiała się i skarciła go z miłością.

Przywitał się z pozostałymi paniami, które zdawały się rozkwitać, gdy się do nich zwracał, jakby w pewnym stopniu brały udział w jego wychowaniu, a przez to i jego sukcesie. Sprawiały wrażenie dumnych z niego. Może objawiały nawet odrobinę szacunku.

Wkuchni zapanowała serdeczna atmosfera, a Gabrielle tu nie pasowała, ponieważ jej by nigdy nie obdarzono taką serdecznością.

Iwtedy Mark ją przedstawił. Mimo szumu w głowie Gabrielle zapamiętała imię matki: Jane Elliot.

W ciągu ubiegłych dziesięciu lat Gabrielle była aresztowana za zgorszenie publiczne i nadużywanie alkoholu, pobita przez agresywnego narzeczonego i raz przyłożono jej do gardła ostrze noża sprężynowego. Co noc trzymała w karchach tłum podnieconych mężczyzn. Dlaczego więc jej serce ścisnął lęk na widok tej kobiety stojącej przed nią? Dlaczego czuła się jak kompletne zero? Bez najmniejszej wartości?

Jane Elliot ujęła dłoń Gabrielle w obie ręce i poklepując dodała, że cieszy się z jej przybycia. Matka Marka była ucieleśnionym ideałem.

- Ojciec jest przed domem - powiedziała do syna. - Na warcie przy grillu.

I tak oto ruszyli do następnej porażki i kolejnego spotkania. W ogródku Gabrielle wzięła głęboki oddech i zaczęła gorączkowo szukać wzrokiem beczki z piwem na dużym, zielonym trawniku lub między stolikami. Gdyby wychyliła kufel... Gdyby wychyliła dobrych parę kufli, to może zdołałaby wziąć udział w tej farsie.

Wyraźnie widziała otoczenie. Dostrzegła, że ogród otaczał płot z prawdziwych desek. Przy nim ustawiono gry. Dzieci grały w krykieta, starsze razem z paroma nastolatkami - w siatkówkę.

Gdzie jest to cholerne piwo? To nie przyjęcie, ale piknik przykościelny.

Nie widziała, żeby ktokolwiek palił.

Marzyła o papierosie.

Mocniejszy trunek. Wypić. Rany, natychmiast.

Mark pociągnął ją do grupy mężczyzn otaczających parowy grill. Przed-

stawił ją ojcu, George'owi Elliotowi, krzepkiemu mężczyźnie w pasiastej koszulce polo i zamszowych szortach. Był przyjacielski, mówił głośno, a Mark odziedziczył jego swobodny śmiech. W dłoni trzymał szklanekę z płynem. Wprawdzie nie piwo, ale może jakiś koktajl, pomyślała z nadzieją.

- Łap za talerz - pan Elliot łąpatką ociekającą tłuszczem wskazał na stół kempingowy uginający się pod ciężarem jedzenia. .

Ruszyli w jego kierunku.

- Może powinnam była coś przynieść ze sobą - szepnęła Gabrielle na widok okrytych folią półmisków.

Mark ustawił się za innymi i posuwając się wolno próbował kolejne dania.

- Następnym razem - odparł potrząsając przecząco głową.

Tu mi kaktus wyrośnie! Nie będzie następnego razu. Wzięła talerz i jeszcze raz omiotła spojrzeniem trawnik.

- Gdzie jest piwo?

- Piwo? - Mark popatrzył na nią.

Sądząc po jego tonie można by pomyśleć, że pyta o miejsce przechowywania kokainy.

- Nie ma piwa.

- Nie ma piwa?

- Nie, moi starzy nie piją - przytaknął.

- Żartujesz. - Jego rodzice nie piją?

- Poważnie.

Kto nie chciałby pić?

Gabrielle posuwała się za Markiem i nie patrząc na potrawy nakładała sobie na talerz, a w jej głowie szalała kawalkada myśli. Bez pomocy nie przeżyje tego przyjęcia. Nie piją. Nie znała żadnego abstynenta.

Nim usiedli, Mark przedstawił ją starszej siostrze, Carrie. Ku przerażeniu Gabrielle sprawiała wrażenie równie dystygowanej jak matka, póki Mark nie chwycił jej za szyję i nie nacisnął w splot słoneczny. Wtedy wrzasnęła, kopnęła go w gołeń i kazała wreszcie dorosnąć.

- Nie znosi, kiedy ją naciskam w czuły punkt - wyjaśnił Mark.

- Lepszy czuły niż sterczący - Carrie pokazała mu język i uciekła poszukać dzieci.

Gabrielle zobaczyła, jak w chwilę później rozdziela chłopca bijącego się z dziewczynką.

Gabrielle i Austin nigdy ze sobą nie walczyli. Dopiero gdy Gabrielle

dorośla, zdała sobie sprawę, jakie to dziwne: nie bić się z bratem. Może nie robili tego z powodu innych konfliktów w swoim życiu?

Przedstawiono jej najmłodszego brata Marka, Keitha, chodzącego do ostatniej klasy szkoły średniej. Została jej tylko Babbie.

- Może później rzucimy parę kółek - zapytał Keith brata.

- Jasne.

Znaleźli wolny stół. Mark usiadł po prawej stronie Gabrielle, Carrie natychmiast zajęła miejsce po lewej, najwyraźniej uznając za swój obowiązek dowiedzieć się czegoś o kobiecie, którą brat przyprowadził. . Mówiła o suchej wiośnie i że jej zdaniem Mark powinien kupić sobie nowy samochód, skoro jego MG psuje się na dłuższych trasach. Gabrielle zaczęła się rozluźniać - a przynajmniej zelżało napięcie w jej mięśniach - gdy Carrie wreszcie dotarła do sedna.

- Gdzie pracujesz? - zapytała.

Grając na zwłokę, Gabrielle wytarła usta serwetką. Tu skończyła się jej odporność, więcej nie zniesie.

- Chyba muszę skorzystać z łazienki - wyznała biorąc torebkę i przerzucając ją przez ramię. - Możesz mi powiedzieć, gdzie jest?

Schroniwszy się w łazience utrzymanej w fioletowo-zielonej tonacji, zamknęła za sobą drzwi na klucz i gorączkowo przetrząsnęła torebkę, aż znalazła butelkę z lekarstwem.

Ręce tak jej Sit trzęsły, że z trudem odkręciła zakrętkę. Wreszcie jej się to udało i wytrząsnęła parę tabletek. Pochyliła się nad umywalką i nabrawszy wody w dłoń, szybko je połknęła.

Rozdział czternasty

Połknąwszy tabletki Gabrielle włączyła wywietrznik i zapaliła papierosa. Była w połowie, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Dobrze się czujesz? Mark.

Wrzuciła papierosa do muszli i rozgoniła dłońmi resztki dymu.

- Świetnie! - krzyknęła pewnym, wesołym głosem. - Zaraz wychodzę! Nie mogła wręcz uwierzyć, że chowa się w łazience na dyma. Ależ ją rozczarowała ta wycieczka.

Spłukała muszlę i korzystając z szumu wody szybko dwukrotnie nacisnęła odświeżacz powietrza o sosnowym zapachu. Ohyda.

Gdy wysunęła się na korytarz, Mark czekał na nią oparty o ścianę, z rękami założonymi na piersi. Powąchał.

- Paliaś.

- Och, idź do diabła - przesunęła się koło niego.

Krótki odpoczynek od rodziny Marka doskonale jej zrobił. Powoli wracała do siebie. Lepiej sobie teraz poradzi z gośćmi, zwłaszcza że połknięte tabletki niedługo zaczną działać.

Przed domem większość zebranych skończyła jedzenie. Stali rozmawiając w grupkach albo szykowali się do rozpoczęcia zabaw na świeżym powietrzu. Na stole stał pełny talerz Carrie. Wzięła go i spacerując po trawniku kończyła ciasto biszkoptowe. Potem wyrzuciła papierowy talerz do czarnej torby na śmieci.

W tłumie szukała wzrokiem Marka. Czy mogą już iść? Przecież spędzili tutaj wystarczająco dużo czasu.

Ktoś dotknął jej ramienia. Dziecko. Siostrzeniec Marka, ten, który wcześniej się bił.
- Chcesz zobaczyć Wacka, mojego węża? - zapytał. Zaintrygowana poszła za nim do cichego, ocienionego kąta, gdzie chłopiec

przyklęknął, zdjął pokrywę z akwarium i wyjął pasiastego węża.

- Sąsiad chciał go zabić - wyjaśnił chłopiec, pozwalając, by gad owinał się wokół jego ramienia. - Niektórzy ludzie nie wiedzą, że wężę są pożyteczne.

Gabrielle przyklęknęła obok na chłodnej trawie. Wyciągnęła rękę i dotknęła skóry, ze zdumieniem przekonując się, że nie jest śliska i zimna, ale ciepła i gładka.

- Jaki piękny. - Mieszkała kiedyś z facetem, który brał udział w wyścigach rowerowych; nosił przezwisko Waż. To był jej jedyny kontakt z gadami.

- Tato opowiadał mi o pewnej pani, która zbudowała dom dokładnie nad wielkim gniazdem węży. Wylęgły się ich setki i wpełzły do jej szafek, szuflad i szaf. -

Chłopiec roześmiał się wesoło, widząc oczyma duszy tę scenę.

Gabrielle nigdy nie spędzała czasu z dziećmi. Przypatrywała mu się uważnie, oglądając po kolei palce o krótkich, brudnych paznokciach, włosy mokre od potu, rumiane policzki i opaloną, gładką skórę...

Wężę i ślimaki...

Po raz drugi tego dnia jej oczy zaszczyły łzami. Zamrugowała powiekami mając nadzieję, że chłopiec tego nie zauważy. Uczuciowość nie leżała w jej naturze, a tym bardziej łzy. Po raz pierwszy od bardzo dawna wybuchnęła płaczem na widok Austina w wózku inwalidzkim.

- Jak masz na imię? - zapytała odzyskawszy panowanie nad sobą- Daniel.

- Ile masz lat, Danielu?

- Siedem i pół.

Dzieciaki nigdy nie podawały okrągłych liczb. Siedem i pół.

Rzadko myślała o tej fatalnie zrobionej skrobance... Ile to już lat temu?

Siedemnaście.

W jej świadomości to dziecko, którego nie urodziła, było zawsze małe, jak ten chłopczyk tutaj. W rzeczywistości byłoby już duże, prawie dorosłe.

Przeszło, minęło, dawne sprawy. Odepchnęła wspomnienia i uśmiechnęła się do Daniela.

- Wacek ma szczęście, że trafił mu się przyjaciel, który go rozumie i lubi.

Uśmiechnął się do niej serdecznie i przytaknął ochoczo.

Porozmawiali jeszcze chwilę. Potem następne dzieci przyszły obejrzeć węża.

Obawiając się, że podekscytowane mogą mu zrobić krzywdę, Daniel włożył go do akwarium i poszedł z kolegami, a Gabrielle przyłączyła się do dorosłych.

Poczuła się lepiej po rozmowie z Danielem. Może poradziłaby sobie bez valium?

Teraz powoli ogarniało ją uczucie, jakby pływała w powietrzu, i jak zawsze ucieszyła się z tego.

Nie widząc Marka zajrzała do kuchni, gdzie parę kobiet zmywało. Gdy zaoferowała swoją pomoc, wręczono jej ściereczkę do naczyń.

Konwersacja toczyła się wartko.

- Czy w tym roku dostajesz bilety do Klubu Miejskiego? - jedna z pań zapytała matkę Marka.

- Nie wiem, czy powinniśmy. - Jane wzięła półmisek z suszarki. - W zeszłym roku nie poszliśmy na dwa balety i dwa music-halle.

- Jaka szkoda.

Gabrielle wzięła foremkę po zapiekance.

- Czy byłaś w Klubie Miejskim, moja droga?

Gabrielle podniosła wzrok znad wycieranej blachy i zobaczyła, że przygląda jej się pomarszczona, zgarbiona staruszka, uprzejmie czekając na odpowiedź.

Skończywszy wycierać foremkę, Gabrielle odłożyła ją na kredens i sięgnęła po talerz.

- Tylko raz - odparła skupiając się na tym, co robi. - Ale nie na music-hallu. To były zawody zapaśnicze.

- Zapasy?!

- Kobiet.

- Kobiet? Niemożliwe!

Jaka miła. Sprawiała wrażenie, że spodobał się jej ten pomysł. Zachęcona tym Gabrielle ciągnęła opowieść.

- Zawodniczki miały na sobie podkoszulki bez staników i zmagaly się w wannie pełnej galaretki.

Oczy kobiety zabłysły i zmarszczki na twarzy pogłębiły się.

- Galaretki? Jakiego koloru?

Wszystkie panie przerwały zmywanie i wycieranie. Skupiły uwagę na Gabrielle.

- Czerwonej.
- Jakie cudowne! Prawda, że cudowne?
Zebrane przytaknęły. Niektóre się roześmiały. Inne tylko się uśmiechnęły.
- Ale czy ta czerwień nie zostawiła plam? - zapytała któraś. - Pomyśl tylko o skórze.
A co z włosami? Zwłaszcza jeśli ktoś ma jasne?
- Albo farbowane? Co by się stało z farbowanymi?
- Żółty nie byłby taki zły - rzucił ktoś inny. Wszystkie się z tym zgodziły.
- Ciekawe, czy galaretka zawierała cukier?
- Och, ty łakomczuchu!
- A zielona? Wyobraź sobie plamy z zielonej.
- Rzeczywiście.
- Albo niebieskiej. Tylko pomyślcie. Znow się roześmiały.
Jakie one miłe, stwierdziła Gabrielle. Dziwiła się swoim wcześniejszym obawom.
- Bez trudu zmyłam czerwień ze skóry - wyznała. - Ale macie rację co do włosów.
Przez parę tygodni były w nich czerwone ślady.
Zdobyła wszystkie. Damy - ozdobę parafii/Pastelowe kwiaty. Wszystkie, poza matką Marka, która popatrzyła na nią z lekkim przerażeniem. Pozostałe uśmiechały się czekając na ciąg dalszy.
- Uprawiasz zapasy, Gabrielle? - spytała Jane. Przytaknęła sięgając po szklaną, bogato zdobioną salaterkę.
Kobiety się roześmiały. Gabrielle przyłączyła się do nich. Opowiedziała, jak jedna z uczestniczek w czasie walki straciła podkoszulek, a widzowie zaczęli wskakiwać do galaretki.
Gabrielle znow się zaśmiała i nagle okazało się, że nie może przestać. Całe napięcie tych paru godzin znalazło teraz ujście. Śmiała się... Łzy płynęły po jej policzkach. Brzuch ją bolał. Krztusiła się, nie mogąc złapać powietrza.
Szkłana salaterka wymknęła się z jej rąk i roztrzaskała o podłogę.
Po grzmocie pękającego szkła nastąpiła pełna zdumienia cisza.
-Och!...

Ile rozpaczy może zabrzmieć w jednej sylabie. Wyszła ona z ust uroczej staruszki, która wciągnęła Gabrielle do rozmowy. Teraz wpatrywała się w odłamki szkła przyciskając drżącą, pożyłkowaną dłoń do ust.

- Moja matka przywiozła ją z Niemiec.

Gabrielle patrzyła na krąg zastygłych twarzy i na tę sympatyczną kobietę, która się do niej pierwsza tak miło odezwała.

Kiedyś w dzieciństwie, gdy wróciła ze szkoły do domu, odkryła, że matka oddała wszystkie książki z ukochanymi bajkami, twierdząc, że Gabrielle jest już na nie za duża.

Gabrielle wiedziała, co czuje ta kobieta. Wiedziała, jaką ranę pozostawia podobna strata.

Nie umiając znieść tak mocnego bólu i wiedząc, że to ona go spowodowała, Gabrielle rzuciła ścierkę, chwyciła torebkę, którą powiesiła na oparciu krzesła i wybiegła z domu.

Gnała schłodnie przyciętymi trawnikami wzdłuż wąskiej alei. Gdy tak pędziła, buty jej niemal spadały, a włosy powiewały z tyłu. Uciekała od pastelowych kwiatów i ich mieszczańskiej egzystencji. Uciekała od samej siebie.

W płucach czuła płomień, zabolało ją z boku. Zwolniła i w końcu się zatrzymała opierając dłonie na kolanach, by złapać oddech. Po chwili wyprostowała się i zapaliła papierosa; dym uciszył ból w płacach. Rany, nie zdawała sobie sprawy, że jest w tak kiepskiej formie.

A potem ruszyła wolnym krokiem popalając i śmiejąc się do siebie na myśl, jak wyrwała się z tego domu, pozostawivszy zagapione kobiety. Nagle przypomniała sobie wyraz twarzy tej kobiety i zaczęła płakać.

Przeszła tak blisko kilometr, gdy dostrzegła bar. Oaza na pustyni. Światełko w mroku.

Wsunęła się do środka, do chłodnego, ciemnego wnętrza, gdzie pachniało starym dymem papierosowym i kojąco trzaskały kule bilardowe. Znany jej świat. Świat, w którym nie będzie obca.

Mark był w pokoju Keitha, gdzie oglądał pocztówki z graczami w baseball; tam znalazła go matka i opowiedziała, co się stało z Gabrielle.

- Mogliście być dla niej mili - stwierdził Mark. - Przechodzi trudny okres w życiu. - Wypowiadając to zdanie chciał zagrać na uczuciach matki. Osobiście podejrzewał, że Gabrielle zawsze przechodzi trudny okres.

- Ja byłam wobec niej miła.

W drzwiach pojawił się George Elliot i objął żonę opiekuńczym gestem.

- Nie denerwuj matki.

Mark natychmiast się zawstydził. Przecież matce nie było łatwo w życiu. Tak samo jak im wszystkim. Choć minęło pięć lat, nadal ciążyła nad nimi zhora wspomnień o śmierci jego siostry Babbie na raka.

Mark kochał rodziców. Stanowili jedyny niewzruszony element w jego życiu. Całkowicie na nich polegał. Dlaczego więc zawsze czuł się przy nich jak ośmiolatek?

- Myślę, że ją przestraszyliśmy - powiedziała Jane.

Niesłychane, by kogoś, kto rozbiera się wobec tłumu, mogła przerazić jego matka i jej przyjaciółki. Ludzie obawiają się dziwacznych rzeczy. Miał kiedyś pacjentkę, zupełnie normalną poza jednym - panicznie bała się dzieci. On sam cierpiał na lęk przestrzeni i truchłał na widok kłownów.

George Elliot skinął na Keitha, po czym obaj wyszli z pokoju i ruszyli dalej, korytarzem, zostawiając Marka samego z matką.

- Kochanie, wiem, jak lubisz pomagać ludziom - zaczęła - ale czasem... Martwię się o ciebie. Wolałabym, żebyś pomyślał też o sobie. Nie możesz wszystkiego za wszystkich załatwić.

Od śmierci córki matka otaczała pozostałe dzieci przesadną opieką. Zupełnie naturalna reakcja.

- Potrafię się sobą zająć - przypomniał jej syn.

- Czyżby? Nie mam nic przeciwko Gabrielle, ale czasem ludzie jej pokroju pociągają swoich przyjaciół za sobą, w dół.

- Niepotrzebnie się martwisz.

- Mam nadzieję.

- Przepraszam za to zamieszanie.

Przepraszam za Gabrielle, przepraszam za to, że zmartwiłem matkę, przepraszam za Babbie. Mark objął Jane i ucałował.

- Lepiej pójde jej poszukać.

Objechawszy dwukrotnie sąsiedztwo Mark postanowił zajrzeć do pobliskiej spelunki, baru „Pod Zieloną Latarnią”. Tam właśnie znalazł Gabrielle. Grała w bilard, a wielu klientów z zachwytem podziwowało jej technikę.

- Cześć Mark! - rzuciła wymachując do niego kijem i pochyliła się nad stołem. Spódnica zadarta wysoko. Obcisła bluzka.

Uderzenie.

Marzenie każdego bywalca barów.

Jakoś udało jej się umieścić dziewiątą bilę w otworze. Obeszła stół i przymierzyła się do kolejnego uderzenia.

Najprawdopodobniej nie tylko dzięki alkoholowi wpadła w tak szampański nastrój. Podejrzał, że celem maleńkiej wycieczki do łazienki było coś więcej niż zapalenie papierosa.

Mark westchnął, przeszedł przez salę i zajął miejsce przy barze. Po co się tu kręci? Gabrielle nie potrzebuje opieki. Taka sytuacja to dla niej chleb codzienny. Popatrzył na typy spod ciemnej gwiazdy siedzące wokół.

I postanowił zostać.

Wiedział, że szarmancką troską obdarza niewłaściwą osobę. Dla Gabrielle był to kolejny dzień w stadninie ogierów rozplodowych, ale on wiedział, jak faceci wykorzystują takie zagubione kobiety o nieuporządkowanym życiu emocjonalnym. Nie mógł tak po prostu odejść i do tego dopuścić.

Nie chciała jeszcze wychodzić, więc Mark w końcu zamówił colę i zdecydował się zagrać z nią dwie partyjki. Grała słabo. Nie potrafiła porządnie utrzymać kija i szybko straciła zainteresowanie grą.

- Zagrajmy na automatach - powiedziała opierając się na nim całym ciężarem. - W tym jestem dobra.

- Może byśmy wrócili do domu?

Uniosła wysoko powieki, po czym opuściła je zmysłowo, źle rozumiejąc jego propozycję.

Niech tak myśli. Za wszelką cenę trzeba ją stąd wyciągnąć.

Objęła go za szyję przytulając się jeszcze mocniej. Zatoczył się do tyłu i oparł o krawędź baru. I wtedy go pocałowała.

Doprowadziła sztukę całowania do perfekcji. Iście profesjonalne dzieło, które pozbawiło go świadomości; w uszach mu dzwoniło, a całe ciało stwardniało. I nim pojął, co się dzieje, już go prowadziła w stronę drzwi.

W progu odwróciła się i pomachała siedzącym.

- Tylko go nie wykończ! - krzyknął jeden z nich.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Po wyjściu znów się do niego przytuliła.

- Po co czekać, aż będziemy u mnie - szepnęła namiętnie. - Poszukajmy myjni automatycznej. Robiłeś to kiedyś w mytym właśnie samochodzie? Albo w toalecie na stacji benzynowej?

- Bardzo romantyczne miejsce.

Bijąca od niej woń piwa, papierosów i taniego baru przypomniała mu, że jest zaćpana, trzeba jakoś zawieźć ją do domu i jak najdalej od niej uciekać. A potem, przyrzekł sobie w duchu, nigdy więcej do niej nie wpadnie ani nawet nie zadzwoni. Uważał, że powinien jej pomóc, ale sytuacja go przerosła. Żyła na pięć razy szybszych obrotach niż on.

Ujął ją mocno za ramię i przytrzymał z dala od siebie. Obejrzał okiem lekarza: wysuszona skóra twarzy wskazywała na nadużywanie alkoholu, zamglone oczy, wargi lekko napuchnięte od erotycznego pocałunku.

- Zabieram cię do domu - oświadczył.

Gdy tylko dotarło do niej znaczenie tych słów, wyprostowała się i popatrzyła uważniej.

- Żadnego seksu?

- Żadnego.

Jej oczy rozgorzały wściekłością; wyrwała się z jego uścisku.

- Kim ty jesteś? Zakonnikiem czy co? Złożyłeś śluby czystości? - mówiąc to obeszła samochód i gdy nie mogła otworzyć drzwi, pokonała je górą, celowo migając przezroczytymi, mocno wyciętymi majteczkami. Po czym ciężko opadła na siedzenie przygniatając zwiędłe już stokrotki.

Białe linie migają po bokach, gdy koła MG toczyły się po nagrzanej jezdni.

Gabrielle zerknęła na Marka. Na jego twarzy zastygł ponury wyraz; patrzył wprost przed siebie, ręce trzymał na kierownicy, oczy ukwił daleko.

- Uważasz, że jesteś za dobry jak na mnie, co? - podniosła głos przekrzykując szum wiatru.

Spojrzał na nią kątem oka nie odrywając wzroku od autostrady.

- Nie jesteś w moim typie, ot co.
- Jaki rodzaj kobiet lubisz? Zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.
- No bo lubisz przecież kobiety?
- Niektóre - wzruszył ramionami.

Co należało rozumieć: nie lubi jej. Ale nie pozwoli, by ją to zraniło.

- W takim razie... - palcem dotknęła policzka i zapatrzyła się w niebo. - Jaki rodzaj kobiet lubisz? Założę się, że cnotki. Jak ta, która występowała w tym filmie, z tymi śpiewającymi szczeniakami. Nie, ona skończyła pozując dla „Playboya”. A ta księżniczka? - Nie pamiętała nazwiska. - Wiem - strzeliła palcami. - Moja bratowa. Któż jest bardziej cnotliwy niż stara, poczciwa Molly?
- Zostaw ją w spokoju. Trafiła w dziesiątkę.
- Molly, Molly - wołała śpiewnie. - Mark buja się w Molly. Zaczerwienił się po korzonki włosów.

A więc rzeczywiście się w niej buja! Powiedziała pierwsze imię, której jej przyszło do głowy. I zgadła. Odrzuciła głowę do tyłu i zaniosła się śmiechem, złośliwie zadowolona z odkrycia.

- Molly, Molly! - powtarzała.
- Zamknij się!
- Molly, Molly!
- Zamknij się!
- Co zrobisz, jeśli nie przestanę?
- Zatrzymam się na poboczu i wyrzucę cię na zbity pysk.

Co on widzi w jej bratowej? Jest taka nudna. Naprawdę ją to rozzłościło. Cóż za nadęty bufon. Ten jego krem przeciwsłoneczny. Okulary. Pasy bezpieczeństwa. Żadnego piwa.

Rozpięła pasy.

Zdjęła okulary.

Potem rozpięła skórzany pasek, który założyła dziś rano. Zlikwidowawszy to ograniczenie, wyciągnęła bluzkę i ściągnęła ją przez głowę. Trzymała bluzkę w górze; wiatr odciągał ją do tyłu.

Ubieraj się!

Potrząsnęła głową i jeszcze wyżej uniosła bluzkę. A potem wypuściła ją z rąk

- Jeżeli sądzisz, że po nią wrócę, to się grubo mylisz.

Wzruszyła ramionami i sięgnąwszy na plecy rozpięła stanik. Zdjęła go uwalniając piersi. Pochwyciwszy się metalowej framugi szyby dla utrzymania równowagi, zawiesiła go za ramiączko na antenie.

Kierowca w mijającym ich samochodzie zatrafił. Gabrielle roześmiała się i pomachała szeroko ramionami niczym Marilyn Monroe.

Mark chwycił ją za ramię i zepchnął na dół. Po czym sięgnął za swój fotel, wyciągnął brudny ręcznik i rzucił jej na kolana.

- Przykryj się tym.

- Patrz, coś narobił.

Zwiędłe, pogniecione kwiaty spadły z siedzenia i leżały rozrzucone wokół jej stóp.

- To twoje dzieło. Siadłaś na nich, kiedy wyszłaś z baru. Schyliwszy się wzięła jeden zwiędły kwiat, po czym przechyliła się do

tyłu unosząc twarz ku słońcu, a piersi ku górze. Świadomie prowokacyjnym ruchem uniosła lewą rękę podkładając ramię pod głowę; odrzuciła loki z szyi.

- Nakryj się!

- Chcę się opalić.

Gabrielle popatrzyła w dół na pełne piersi o ciemnych sutkach. Wiele striptizerek powiększało biust operacyjnie, ale jej był prawdziwy, czym się zawsze szczyciła.

Gdyby mogła cokolwiek zmienić, to wyłącznie odstęp między piersiami. Chociaż były duże, nawet bez stanika nieźle wyglądały. ^%

Obsypała sterczący sutek pomiętymi płatkami stokrotki.

- Nie podobają ci się? - zapytała, z namysłem wydymając wargi, jakby była na scenie. - Powiedz, że ci się nie podobają, to się przykryję.

Uderzył dłonią w kierownicę.

- Masz piękne piersi. - Zerknął w jej stronę i przełknąwszy ślinę skupił się na szosie.

- Masz cudowne ciało. Ale ja jestem konserwatystą i nie zwykłem pędzić autostradą z półnągą kobietą u boku. Czy więc mogłabyś coś z tym zrobić?

Spojrzał przed siebie, a potem znów na nią. Powtórzył ten ruch. I jeszcze raz.

Zmaganie sił.

Popatrzyła na jego uda i uśmiechnęła się. A więc jednak reagował na nią.

Choć w części zadowolona, sięgnęła do przodu i ściągnawszy stanik z anteny, włożyła go, a potem przykryła się ręcznikiem.

Kiedy Mark zatrzymał się przed mieszkaniem Gabrielle, spała jak zabita. Spróbował ją obudzić potrząsając za ramię. Uniosła powieki, ale źrenice natychmiast uciekły do tyłu. Sprawdził puls. Mocny i równy. Przyszli mu na myśl Jimi Hendrix i Janis Joplin, którzy zadławili się na śmierć własnymi wymiocinami.

Nie mógł zostawić jej samej.

Średnia przyjemność przesiedzieć u niej w domu całą noc, ale to lepsze, niż gdyby ją tu wyrzucił, wrócił do siebie i zamartwiał się do rana.

Zawleczenie jej do środka zajęło mu pełnych dziesięć minut. Następne pięć zaprowadzenie do sypialni.

Podczas drogi ręcznik spadł z jej ramion.

- Kochaj się ze mną - błagała stojąc na chwiejnych nogach na środku pokoju, ubrana tylko w spódnicę i koronkowy, czarny stanik.

Boże, co za dzień.

W dzieciństwie siostry przeżywały Marka Tygrysem z powodu jego nieokiełzanej energii. Nawet teraz ludzie go denerwowali pytaniem, czy coś bierze. Ale Gabrielle zdołała całkowicie go wykończyć.

- Idź spać - odparł zmęczonym głosem.

- Nie.

Objęła go, lecz nim zaczęła go całować, uwolnił się z jej objęć i popchnął ją w kierunku łóżka.

- Idź spać - powtórzył.

Obrzuciła go szklanym spojrzeniem spod powiek z rozmazanym tuszem.

- Nienawidzę cię. -Przykro mi.

Rozwścieczony wyraz jej twarzy zmieniał się gwałtownie: malowała się na niej przegrana, a potem tak straszliwy żal, że poczuł się jak najgorszy łajdak.

- Dlaczego mnie nie lubisz? - wyszeptwała, a jej dolna warga zaczęła dygotać.

- Ależ ja cię lubię!

- Ty mnie nienawidzisz.

- Wcale nie - protestował.

106

Zacząła płakać. Cicho pociągała nosem. Pochyliła głowę, więc nie widział jej twarzy. Przyciągnął ją ku sobie i objął, przyciskając jej głowę do piersi. Przez chwilę tak się razem kołysali.

- Wiesz co? - zapytała, a jej głos tłumili łzy i jego koszula.

- Co?

- Nienawidzę siebie!

Rozdział piętnasty

Piętnasty lipca. Urodziny Austina.

Oboje wiemy, że sytuacja jest trudna, uznał Austin, gdy siadał przy kuchennym stole wsparty na nowej czarnej lasce - znienawidzony przedmiot, który zdaniem Amy dodawał mu wdzięku. I choć bardzo chciał jej uwierzyć, nie potrafił przełknąć tego kłamstwa.

Właśnie wrócili z Molly z zajęć rehabilitacyjnych. Stała tyłem do niego przy blacie kuchennym, ubrana w białą bluzkę bez rękawów wsuniętą w spłowiałe dżinsy.

Lukrowała tort. Jego tort. Urodzinowy. Na przyjęcie. Pierwsze od czasu wyprowadzki Amy.

Radio na lodówce było włączone, spiker mówił o pogodzie.

- Będzie ponad dziewięćdziesiąt stopni Fahrenheita. Łapcie za kostiumy i pędem na plażę. W centrum miejskim nad jeziorem jest Dzień Pepsi. Wejście za darmo, jeżeli przyniesiecie sześć pustych puszek. A szukając kremu do opalania posłuchajcie piosenki, która wywoła wspomnienia i wprawi was w odpowiedni nastrój.

Z radia popłynęła nastrojowa piosenka o lecie, która kojarzyła się z oceanem, mołem, bosymi stopami i podwiniętymi rękawami koszuli.

Przez okno nad zlewem wpadały do kuchni promienie słońca. Letniego słońca.

Jasne i czyste, nie miały kolorów, nie rzucały długich cieni. Choć był zaledwie późny ranek, już robiło się ciepło i zapowiadał się gorący dzień. Molly wcześniej zapytała, czy chce, by włączyć klimatyzację - zwykle zrobiłby to parę tygodni temu. Ale tym razem odmówił.

To Molly uwielbiała upały. A teraz Austin, po raz pierwszy w życiu, też je polubił. Kiedy było gorąco, nie bolały go stawy i krew lepiej krążyła.

Wspaniały dzień, szkoda tylko, że będą urodziny.

Wszystko przez to, że nienawidził uroczystości wszelkiego rodzaju, nawet urodzin. Cholerne śpiewy. Zdmuchiwanie przeklętych świeczek. Cóż za idiotyzmy.

Sylwester był najgorszy. Ludzie zakładali kretyńskie czapeczki i zachowywali się jak banda wariatów. Choć nigdy się nie przyłączał, to jednak z dziwnego powodu zawsze w końcu to on czuł się jak głupiec.

Chciał, by Amy przysłała, ale była w Kanadzie z Melindą i Chrisem na wakacjach, które planowali od roku. Austin wiedział, że patrzyłby na całą rzecz inaczej, gdyby się zjawili. Ale Amy przyjęła właściwą hierarchię wartości. Wakacje z rodziną są ważniejsze niż urodziny żalosnej resztki ojca, żalosnej resztki mężczyzny.

- Przyjdzie Sammy z Rachel - rzuciła Molly przez ramię, najwyraźniej sprawdzając jego reakcję.

Sammy. Brat Molly. Dlaczego ona to robi? Przecież wie, że nigdy nie przepadał za towarzystwem szwagra.

Kiedy Austin po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że Molly nigdy go nie pokocha, przyczynę tego całkowitego braku miłości w jej sercu upatrywał w zupełnym jej załamaniu po śmierci narzeczonego i po poronieniu. Ale wtedy Sammy wrócił z Wietnamu i Molly się odrodziła.

Austin nienawidził Sammy'ego. Roześmiany, dowcipny, czarujący Sammy. Austin już wcześniej nie stanowił dla niego konkurencji. Jakżeż mógłby teraz stanąć z nim w szranki?

I Austin nie chciał przyjęcia.

Musi jej to powiedzieć, ale skończył mu się papier. Żeby zwrócić na siebie uwagę Molly, ujął ołówek i zaczął niecierpliwie stukać nim w stół. Papier. Potrzebuję papieru. Natychmiast.

Molly odwróciła się i zmierzyła go chłodnym, analitycznym spojrzeniem terapeutki.

- Za bardzo polegasz na pisaniu - zawyrokowała. - Powiniens zacząć więcej mówić.

Miała rację, ale nie znosił niewyraźnych dźwięków, które wydawał. A poza tym chodziło o co innego: będzie robił i miał to, czego zechce. Jeżeli nie ma

ochoty mówić, to nie musi. Jeżeli chce papier, to go powinien dostać. Do diabła, będzie pisał na ścianach, jeśli mu na to przyjdzie ochota. To jego dom.

Wziął ze stołu długopis i przyłożył go do ściany.

Molly spokojnie podparła się pod boki.

- No wiesz, Austin...

Bezpodstawna groźba. Widział, że nawet przez chwilę mu nie wierzyła. Z odrazą odrzucił długopis.

- Daj... mi... kar...tkę...

- Nie potrzebujesz. Ale jeśli tak bardzo tego chcesz, to czemu jej sam nie weźmiesz?

Miała rację. Znowu. O kilka kroków stąd znajdował się jego gabinet i biurko. Ale on chciał, żeby to ona przyniosła mu papier. Zgarbił się i ciężko oparł na stole, by jej uzmysłowić własne zmęczenie i wycieńczenie. Naprawdę był zmęczony. Wszystko go bolało. Rehabilitacja wyssała z niego wszystkie siły.

Potrząsnęła głową.

Uparta. Czy zawsze była jak skała? Raczej nie.

- Jeśli tego chcesz, sam sobie weź - oświadczyła. Skała. Ale nie na długo.

- Znę...casz się nade... mną.

Zadziałało. Z zadowoleniem stwierdził, że dotknęły ją te słowa. Odłożywszy nóż poszła do gabinetu po papier.

Nastawił uszu, ale nie dobiegł go szelest otwierania czy zamykania szuflad.

Żadnego ruchu. Wróciła po paru minutach z pustymi rękami.

Pytająco uniósł brwi. Papier?

- Nie będziesz mnie terroryzował - stwierdziła stanowczo. - Jeśli chcesz, to sam sobie weź.

Poddał się. Po co walczyć? Znowu wygrała.

- Nieee... p... cia... - wydukał. Aż kulił się w środku słysząc swój głos. Rozbolało go gardło, nienawykłe do wysiłku, do którego zmuszał struny głosowe. Kolejny dowód, że miała rację, bo jeżeli z nich nie będzie korzystał, zupełnie zatraci umiejętność mówienia.

Patrzył, jak ujęła szeroki nóż i dokładnie pokrywała lukrem okrągły, przekładany tort. Włosy związała z tyłu w koński ogon. Była bosa. Wyglądała młodziej. Młodo i pociągająco. Na odsłoniętej, opalanej skórze nie było

białych pasków. To go zmartwiło. Czy na Florydzie nosiła kostium kąpielowy? Jeśli tak, to jaki? Czy chodziła w nim pływać? Czy spacerowała z kimś po plaży? Odsunął od siebie te pytania, gdy stwierdził, że nie umie na nie odpowiedzieć. Starął się skupić na czymś innym.

Zwykle czepiał się tego, jak Molly jest ubrana, zwłaszcza gdy gdzieś razem wychodzili. Nigdy nie przejmowała się tym dostatecznie, by bardziej zatroszczyć się o swój wygląd. Wciągała na siebie jakiś niemodny łańch wyjęty z szafy po omacku, jakby wieczór w jego towarzystwie był dla niej krzyżem do dźwigania. A może robiła to świadomie? Zawsze się zastanawiał, czy celowo się nad nim pastwiła.

- Pamiętał, jak raz chwycił nożyczki i pociął wyjątkowo brzydką sukienkę: z plisowanego poliestru w gryzących się kolorach. Pociął, a kawałeczki rozsypał na dywanie w sypialni. Widząc to wzruszyła tylko ramionami i powiedziała, że gdyby pociął ubranie w paski, mieszkająca na końcu ulicy Carol mogłaby zrobić z nich dywanik.

Jej opanowanie doprowadziło go do pasji. Och, gdyby tak któregoś dnia straciła cierpliwość. Któregoś dnia... Molly przyniosła tort i postawiła go przed nim.

- Cytrynowy. Twój ulubiony.

Wiedział, że to na pewno nie jej ulubiony. Pokryty żółtym lukrem z różowymi literami. „Sto lat Austin.”

Zrobiła go według specjalnego przepisu, bez tłuszczu i cholesterolu. Pewnie będzie smakował jak piasek.

Utkwił w torcie nienawistne spojrzenie. Deser symbolizował jego wylew; symbolizował jego słabość i władzę, jaką Molly nad nim miała. Nie zmusi go do robienia czegoś wbrew jego woli - spotkania z ludźmi, których nie chciał widzieć.

- Nie... p... - znów chciał powiedzieć słowo „przyjęcia”, ale się poddał. Zamiast tego wykrztusił łatwiejsze słowo - ...tortu. - Uniósł dłoń i zamierzył się, by zrzucić jej dzieło na podłogę.

Błyskawicznie, w ostatniej chwili, złapała tort. Z jego gardła wydobył się niski jęk.

- Zaprosiłam Gabrielle. Gabrielle?

Austin nie był pewien, czy chce ją widzieć, przynajmniej na razie. Spotkali się jakiś czas temu. Ucieszył się, że jej się dobrze układa, ale nie wiedział, czy potrafi sobie poradzić z obecnością siostry, nie w tym momencie życia, nie po tylu latach.

Wpatrywał się w Molly - swoją żonę. Żonę!

Boże, ależ ona była przebiegła. Zapędziła go w kozi róg. Wiedziała, że gdy w pobliżu będą inni ludzie, nie odważy się rozrabiać i nie będzie go bawiło zmuszanie Molly do obsługiwań go. Nie sprawi mu przyjemności odstawianie bezsilnego idioty na oczach siostry.

Austin nienawidził porażek. To właśnie doprowadzało go do szaleństwa i to gryzło go najbardziej. Nigdy w życiu nie poniósł żadnej porażki. Ale teraz... Wylew był porażką. I jego małżeństwo. Nawet nie mógł pozbyć się Molly z własnego domu. Od wielu tygodni starał się ją wypłoszyć, a ona nadal przy nim trwała.

Najwidoczniej w jego planie krył się błąd. Przyjmowała wszystko, czym ją raczył. Nie tylko przyjmowała, ale stawiała mu czoło. I zamiast wykończyć ją nadmiernymi żądaniami, wykończył siebie.

Tak, w planie krył się błąd. W tej sytuacji trzeba dalej próbować. Trzeba stworzyć nowy plan, nową strategię działania...

Sto lat, sto lat, niech żyje Austin nam.

Fatalni z nich śpiewacy. Jedynie Rachel umiała wydobyć z siebie coś na podobieństwo oryginalnej melodii. Jednak jej głos tonął w wyciu Sammy'ego, które przypominało śpiew pijanego trubadura.

Gdy skończyli piosenkę, zaczęli klaskać i śmiać się. Wszyscy oprócz Austina.

Molly uznała, że urodziny to najlepszy sposób, by choć na parę godzin zmusić Austina do odstąpienia od roli inwalidy. Liczyła na to, że nie będzie chciał wobec innych wyjść na całkowicie bezradnego. Ale Molly nie wzięła pod uwagę jednej rzeczy, o której zapomniała w czasie ich ciągłych potyczek: że Austin pod wieloma względami jest naprawdę inwalidą.

Teraz zobaczyła, że realizacja jej z pozoru dobrego pomysłu jest bliska okrucieństwu. A przecież nienawidziła każdej formy okrucieństwa. Poczula się okropnie na myśl o tym, jak nisko się stoczyła. Austin nigdy nie lubił

znajdować się w centrum zainteresowania. Łatwo się irytował i żaden dorosły z jej otoczenia nie umiał wywoływać awantur tak skutecznie jak on, ale po wszystkim zawsze natychmiast znikał ze sceny. Nigdy nie czekał, by obserwować reakcje zgromadzonych.

W tej chwili siedział u szczytu stołu w jadalni. Sammy zajął miejsce po jego lewej stronie, Gabrielle po prawej. I wszyscy czekali, aż zdmuchnie świece. Załedwie dziesięć. Skromna liczba. Z tyłoma powinien sobie poradzić.

Austin uniósł się do góry, mocno oparł się na dłoniach i pochylił do przodu.

A jeżeli upadnie? Jeżeli polecą prosto w tort? Pomyśli, że tak to sobie wszystko zaplanowała. Nigdy jej tego nie wybaczy.

-No, zdmuchnij świece - przytrzymała się Gabrielle.

Brat i siostra. Nim Gabrielle ufarbowała włosy na blond, byli do siebie bardzo podobni. Ta sama świetna cera. Zielone oczy. Dwoje ludzi bez skazy, doskonałych.

- Nie zapomnij pomyśleć o swoim marzeniu - przypomniała Gabrielle. Austin uniósł głowę. Wolno omiatał stół spojrzeniem i zatrzymał się na Molly.

Jeden kącik ust odrobinę się wykrzywił - myśl przeleciała mu przez głowę. Czy marzy, żeby się stąd wyniosła?

Austin próbował zdmuchnąć świece, ale nie zdołał skoordynować ruchów.

Siedząca obok Gabrielle odgarnęła włosy na bok i pochyliła się do przodu.

Dmuchieli razem. '.

Zrobione. Sammy poklepał Austina po plecach, niemal zwalając go z nóg. Zdając sobie natychmiast sprawę ze swego nietaktu, chwycił go pod ramię i pomógł utrzymać równowagę.

Molly kiedyś marzyła, że Austin i brat dogadają się, może nawet zaprzyjaźnią, ale nigdy do tego nie doszło. Chyba dlatego, że byli tak różni. Całkowite przeciwieństwa.

Sammy otwarty, spontaniczny, serce na dłoni. Austin skryty, nigdy nie pokazywał po sobie delikatności czy miłości,

- Świetnie - powiedział Sammy. - To ile masz w końcu lat? Molly patrzyła, jak Austin z wysiłkiem szuka słów./

- Dwie... ście - urwał. Chwila namysłu. - Naj... mniej. Sammy się roześmiał. Austin mu zawtórował.

Molly wypuściła powietrze, choć nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymała oddech.

Nie doszło do utarczki. A na to s^ę zanosilo. Czy wytrzymają razem następną godzinę?

Sammy już w dzieciństwie charakteryzował się wrażliwością, która się jeszcze pogłębiła po wypadku samochodowym. Zdawał się wyczuwać ból innych. Molly powinna była wiedzieć, że może na nim polegać - zachowa się wobec Austina taktownie bez względu na to, jak okropnie traktował go w przeszłości. Zaskoczyło ją tylko, że Austin odpowiedział mu tym samym. Nie próbował wyrzucić szwagra czy grozić wezwaniem policji.

Zadziwające.

Gabrielle wzięła na siebie obowiązek pokrojenia i rozdania tortu.

Może Molly się do niej trochę przyzwyczaiła, ale szwagierka nie wydawała się jej taka obca. Może dlatego, że ubrała się normalnie, w spodnie bermudy i różowy podkoszulek. Starannie się umalowała, ale Molly i tak widziała pewne rzeczy w bezlitosnym świetle górnej lampy. Rzucany przez nią cień podkreślał zmarszczki w kącikach oczu i ust Gabrielle - oznaki bujnego życia.

Molly nigdy wcześniej nie czuła się starsza od innych dorosłych, nawet jeśli świadczyła o tym data urodzenia. Przy Gabrielle wydawało jej się, że góruje nad nią wiekiem i mądrością, i chciała ją osłonić, choć równocześnie fatalistyczny głos wewnętrzny podpowiadał jej, że droga życiowa Gabrielle jest niczym wykuta w skale.

Nadszedł moment otwierania prezentów, co będzie wymagało ruchów nadal sprawiających Austinowi trudności. Molly po raz kolejny zastanawiała się, czy mądrze postąpiła urządzając te urodziny.

Na szczęście okazało się to łatwiejsze, niż przewidywała. Sammy i Rachel dali mu małe urządzenie do ćwiczeń, dzięki któremu wzmocni mięśnie dłoni i rozwinie sprawność palców, a Sammy pomógł mu rozplątać wstążkę, nim Austin zaczął na dobre z nią walczyć.

Od Gabrielle dostał książeczkę zawierającą aforyzmy pobudzające motywację.

Molly uznała, że to niezwykle prezent od takiej ofiarodawczyni. Siostra włożyła go do torebki sklezionej kawałkiem przezroczyściej taśmy. Łatwe do otwarcia.

Spotkanie zmierzało ku końcowi. Goście podziękowali za zaproszenie, jeszcze raz złożyli Austinowi życzenia i ruszyli ku drzwiom.

Molly podała mężowi laskę. Zmarszył brwi - typowa reakcja. Mimo to przyjął ją i ująwszy rączkę skierował się za resztą, mocno utykając; nisko opuszczone ramiona świadczyły o zmęczeniu.

Molly chciała podejść do niego i prosić, by usiadł, ale wiedziała, że taka uwaga, zwłaszcza przy innych, tylko go rozżłości i zawstydzi.

I gdy stali wszyscy przy wyjściu gotowi do pożegnania, Saramy powiedział, że chciałby coś obwieścić. Choć żona była za daleko, by mógł ją przytulić, posłał jej spojrzenie intymne jak pieszczota.

- Rachel spodziewa się dziecka.

Jego słowa zaskoczyły wszystkich zebranych. Czy wszystkie kobiety zaszły w ciążę? - zastanawiała się Molly, równocześnie zawstydzona i przerażona swoją reakcją. Co się z nią dzieje? Przecież powinna skakać z radości.

- Cudownie! - zawołała Gabrielle obejmując Rachel. Tak właśnie powinna zachować się Molly.

Tak oto na jaw wychodzi niezbyt przyjemna prawda. Choć Molly kochała bratową i choć wiedziała, że Rachel bardzo pomogła Sammy'emu przetrwać okropny okres w życiu, jednak nie umiała pozbyć się uczucia, że znalazła się poza nawiasem. Kiedyś to ona była wszystkim dla Sammy'ego. Siostrą, matką, najlepszym przyjacielem. Ale gdy na scenie pojawiła się Rachel... Molly podniosła wzrok i dostrzegła spojrzenie Austina, który jakby pojmował jej trudne i mieszane uczucia. Niemożliwe. Austin nigdy jej nie rozumiał.

Molly podeszła do bratowej i uściśnęła ją. Rachel, która przy ich pierwszym spotkaniu sprawiała wrażenie tak mocnej. Rachel o smutnych oczach, która przez lata nosiła w sercu żalobę po małej córce. Tak, Rachel potrzebuje dziecka. Będzie z niej doskonała matka. Najlepsza. I czyż może być lepszy ojciec niż Sammy?

- Cudownie - powiedziała Molly, a łzy paliły ją pod powiekami. Zamrugała, by je odpędzić, i zwróciła się do brata. Uwielbianego Sammy'ego, który od tak dawna stanowił całą jej rodzinę. Sammy, który zawsze umiał ją rozśmieszyć. Sammy, który zawsze ją kochał.

- Tak się z wami cieszę.

Kiedy uważniej przyjrzała się swoim uczuciom, stwierdziła, że naprawdę się cieszy. Radość pomieszana ze smutkiem.

Sammy... Gdy jego życie nabierało pełniejszego kształtu, jej marnieje.

Zamiast godnie ją uściskać, Sammy podniósł ją z ziemi i swobodnie, jak to miał w zwyczaju, zakręcił nią w koło.

- I zostaniesz ciotką, Mollinko.

Samotność, która przygniatała jej serce, nieco się rozproszyła. Ciotką.

Będzie miała bratanicę. Albo bratanka. Dziecko będzie ją odwiedzać, będą razem piec ciasteczka. Razem jeździć na wycieczki. Próbując utrzymać równowagę, chwyciła brata za ramię.

- Puść mnie! - zawołała ze śmiechem.

Sammy posłuchał i jej stopy natychmiast spoczęły znów na ziemi, pod czujnym, choć nieprzeniknionym spojrzeniem Austina.

Po wyjściu Sammy'ego i Rachel, Gabrielle szybko ucałowała Austina w policzek.

- Jeszcze raz wszystkiego najlepszego, mój duży bracie.

Uśmiechnął się. Choć nic nie powiedział, Molly wiedziała, że był zadowolony. Pod wpływem jej nalegań Gabrielle przyrzekła następną wizytę.

Patrzyli, jak idzie podjazdem, wsiada do niebieskiego Gremlina, odjeżdża. Austin nie chciał ruszyć się z progu, dopóki za rogiem nie zniknęły czerwone światła z tyłu jej samochodu. Ale po jej odjeździe jakby zapadł się w sobie. Bez oporu dał się zaprowadzić na fotel i pozwolił usadzić. Kiedy już siedział wygodnie, Molly przyniosła mu prezent od siebie.

Od wielu już lat dawali sobie wyłącznie kupony towarowe. Nic więc dziwnego, że podejrzliwie i ze zdumieniem przyglądał się luźno opakowanemu przedmiotowi, który mu podawała.

- Ode mnie - powiedziała i nagle poczuła się głupio: może to wcale nie był dobry pomysł?

Nie otworzył prezentu, lecz położył go na kolanie i wpatrywał się w niego chwilę, jakby próbując odgadnąć, co to jest.

- Nie zamierzasz go rozpakować?

Zawahał się, ale w końcu rozerwał papier. Gdy zobaczył, co znajduje się w środku, wybuchnął głośnym śmiechem i nadal uśmiechnięty podniósł na nią wzrok.

- Użyć tylko w nagłej potrzebie - powiedziała.

Nie była to gałązka oliwna, ale coś do niej zbliżonego: bloczek kartek do notesu.

Rozdział szesnasty

Nowy plan Austina polegał na powrocie do dawnej koncepcji. Miał zamiar skoncentrować wszystkie siły na powrocie do zdrowia, żeby pozbyć się Molly ze swego życia i domu.

Problem polegał na tym, że gdy tylko przestał udawać inwalidę, przekonał się, jak bardzo jest nim naprawdę. Odkrył, że wykonanie wielu zwykłych czynności niemal przekracza jego siły. Prostych czynności dnia powszedniego. Nalanie kawy do kubka. Wyciśnięcie pasty z tubki z takim naciskiem, by wypłynęła nie rozpryskując się po całej umywalce.

Ubieranie.

Wprawdzie wyprodukowano wiele drobiazgów, które miały ułatwiać rekonwalescentom wykonywanie zwykłych czynności, ale Austin nie zgodził się z nich korzystać. Z powodu uporczywego zapinania guzików u koszuli zajmowało mu piętnaście minut. Nawet tak prosta rzecz jak zasunięcie suwaka dżinsów urastała do rangi poważnego problemu. Wyjątkowej koordynacji wymagało opanowanie drobnego ruchu ujmowania końcówki suwaka. Guzik stanowił kolejny rozdział. Przesunięcie metalowego krążka przez sztywną tkaninę nastęczało mu taką trudność, że czasem się poddawał i go nie zapinał.

Mógł pozostać przy dresach i podkoszulku, ale to prowadziło donikąd. Dlatego zmuszał się do wkładania bardziej skomplikowanych części garderoby. A czasem w dni, w które nie jechał na rehabilitację, kiedy wreszcie zapinał ostatni guzik, znów je mozolnie rozpinał i zaczynał do początku.

Molly chwaliła go za drobne zwycięstwa, co go jeszcze bardziej frustrowało. Czuł się jak uczeń zerówki, który dostaje nagrodę za samo przyjscie do szkoły.

Buty to kolejna rzecz, która stanowiła barierę nie do pokonania. Musiał albo zakładać klapki, albo prosić Molly o zawiązanie sznurowadeł - czego zanic nie chciał robić. Wcześniej mu to nie przeszkadzało: wtedy oboje **sądzili**, że potrafi sobie z tym poradzić, lecz nie chce i jedynie wymaga od mej pracy oraz stałej opieki. Ale gdyby ona wiedziała, że on nie może zawiązać kokardki... i musi prosić... Nie może tego zrobić. Za żadne skarby nie poprosi Molly o pomoc.

Kilkakrotnie zauważyła ciągnące się po ziemi sznurowadła. Kiedy się to zdarzyło, udawał zdziwienie, jakby właśnie się rozwiązały. I pozwalał jej zawiązać pod pretekstem, że to oszczędność czasu.

Z Melindą nie szło mu tak łatwo. Przy odwiedzinach natychmiast dostrzegała jego luźne sznurowadła. Kucąca przed nim ciężko dysząc i pochylona naciskała krągły brzusek nad grubymi nóżkami. Skupiając całą uwagę na butach, bawiła się sznurowadłami: nawijała je wielokrotnie na paluszki udając, że je porządnie zawiązuje.

W takich sytuacjach najmocniej doświadczał swoich fizycznych ograniczeń, a bezradność najbardziej mu doskwierała. To przecież on powinien zawiązywać buty wnuczce. Lecz gdy Melinda podnosiła na niego oczy, dumna z siebie i z tego, że może coś zrobić dla dziadka, Austin zapominał o przygnębieniu.

Chodzenie stanowiło część jego nowego trybu życia. Ponieważ nie chciał wpaść na kogoś, z kim musiałby rozmawiać, więc ograniczył spacer do terenu posesji. Wystarczy. Na początku potrafił tylko raz obejść ogród o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych. Potem mógł już robić to dwukrotnie, a wreszcie trzy razy. W krótkim czasie jego stan tak się poprawił, że Molly mogła go zostawiać samego, by szybko załatwić różne sprawy.

Choć podczas jej nieobecności doświadczał dziwnego niepokoju, równocześnie cieszył się, że jej nie ma. Dzięki temu miał okazję robić ćwiczenia wokalne bez obawy, że go podsłucha.

Ćwiczył wygięcie języka. Samogłoski. Spółgłoski złożone. Powtarzał je niezmordowanie, aż bolały go mięśnie języka i paliło gardło.

W dwa tygodnie po urodzinach był sam w domu, gdy na dźwięk telefonu dobiegającego z jego gabinetu aż podskoczył, a serce mu mocniej zabiło.

Czy powinien podnieść słuchawkę? Co powiedzieć? I najważniejsze: co potrafi powiedzieć? A jeżeli rozmówca go nie zrozumie? Jeżeli zada pytanie, na które nie będzie mógł odpowiedzieć? Jeżeli...

Telefon przestał dzwonić.

Uspokoił się, ale równocześnie zawstydził się swego tchórzostwa. Dziesięć minut później telefon znów zadzwonił. Tym razem podniósł słuchawkę. Halo.

Nim zdołał wykrztusić to słowo, rozmówca przejął inicjatywę.

-Czy mogę prosić pana Benneta?

Nie znał tego głosu. Kobieta. Młoda. Agentka? Możliwe.

Pomyślał o ćwiczonych dźwiękach. Połączył je w głowie, aż zobaczył je na papierze. Przywołał właściwe słowo i próbował wymówić je głośno. „Prz” zabrzmiało jak „szz”. Zbitki spółgłosek były najtrudniejsze.

- Szz...

- Czy mogę prosić pan Benneta?

- Szz... pszy... - Przy telefonie. Łatwe. No, powiedz. Powiedz wreszcie. -Szz...

- Czy mogę rozmawiać z panem domu? - Zabrzmiało już bardzo niecierpliwie.

Poddał się i spróbował wymówić prostsze słowo.

- Ja. To ja.

- Czy mogę...

Austin odłożył słuchawkę

I gdy tylko to zrobił, zdał sobie sprawę ze swego stanu. Serce biło bardzo szybko.

Pocił się. Oblewał się potem jak kretyn! Dygotał jak przerażone zwierzątko!

Wrogo zapatrzył się na telefon stojący na biurku: nowy wróg, nowa przeszkoda.

Kiedyś dzięki niemu zarabiał na życie!

Odepchnął krzesło, wstał i kulejąc wyszedł z pokoju, zatrząskując za sobą drzwi tak mocno, że zadzwoniły szklane koraliki abażuru lampy na kredensie. Wyciągnął książkę z ćwiczeniami wymowy i przerzucał kartki, aż znalazł stronę z literą P i jej kombinacjami.

P... Psz... Prz... Pę...

Ćwiczenie języka. Spółgłoski złożone. Połączenie spółgłosek i samogłosek.

Ćwiczenie, po sto razy ćwiczenie.

Kiedy zachrypl i nie mógł już wydobyć z gardła żadnego dźwięku, chwycił ciężarki. Podnosił je bez końca...

W trzy dni później, choć Molly była w domu, gdy zadzwonił telefon, Austin podniósł słuchawkę, a właściwie ją zaatakował.

- Ha...lo - wykrztusił bez tchu i wyprostował się, bo wcześniej przeciągnął rękę przez długość biurka.

- Czy mogę prosić pana Benneta?

Nie ma pośpiechu, powtarzał sobie. Po jednej sylabie. Spokojnie.

- Przy te...le...fo...nie - i dumny z siebie już nie opierał się tak mocno na lasce.

- Panie Bennet, nazywam się Cynthia - w głosie agentki brzmiała sama uprzejmość.

- I już od jakiegoś czasu próbowałam się z panem skontaktować. Reprezentuję firmę „Dom na przedmieściu”, dzwoniemy do okolicznych mieszkańców, by ich poinformować, że prowadzimy wymianę okien oraz framug. Jeżeli złoży pan zamówienie przed...

Austin głęboko zaczerpnął powietrza i skupił się na wymawianiu pojedynczych słów.

- Idź. Do. Diabła - z uśmiechem odłożył słuchawkę. Na jego twarzy nadal gościł uśmiech, gdy w drzwiach gabinetu pojawiła się Molly ze ściereczką w ręku.

- Kto dzwonił?

Austin wzruszył ramionami. Cynthia. Jeszcze nie poradzi sobie ze słowem, na którym można wykręcić język. Ale Molly czekała na odpowiedź.

- Aj... Aje...

- Agentka? Przytaknął z ulgą.

Molly natychmiast zauważyła wielką zmianę w zachowaniu Austina. Przestał wymagać, by wszystko wokół niego robiła. Przestał strugać durnia.

Natomiast skupił się na samodzielnym wykonywaniu czynności, jakby odzyskanie niezależności stanowiło jego pierwszoplanowy cel.

Nadal pisał nieczytelnie, więc Molly sama wypisywała czeki - coś nowego w ich układzie. Przez wszystkie lata małżeństwa Austin zawsze troszczył się o finanse. Do Molly należało tylko jedno: złożyć podpis na wypełnionym zeznaniu podatkowym, które jej podsuwał pod nos.

Przeglądając rachunki Austina, w których do ostatniego roku widać było drobiazgowość i niezwykłą umiejętność robienia pieniędzy, z wielką ulgą stwierdziła, że nie grozi mu finansowa katastrofa. Nawet jeżeli nie wróci do pracy, jest dobrze zabezpieczony na przyszłość.

Przez kilka następnych tygodni Austin mocno się przykładał do ćwiczeń w domu i zajęć rehabilitacyjnych. Coraz lepiej mu szło zapinanie guzików. Zachowując cierpliwość, potrafił zawiązać buty. Chciał się nawet nauczyć obsługiwać pralkę, żeby po wyjeździe Molly nie musiał wszystkiego oddawać do pralni.

- Składanie ubrań to chyba dobra terapia - stwierdziła Molly.

Nie dał się na to złapać, ale słuchał uważnie, gdy mu wyjaśniała tajniki dobierania temperatury w zależności od koloru i rodzaju tkaniny.

Austin był metodyczny. Kiedy się za coś zabierał, robił to dobrze i Molly szybko odkryła, że lepiej od niej radzi sobie z praniem.

Znalazł się na drodze ku wolności.

Austin siedział na kozetce w gabinecie lekarskim męcząc się z guzikami koszulki, gdy doktor Fisher w rogu pokoju pochylił się nad miniaturowym mapetofonenfe% - Pacjent robi zadziwiające postępy - mówił do mikrofonu. - Poprawa koordynacji ręka-oko. Poprawa zręczności. Doskonale posługiwanie się laską. Dobre wyniki podstawowych badań. Cholesterol sto pięćdziesiąt. Ciśnienie sto trzydzieści na...

Austin odwrócił się. I tak już . to słyszał. Kolega doktora Hanka to z pewnością dobry lekarz, ale za wielki mądrała. I cholernie młody. Jakby dopiero skończył medycynę, a przecież Austin wiedział z pewnego źródła, że już co najmniej od trzech lat prowadzą wspólną praktykę.

- ...seks.

Dłoń Austina zamarała. Co takiego? Nawet pies słysząc znajome słowo nastawiłby uszu. Co takiego ten Fisher mamrocze?

- Otrzyma zgodę na powrót do aktywnego życia seksualnego, choć na początku z umiarem. Pacjent zgodził się kontynuować rehabilitację w domu i raz w tygodniu będzie przychodził na zajęcia w ośrodku.

Fisher wyłączył magnetofon i z uśmiechem popatrzył na Austina.

- Dobrze się zapowiada - powiedział wkładając maleńkie urządzenie do głębokiej kieszeni fartucha. - Proszę przestrzegać diety. Pańska żona wspaniale się spisuje. I jak pan zapewne słyszał, ma pan moją zgodę na rozpoczęcie życia erotycznego.

Wraca pan do akcji.

Do akcji? Takie wyrażenie w ustach lekarza?

- Czy od czasu wylewu miał pan erekcję? Doktor Hank wykazałby się większym taktem.

- Erekcję? - powtórzył Fisher. - Albo choćby częściowe stwardnienie penisa?

Austin przypomniał sobie tamtą noc, gdy Molly przysłała do jego pokoju w półprzezroczystej koszulce. Pomyślał o masażach, które mu robiła, o tych chwilach, gdy niechcący ocierała się o niego pomagając mu coś zrobić.

Zdołał szybko przytaknąć.

- Świetnie. Doskonale. Muszę pana ostrzec, że może być panu trudno uzyskać pełną erekcję, gdy znajdzie się pan pod presją zaspokojenia żony. I kiedy pan ją już osiągnie, może być trudno ją utrzymać. Ale niech się pan tym nie martwi. To zmartwienia wywołują wiele problemów w tej dziedzinie. Gdy zdoła się pan z nich uwolnić...

Fisher sięgnął po kartkę leżącą w rogu obszernego biurka.

- Na początku powinien pan ostrożnie dobierać pozycje w czasie stosunku. Zamilkł i zamyślił się. Po czym zerwał się na nogi i ruszył ku drzwiom.

- Lepiej będzie omówić to przy pana żonie.

Austin przed wylewem nie miał najmniejszych kłopotów w wymówieniu słowa „nie”. Ale teraz nastęczało mu trudności.

Nim zdołał je wykrztusić, Fisher już wyrzwał na korytarz wołając panią Bennet. Molly weszła natychmiast i usiadła, gdy młody lekarz zamykał drzwi.

- Coś niedobrego? - zapytała obgryzając paznokieć.

- Wręcz przeciwnie - lekarz poklepał Austina po ramieniu. - Pani mąż jest w doskonałej formie. Jak pani wie, nigdy tak naprawdę nie kwalifikował się do wylewu. Pewnie się nie dowiemy, dlaczego w ogóle do niego doszło, ale za to możemy sądzić, że to się nie powtórzy.

Austin uporał się z ostatnim guzikiem i zobaczył, że się pomylił. Koszula była krzywo zapięta.

Molly też to zauważyła. Wstała, podeszła do niego i stojąc przed nim zaczęła rozpinać mu koszulę.

- Dobra wiadomość dla państwa - ciągnął doktor Fisher. - Możecie znów uprawiać seks.

Molly poderwała głowę. Utkwiła spojrzenie w oczach Austina.

Uśmiechnął się nieporadnie ilekko wzruszył ramionami. To nie był mój pomysł, powiedział jej bez słów.

Molly pochyliła głowę i zagryzła dolną wargę, niezręcznie zapinając guziki koszuli męża. Robiła to równie źle jak on.

Jest zawstydzona. Austin nagle dostrzegł, że mu to sprawia przyjemność.

- Pozostańcie przy tradycyjnej pozycji twarzą w twarz. Jeżeli uzna pan leżenie na górze za zbyt męczące - wyjaśniał lekarz Austinowi - to niech się pan ułoży na plecach i pozwoli żonie robić całą robotę.

Molly skończyła z guzikami, ale nie ruszała się z miejsca, chyba po to, by nie zwracać uwagi Fishera na siebie.

- Mo... zesz... to w...ło...żyć? - poprosił Austin wskazując poły koszuli.

- Wydaje mi się, że sobie z tym poradzisz.

- Pozycja, gdy partner siedzi na krześle, też się dobrze sprawdza - ciągnął lekarz.

Austin poklepał żonę po ręce. Odskoczyła mierzając go wrogim spojrzeniem. Niemal wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Najważniejsze, żeby robić to powoli. Nie śpieszyć się. - Doktor Fisher dał im chwilę na przetrwanie informacji, po czym powiódł spojrzeniem od jednego do drugiego. - Niektóre pary na początku ograniczają się do stymulacji dłońmi. Lub seks oralny.

Głęboki rumieniec pokrył twarz Molly. Austin czuł, jak jego ciało ogarnia płomień. Oralny.

To słowo krążyło po jego mózgu. Nie zdając sobie do końca z tego sprawy, zapatrzył się na usta Molly. Lekko rozwarte wargi o różanym kolorze. Poczuł, że coś się z nim dzieje i szybko odwrócił wzrok na wykresy na ścianie.

Ach, stary, pocziwy układ mięśniowy człowieka. Stary, pocziwy przekrój ucha. Zadziwiająca rzecz takie ucho środkowe.

- Mam gdzieś tu broszury - zwrócił się do nich lekarz.
- O rany... - wymamrotała Molly. Przewróciła oczami i odsunęła się na bok dając Fisherowi przejść.

Otworzywszy szufladę szafki szukał chwilę i wreszcie podał Austinowi plik broszurek.

Dla rekonwalescentów po wylewie. Jak bez erekcji zaspokoić partnerkę. Rozkosz bez pełnego stosunku. Pełnia męskości.

Molly wyprostowała się i głęboko zaczerpnąwszy powietrze uderzyła prosto z mostu, jak przystało na kobietę zdecydowaną na wszystko.

- Panie doktorze Fisher, nie musi mi pan tego mówić. Austin i ja... To jest... Nie mieszkaliśmy razem, kiedy Austin miał wylew. Przyjechałam tutaj tylko na jakiś czas.

Lekarz przeżuł tę informację. Zrozumiawszy jej treść, pokiwał głową.

- Aha. Z kopytami w prywatne życie. Przepraszam - ale szybko się otrząsnął i wcale nie wyglądał na zawstydzonego. Nawet się roześmiał. - Ale i tak Austin powinien to wiedzieć. Jest młody. Zdrowy. A seks stanowi część życia młodego, zdrowego mężczyzny. Oczywiście związanie się z nową partnerką wprowadzi cały szereg problemów dotyczących bezpieczeństwa. Będąc w stałym związku nie musi się pan o to martwić, ale skoro znajduje się pan znów na rynku...

Pokręcił głową i otworzywszy inną szufladę wyjął z niej paczuszkę.

- Niech pan będzie ostrożny - powiedział dając Austinowi paczkę prezerwatyw.

Zobaczywszy, co to jest, Austin usilnie starał się mu je oddać.

- Nie, proszę je zatrzymać - Fisher pokręcił głową. - Dostajemy je za darmo. Mamy całe tony. Och, co ja robię... - wyciągnął następne opakowanie i dał je Molly. - Pani też będą potrzebne.

Oboje milczeli w drodze do domu. Wreszcie Molly, ze wzrokiem wbitym w drogę przed sobą i dłońmi opartymi na kierownicy, odezwała się pierwsza.

- Nie lubię tego lekarza.

- Był... dobry. - Austin miał zamiar powiedzieć „zabawny”, ale uznał to słowo za zbyt długie.

- Niezbyt taktowny. Doktor Hank zachowałby się delikatniej.

Już dojeżdżali do domu, gdy Molly zaskoczyła go pytaniem.

- Masz zamiar ich użyć?

- Gum...ek? Przytaknęła. .

Nie mógł sobie wyobrazić kochania się z kimś innym niż Molly, ale się do tego nie przyzna.

- Nie wiem - wzruszył ramionami.

Nie zapyta, czy **ona** ma zamiar używać swoich. Nie chce wiedzieć. Nawet **nie chce się** nad tym zastanawiać.

Rozdział siedemnasty

W dwa dni później Molly wsunęła głowę do gabinetu i zapytała, czy Austin chce pojechać z nią do sklepu po zakupy.

- Dla zmiany otoczenia - wyjaśniła.

Wyobrażał sobie, jak się pokaże w miejscu publicznym. Wsparty na lasce kuleje między półkami sklepowymi. Ludzie się gapią. Dzieciaki wyjmują mokre palce z ust i niegrzecznie pokazują go matkom. Mamusiu, co się stało temu panu? Dlaczego tak śmiesznie idzie? Austin z przerażeniem pomyślał, że nigdy nie uwolni się do skutków wylewu.

- Je...dź sama.

- Może chciałbyś się wybrać gdzieś indziej? - zapytała. - Do parku? Muzeum?

Pokręcił przecząco głową. Tam też będą ludzie.

Obdarzyła go smutnym uśmiechem. Na ten widok przez ułamek sekundy zastanowił się, czyby jednak nie pojechać. Od jego urodzin dogadywali się znacznie lepiej.

Oczywiście nie nazwałby tego dobrym układem, ale przynajmniej nie walczyli.

Zawsze coś.

- Na pewno nie chcesz jechać? - spytała zaglądając do niego tuż przed wyjściem.

W czerwcu nie zdobyłaby się na taki gest. Ale zdał sobie sprawę, że najprawdopodobniej zmianę jej podejścia wywołał on sam nie stawiając jej już nadmiernych wymagań.

Znów pokręcił głową.

W dziesięć minut po wyjeździe Molly rozległ się dzwonek do drzwi. Austin się zawahał. Nie musi otwierać. Nie chciał się spotkać z osobą stojącą po drugiej stronie drzwi. Ale kryć się po kątach korytarza... Nie, tego też nie mógł zrobić. Nie zniesie u siebie takiego tchórzostwa.

Otworzył drzwi. Stał jak wryty.

Stanley.

O, cholera.

Austin nie chciał się spotykać z żadnym z kolegów z pracy. Nie chciał, by którykolwiek z nich go zobaczył.

-Austin!

Stanley był dobrym aktorem, ale nie aż takim, by umiał ukryć szok. Na domiar złego właśnie dziś Austin pozwolił sobie na lenistwo. Zamiast dzinsów i zapiętej starannie bawełnianej koszuli w paseczki założył szare spodnie od dresu i biały podkoszulek. I te straszliwie brzydkie kapcie jak dla starca, które dostał od Amy. Bowiern żyjąc z Molly nauczył się przynajmniej jednej rzeczy - nosić prezenty.

- Byłem w okolicy i pomyślałem, że zajrzę - powiedział Stanley. - Bardzo się przejęliśmy wiadomością o twojej chorobie.

Wprawdzie przyszło parę kartek od ludzi z biura, ale nie przypominał sobie żadnej od Stanleya. To oczywiście i tak bez znaczenia. Oni wszyscy - Stanley, Greg i reszta - wydawali mu się częścią dawnego życia, z którą już nic go nie łączyło.

Przez parę ostatnich tygodni Austin myślał o swojej pracy i zastanawiał się, czy potrafi do niej wrócić. Kiedyś obliczenia i kalkulacje przychodziły mu z łatwością. A teraz stanowiły gąszcz, od którego bolała go głowa. Pozwolił, by Molly zajęła się finansami, udając, że powodem jest jego pismo. Naprawdę zaś nie potrafił zrozumieć prostego wydruku ze stanem konta.

- Medco ma zamiar się podzielić - oświadczył Stanley. - Cena akcji „Kup Amerykę” wzrosła z trzydziestu na pięćdziesiąt.

Stanley mówił o giełdzie. Inny świat. Nie wiedział, że życie Austina już nie opiera się na zasadzie, by kupować, gdy ceny akcji spadają, i sprzedawać, gdy zwyżkują.

Teraz dobry dzień dla niego to taki, kiedy udało mu się wstać z łóżka bez upadku.

Ubrać się samemu. Wypić kubek kawy nie rozlewając.

Austin nie zaprosił Stanleya do środka ani nie zrobił żadnego przyjacielskiego gestu.

Niemniej Stanley wszedł, gdy Austin stał w progu gorączkowo myśląc: jaka szkoda, że Molly pojechała do sklepu. I że otworzył drzwi.

Stanley omiółł go nerwowym spojrzeniem starannie unikając patrzenia w oczy.

- Wyglądasz... - urwał i Austin widział, że szuka w myślach określenia, które nie byłoby beczelnym kłamstwem. Dobry sprzedawca zawsze dbał, by jego informacje na temat towarów choć odrobinę odpowiadały rzeczywistości.

- ...Dobrze. Wyglądasz dobrze. Jak cholera.

Dwadzieścia lat temu kogoś w typie Stanleya określano mianem gogusia. W czasie konferencji lubił popić, zatańczyć i poderwać lalunię. Teraz staczał przegraną walkę ze starością: włosy mu się przerzedziły, w pasie się roztył, ale równocześnie starał się udowodnić, że drzemie w nim siła. Jeżeli Austin dobrze pamiętał, to był od niego o parę lat starszy.

W tym momencie przyglądał mu się z ledwie skrywanym przerażeniem - niechętny świadek zniszczeń dokonanych przez wylew. Austin czytał jego myśli: Mogę być następny w kolejce.

Stanley stał w korytarzu, czekając, aż gospodarz coś powie. Coś zrobi.

Austin zmusił się do krzywego uśmiechu. Nie, jeszcze nie potrafi tego zrobić. Nie chciał się odezwać przy Stanie. Jednak nie miał wyboru. • Molly, cholera. Gdzie jesteś? - myślał rozzłoszczony swoją zależnością od niej.

Poruszył ustami, ale pomiędzy warg nie wyszedł żaden dźwięk. Spróbował jeszcze raz. Wreszcie, a wydawało mu się, że minęły całe godziny, udało mu się wykrztusić:

- NapL.jesz się?

- Jasne.

Do diabła. Co mu strześliło do głowy, żeby proponować Stanleyowi coś do picia? Przecież on nigdy nie odmawia. Molly, cholera.

Austin zamknął drzwi. Trzymając kurczowo laskę w lewej dłoni, ruszył w kierunku gabinetu, gdzie trzymał zapas alkoholu.

Gabinet miał dwoje drzwi, jedne prowadzące do kuchni, drugie do salonu. Austin wybrał krótszą drogę przez salon.

Stanley na pewno wolałby napój z lodem, ale Austin wiedział, że nie poradzi sobie z wyjęciem kostek z pudełka. A dla Stanleya najważniejsze było, żeby w ogóle dostał alkohol, nieważne - z lodem czy bez.

Zdając sobie sprawę, że zapadła cisza, którą powinien wypełnić towarzyską rozmową, Austin oparł łaskę o barek. Drewno stuknęło o drewno i łaska z hałasem zsunęła się na podłogę.

Gdy łoskot ucichł, Austin sięgnąwszy ostrożnie zdjął z najwyższej półki dużą butelkę dzinu.

Raz w dzieciństwie poszedł w zimie łowić z sąsiadem ryby w przerębli i odmroził sobie palce. Nim odtajały, stracił w nich czucie. Widział je, myślał, co by chciał nimi robić, ale nie mógł ich zmusić do posłuszeństwa. Tak właśnie się poczuł, gdy próbował otworzyć butelkę.

'Wlewej dłoni brakowało siły; palce prawej nie umiały zacisnąć się na małej zakrętce.

Łokciem przycisnął butelkę do brzucha i obejmując nakrętkę całą prawą dłonią, mocniej się przyłożył. Na szczęście zakrętka ustąpiła.

Tak oto jego życie sprowadzało się teraz do małych zwycięstw i porażek. Na dalekich frontach toczono bitwy, gdy tymczasem on prowadził własne Żalodne wojny z suwakami i zakrętkami butelek. Na co mu przyszło? Co z nim będzie? Rozluźnił uścisk. Dno szklanej butelki pośliznęło się na wypolerowanym blacie i butelka się przechyliła. Dzin płynął po blacie i ściekał na podłogę, a powietrze wypełniła woń, która Austinowi zawsze odrobinę kojarzyła się z terpentyną.

Gul, gul, gul.

Choć reagował wolno, jednak ziażył wyprostować butelkę, nim wylał się cały płyn. Żeby jak najszybciej zatrzeć wspomnienie tego upokarzającego wydarzenia, gorączkowo zabrał się do dzieła: chwycił szklanę wkładając do środka trzy palce, by mu nie upadła. Kiedy nalewał, szyjka butelki zazgrzytała o szklaną krawędź. Dzin wyprysnął na wierzch jego dłoni. Kiedy próbował odstawić śliską i mokrą butelkę, wymknęła mu się z rąk i ze stukotem wylądowała na blacie.

Trzymając w obu dłoniach ociekającą alkoholem szklanę, podał ją Stanleyowi, który przyglądał się całej tej hałaśliwej procedurze.

Skrepowanie zamieniło się w złość. Austin nagle wściekł się na kolegę za jego głupotę. Mógł sobie sam nalać, gdy zobaczył, jakie ma z rym trudności.

Wściekł się na Molly, że nie ma jej w domu, gdy jej potrzebuje. I wściekł się na siebie, że się przejmuje opinią Stanleya.

Ale przynajmniej nie musiał się martwić, że kolega zostanie dłużej. Stanley wypił dzin dwoma łykami.

- Muszę uciekać - powiedział, gwałtownie odstawiając pustą szklankę. Opróżnił ją w ułamku czasu, jaki zajęło Austinowi jej napełnienie. Kiepski stosunek czasu między przygotowaniem a konsumpcją. Najwyraźniej nie miał szans na pracę w barze szybkiej obsługi. Stanley wymykał się chyłkiem drzwiami do gabinetu.

- Sam sobie otworzę. I posłuchaj... - pokazał na siebie, jakby gest mógł dodać prawdziwości jego słowom. - Kiedyś jeszcze wpadnę.

Już to widzę.

Stanley miał w sobie tyle szczerości co trzeciorzędny kaznodzieja z telewizji kablowej.

Schyliwszy się Austin podniósł laskę i ruszył za Stanleyem przez salon i korytarz.

Przestał się denerwować. Wręcz przeciwnie: całkowicie się rozluźnił. Nagle przestał się przejmować opinią kolegi.

- A mo...że run...dę golfa? - Napięcie ustąpiło i słowa płynęły łatwiej¹, Stanley zatrzymał się z dłonią na klamce. Szczeka mu opadła.

- Golfa?

Austin ujął laskę w obie ręce i stanawszy w rozkroku zamachnął się nią lekko.

- Tak. Golfa.

Kiedyś grywali regularnie. A teraz Stanley zachowywał się tak, jakby po raz pierwszy w życiu słyszał o takiej grze.

- Jasne. - Śnieżnobiałe zęby zalśniły w nieszczerym uśmiechu. - Jak mówiłem, wpadę do ciebie.

I już go nie było - wyskoczył jak z procy, by się ukryć w samochodzie. Nie w Mercedesie, jakim jeździł Austin, lecz czerwonej Corvecie.

Austin patrzył, jak Stanley odjeżdża. Patrzył, jak podnosi słuchawkę telefonu. Nawet nie mógł poczekać, aż zniknie z oczu Austina, by zadzwonić do reszty kolegów.

Właśnie widziałem Austina Benneta. Dajcie spokój. Trzeba znaleźć kogoś na jego miejsce. Nie wróci.

Austin nagle z przeraźliwą jasnością zobaczył swoją sytuację: stracił władzę nad własnym życiem.

Otrzeźwił go ból w nodze i ramieniu. Przypomnił sobie, gdzie jest, uświadomił, że już od dobrych dziesięciu minut stoi w otwartych drzwiach. Zamknął je i ująwszy; mocniej laskę pokuśtykał korytarzem do gabinetu.

Stanley ma rację, myślał zmagając się z wycieraniem rozlanego dżinu. Nie wróci do dawnej pracy. Do niczego się nie nadaje. Nie może rozmawiać przez telefon.

Głupieje na widok cyfr. Nie zdołał nawet nalać alkoholu. Cóż pozostało komuś takiemu jak on?

Powinien był umrzeć. Byłoby lepiej. Byłoby łatwiej.

Nim wytarł rozlany napój, zamoczył dwie ściereczki, a pokój i tak cuchnął dżinem. Miał nadzieję, że zdoła zatrzeć wszelkie ślady wizyty Stanleya. Nie chciał, by Molly się o niej dowiedziała.

Odstawiając do barku praktycznie pustą butelkę Austin przesunął coś na najwyższej półce. Na podłogę spadła kartka papieru.

Biała koperta.

List.

Pochylił się i podniósł ją. Zaadresowane do Molly męskim charakterem pisma. Stempel z Miami na Florydzie.

Miała poszarpany brzeg, jakby Molly rozdarła ją w pośpiechu, zbyt niecierpliwa, by szukać noża do papieru.

Austin wsunął palce do koperty i wyjął złożoną kartkę.

Przeczytał list słowo po słowie. I gdy skończył, zakręciło mu się w głowie. Zatoczył się. Nie umiał, a raczej nie chciał pojąć znaczenia zdań, czuł się podobnie jak wtedy, gdy odkrył, że Molly go porzuciła.

Inny mężczyzna.

Wyświechtany zwrot, ale jakże właściwy. Przez głowę przelatywały mu najróżniejsze myśli; nie umiał sobie z nimi poradzić, nawet nie chciał ich analizować.

Roześmiał się chrapliwie, kpiąc z samego siebie. Inny mężczyzna? A cóż w tym dziwnego? Przecież tak było od początku ich małżeństwa. Tyle że tamten facet umarł.

Austin nie wiedział, ile minęło czasu, gdy wtem usłyszał pojazd zatrzymujący się na podjeździe. Nie kombi Molly, znał szum jej silnika. Niższy dźwięk. Przypominał samochód sportowy.

Z listem Molly w dłoni podszedł do okna.

131

Najpierw zauważył, że zapada zmrok. A potem, że Molly wysiada z samochodu Marka Elliota.

Niepewny świat Austina zadrżał w posadach. Austin przełknął ślinę tak mocno, że go zabolalo.

Docierały do niego tylko fragmenty sceny.

Mark Elliot. Wysiada.

Zatrzaskuje drzwi samochodu. Uśmiechnięty. Wyjmuje torbę z zakupami z tylnego siedzenia. Idą w stronę domu.

Molly. Zatrzymuje go. Dłoń na jego ramieniu. Zabiera torbę.

Rozmawiają.

Mark wraca do wozu.

Molly nie idzie do domu. Pasek torebki zwisa z ramienia, macha do Marka i patrzy, jak odjeżdża, patrzy, aż samochód zniknie za zakrętem.

Austin na tyle zdawał sobie sprawę ze swego stanu, by wiedzieć, że targające nim uczucia pozbawiły go całkowicie racjonalnego myślenia. Nie wiedział, co dalej robić. Potrzebuje czasu do namysłu, by się uspokoić. Nie może teraz stanąć przed Molly.

Szybko ruszył przez salon stawiając długie, żałośnie niepewne kroki.

W gabinecie zatrzasnął obie pary drzwi i dopiero wtedy opadł na biurko.

Jej zdrada dotknęła go do żywego. Wiedział, że to bez sensu; sądził, że już dawno przeciął więzi emocjonalne z żoną. Ale widać się pomylił.

W jego głowie wirowały chaotycznie strzępki obrazów, zaczął bez celu otwierać i zamykać szuflady biurka. Nic nie przykuwało jego uwagi, nic nie przebijało się przez szaleństwo myśli, aż natrafił na białą papierową torbę. Poprzez uczucie wściekłości zamajaczyło wspomnienie i Austin wpatrzył się w pakunek. A potem wolno, niczym automat, rękami trzęsącymi się jak u bardzo starego człowieka, wyjął torebkę z szuflady i otworzył ją.

Grzybo-ptak...

Dla Molly.

Ale nie dla niej.

Czuł, jakby kupił to w innym życiu, dla innej osoby. Nagle zrozumiał, że już jej nie zna i że ona jest dla niego kimś obcym. Lecz czy kiedykolwiek ją znał? Czyż nie była zawsze obca?

Tak, ale choć była obca, jednak umiał czasem przewidzieć jej reakcje. A teraz ani się nie ubierała jak Molly, ani nie zachowywała jak Molly.

Jego oddech wypełniał zamknięty pokój. Czuł, jak serce ciężko bije w piersi. Nie ze zmęczenia, tylko pod wpływem emocji: bólu, niepokoju i pierwotnego gniewu.

Może teraz jest bliższa prawdziwej Molly? - dręczył go wewnętrzny głos.

Powiódł palcem po miękkim skrzydle ptaka. A potem z żalem wyrzucił go do kosza na śmieci stojącego pod biurkiem, gdzie spadł na jakieś pomięte papiery.

Dlaczego nie wyrzucił go wcześniej?

Rozdział osiemnasty

Rozkładając zakupy Molly zdała sobie sprawę, że zasiedziała się u Marka. Wróciła już o zmierzchu. Nie powinna była w ogóle do niego zaglądać, ale samochód wydawał dziwne dźwięki i uznała to za doskonały pretekst...

Rozmawiali tak długo, że straciła poczucie czasu. W końcu zabrakło go na to, by Mark sprawdził silnik.

- Muszę iść - powiedziała spojrzawszy na zegar kuchenny. I zerwała się chwytając torebkę.

Mark poszedł za nią po schodach do wyjścia.

- Nie idź - rzucił cicho.

- Muszę - zatrzymała się z dłonią na klamce.

Odciągnął jej rękę od drzwi i unosząc obrócił delikatnie dotykając przegubu.

- Skąd to masz?

Siniec. Nie zauważyła go wcześniej. I naprawdę nie wiedziała, skąd się wziął.

- Nie wiem. Byle co zostawia ślady.

- A ten tutaj? - Wskazał drugi wyżej, ponad łokciem.

- Nie wiem.

- Austin?

- Nie wiem.

Mark uniósł głowę. Oczy zwięzły się w szparki.

- Nawet jeśli on, to nie zrobił tego celowo - wyjaśniła.

- Molly, nie staraj się go usprawiedliwiać.

- Austin nigdy mnie nie uderzył, jeśli o to pytasz. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Próbuję przekonać siebie czy Marka? - pomyślała.

- Jesteś pewna? - patrzył na nią twardo. - Nie masz wobec niego żadnych zobowiązań. Ani nie ponosisz za niego odpowiedzialności.

- Wiem.

- Mówi pewnie różne rzeczy - przypomniał jej Mark. - Rzeczy, których nie musisz słuchać.

Miał rację, ale ostatnio lepiej się dogadywali.

- Nie wracaj do niego - rzucił nagle ledwie dosłyszalnie.

Coś się zmieniło, zdała sobie sprawę już nie po raz pierwszy. Mark się zmienił.

- Wiem, że nie powinienem ci tego mówić, a przynajmniej nie teraz - zaczął.

Czego nie powinien jej mówić?

- Ale boję się, że właściwa chwila nigdy nie nadejdzie. Boję się, że znów znikniesz. Boję się, że pewnego dnia twój brat mi powie, że spakowałaś manatki i wyprowadziłaś się na południe.

- Nie wyjadę bez pożegnania z tobą.

- Już raz to zrobiłaś - przypomniał.

Ten wyrzut usłyszała od Marka po raz pierwszy. Ale gdy wyjeżdżała, nie sądziła, że ktokolwiek zauważy jej nieobecność. Nie myślała, że ktokolwiek będzie za nią tęsknił. Mark za nią tęsknił. A musiała odejść od Austina o własnych siłach, bez niczyjej pomocy czy perswazji. Musiała udowodnić samej sobie, że potrafi to uczynić.

Tamtego dnia po prostu się spakowała, kupiła bilet i wsiadła do samolotu nie mówiąc nikomu ani słowa. Dopiero przyleciawszy na Florydę zadzwoniła do Amy. Mark patrzył na nią z tym dziwnym wyrazem twarzy, który przywodził jej na myśl spotkanie na parkingu przez sklepem „K Mart”, spotkanie, o którym próbowała zapomnieć.

- Ale nie myślisz o mnie w taki sposób, jak ja o tobie - powiedział. Ogarnęło ją przemożne pragnienie ucieczki. Dlaczego? Przecież to Mark, jej przyjaciel.

- Jak o mnie myślisz?

Dotknął jej twarzy, policzka, podbródka;

- Najróżniej...

135

Żałowała, że w ogóle zaczęli tę rozmowę.

- A w tej chwili... Naprawdę chcesz wiedzieć? Nie!

Jeżeli powie, że ją kocha? Co wtedy zrobi? Widać dostrzegł niezdecydowanie malujące się na jej twarzy, bo jego wzrok nieco zmiękł.

- Jesteś kimś, na kim mi bardzo zależy.

Dlaczego, och, dlaczego nie zauważyła wcześniej żadnych oznak?

Opuszkami palców odgarnął włosy z jej karku. A potem wyszeptał jej imię. W jego głosie było tyle smutku, że pod jej powiekami zakręciły się łzy.

Niech ci na mnie tak nie zależy. Proszę, nie w ten sposób. Nie umiała się pogodzić z utratą przyjaźni Marka.

- Boję się - powiedziała urywanym głosem.

- Nie masz czego. To ja. Mark.

- Dlatego właśnie się boję. Jesteś moim przyjacielem. Nie chcę cię stracić.

- A równocześnie ogarnęła ją przemożna żalność, bo wiedziała, że już jest za późno.

Odsunęła się od niego, a on nie próbował jej powstrzymać. Przyciskając dłonie do rozpalonych policzków odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Muszę iść.

Znów do niej podszedł. Odjął dłonie od policzków i uściśnął jej palce delikatnie, pocieszająco. Nagle znów stał się dawnym poczciwym Markiem.

- Spodziewałem się po tobie czegoś takiego - westchnął zrezygnowany.

- Ale żebyś mi nie uciekła, zostaw u mnie na parę dni samochód. Pojeżdżę nim i może odkryję, co w nim szwankuje.

Zgodziła się zadowolona, że nie jest na nią zły i nie stara się utrudnić jej sytuacji.

Zadowolona, że znów są przyjaciółmi, przynajmniej w tej chwili.

Wyszedł za nią z mieszkania. Przenieśli torby z zakupami do jego samochodu i odwiózł ją do domu.

Po drodze rozmawiali o codziennych sprawach. Jego planach na wieczór: miał udawać Etoisa na przyjęciu urodzinowym. Powiedział jej, że następnego dnia będzie odsypiał. Rozśmieszał ją i gdy dotarli do jej domu, niemal

wierzyła, że scena przy drzwiach mieszkania była tylko jej fantazją. Ale nim wysiadła z samochodu, jeszcze raz odezwał się poważnym tonem.

-Zapomnij o tym, co się dziś stało, dobrze? - poprosił. - Zgoda?

Przytaknęła zgadzając się na udawanie, wiedząc, że oboje o tym nie zapomną i to ich jeszcze bardziej rozdzieli.

Ujął jej dłoń i wsunął w nią klucz zaciskając na nim jej palce. , - Do mojego mieszkania - wyjaśnił. - Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebowała schronienia, miejsca, gdzie byś się mogła zatrzymać, kogoś, 'Z kim mogłabyś porozmawiać, w każdej sytuacji, przyjeżdżaj. Może być W środku nocy, dla mnie to bez znaczenia. Mój dom jest twoim.

Zacisnęła palce na kluczu. Przełknęła ślinę.

- Dzięki.

Uśmiechnął się zachęcająco.

- Jasne.

A teraz kończąc rozkładanie zakupów myślała o spokoju i głębokim smutku Marka, martwiła się, że to jej wina, równocześnie przekonana w głębi serca, jak nieodwołalnie zmieniła się ich przyjaźń.

Składała papierowe torby, gdy zdała sobie sprawę z niezwyklej ciszy panującej w domu. Nasłuchiwała chwilę, ale do jej uszu dobiegł tylko cichy szum zamrażarki.

- Austin? Nic.

Powtórzyła jego imię, tym razem głośniej. Znów nic.

Nadal łatwo się męczył, więc czasem ucinął sobie drzemkę. Sprawdziła na kanapie w salonie - jedno z jego ulubionych miejsc - ale nie znalazła śladów jego obecności.

Podeszła do okien i zaciągnęła zasłony, a potem ruszyła do sypialni przekonana, że znajdzie go odpoczywającego na łóżku. Pokój był pusty .

Zaniepokojona wróciła do kuchni, sądząc, że wyszedł przed dom. Po drodze zauważyła zamknięte drzwi do gabinetu, szczegół, który wcześniej przeoczyła.

Otworzyła je.

Światło płynące z kuchni rozcięło mrok i na drewnianej podło-

dze pojawił się jasny prostokąt. Austin siedział przy biurku, w ciemności, sam. Coś ją ścisnęło w dołku.

- Co robisz? - zapytała.

Kiedy nie odpowiadał, ogarnęło ją przerażenie i sięgnęła do kontaktu.

- Nie! - jego głos odbił się echem od ścian małego pokoju. Okrzyk ją powstrzymał.

Opuściła rękę. Co to za zapach?

- Piłeś?

Wiedział przecież, że nie powinien używać alkoholu.

Odpowiedział jej śmiech, ale tak dziwny, że aż dostała gęsiej skórki.

Rozpoznała w nim chłód i starannie skrywany gniew, które w przeszłości tak często u niego słyszała.

Odezwał się wreszcie. Słowa płynęły ostrożne. Prawidłowo wymawiane, tylko dzieliły je dłuższe pauzy.

- Gdzie jest samochód? Najwidoczniej widział, że Mark ją odwiózł.

- Samochód?

Powiodła językiem po suchych wargach. Czuła szybkie bicie serca. Pociły się jej dłonie.

Z obrzydzeniem do samej siebie i przerażeniem zdała sobie sprawę, że reaguje na Austina w taki sam sposób jak zawsze, gdy musiała stawić czoło jego wściekłości.

- U Marka. - Mając nadzieję, że nie zauważył drżenia jej głosu, dodała szybko: - Silnik wydawał dziwne dźwięki i Mark powiedział, że spróbuje coś z tym zrobić.

Czuła się winna. Wiedziała o tym.

- Jak miło.

Wylew nie zniweczył jego umiejętności wyrażania sarkazmu. Ostatnie słowo wręcz nim ociekało.

Znów zapadła cisza. Okropna cisza, która jest czymś więcej. Jej poczucie winy i jego nagana wręcz wypełniały pokój.

Nogi Molly drżały. Za chwilę będzie musiała usiąść.

- Co byś chciał na kolację - wykrztusiła i szybko mówiła dalej: -Może rybę?

Wprawdzie jedliśmy dwa dni temu, ale to się szybko gotuje. Pewnie jesteś głodny?

Słowa.

Słowa wypełniały okropną ciszę, próbowała rozciąć nimi napięcie i gniew. A on tylko na nią patrzył. Utkwił w niej milczące spojrzenie. Nie mogła tego dłużej znieść. Zaczęła się wycofywać do kuchni, gdy wtem uniósł rękę. W dłoni trzymał list. List od Seana.

Widziała go bardzo dokładnie, zupełnie jakby ktoś wykonał zabieg rodem z filmu, gdy jeden przedmiot widziany na ekranie jest ostry, a tło rozpływa się **wemgle**. Gdy wpatrywała się w dłoń, równocześnie wyraźniej zobaczyła twarz.

Twarz Austina.

Rozgniewaną twarz o stężonych rysach. ⁽

Przez ostatnie tygodnie była zadowolona z tego, że mu się nie poddaje, twardo broni siebie. A teraz on to wszystko zniszczył, obrócił w proch.

Desperacko próbując odzyskać choć odrobinę kontroli nad sytuacją, rzuciła się do przodu, by wyrwać mu list z ręki.

Wykazał się szybszym refleksem. Zmiał kartkę w kulkę i coraz mocniej zaciskał w dłoni.

- Co ty wyprawiasz?

Nadal chowając list w zaciśniętej pięści odezwał się, starannie wymawiając słowa, po jednym, jakby nie łączyły się między sobą w zdanie.

- Ćwiczyłem. Czytanie.

- Nie masz prawa.

Znow zapadło to pełne wyrazu, chłodne milczenie. A potem tym samym sarkastycznym tonem, którego wcześniej użył, zaczął recytować list Seana.

- Droga Molly. Gdy Ciebie tu nie ma... plaża już nie jest taka pię...kna

- zmagął się z prawidłową wymową. ...I zachód słońca...

Nauczył się na pamięć! Zapamiętał cały list do niej! Ogarnęła ją wściekłość.

- ...Wino dalej się chłodzi. Każdego dnia pragnę Cię mocniej. Sean.

- Skończywszy oparł się głębiej w krzesło. - Słodki.

146

Wczoraj była zadowolona z życia. Wczoraj była **mocną, normalną** kobietą. Jak to możliwe, że Austin zniszczył ją w tak **krótkim czasie i tak niewielkim wysiłkiem**? Ona ponosi część winy. Sprowokowała Austina, pozwalając, by **Mark** ją odwiózł. I nie powinna była zostawiać listu od Seana w miejscu, gdzie **mógł** go znaleźć. Ale właściwie nie przypuszczała, by go to obchodziło. I w rzeczywistości ona go nie obchodzi. Dobrze o tym wie. Dla niego jest to kwestia dumy. Uznawał ją za swoją własność, nie więcej.

Wściekłość połączona z lękiem stworzyła mieszankę wybuchową.

- Nie masz prawa czytać moich listów! A jeśli chodzi o to, co chciałbyś zjeść - urwała szukając właściwych słów - to sobie sam zrób swoją pieprzoną kolację! Zdumiona własnym wybuchem, nie czekała na reakcję. Odwróciła się na pięcie i wybiegła przez kuchnię i salon prosto na piętro.

W sypialni wyciągnęła zniszczoną walizkę, cisnęła ją na łóżko i zaczęła wyrzucać z szafy ubrania.

Popęłniła błąd wracając. Dlaczego to zrobiła? Czemu nie została na Florydzie?

W dusznym, nie używanym pokoju szarpnięciem otworzyła kolejną szufladę i wyjęła naręczce bielizny.

Musi się natychmiast wynieść, ale gdzie pójdzie? Amy odpada. Nie chce wciągać córki w małżeńskie nieporozumienia. I biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia Amy najprawdopodobniej weźmie stronę Austina.

W takim razie Mark. Ale on poszedł do pracy. O Boże! Nagle przypomniała sobie, że nie ma samochodu.

Czy wszystko w jej życiu musi być takie trudne?

Najwyraźniej tak.

Wypełniła walizkę do połowy, gdy w progu pojawił się Austin.

Nie był na górze od powrotu ze szpitala. Czowała się bezpieczna, gdy dzieliła ich całą długość schodów.

Teraz w świetle lampy widziała, że zniknęło jego wcześniejsze opanowanie.

Błyszczące oczy. Dłonie zaciśnięte w pięści. Obezwładniła ją ta zaczajona wściekłość.

Poczuła się jak przerażone zwierzątko, które jest co prawda odważne; ale też bezsilne wobec przewagi napastnika.

- Wynoś się! - krzyknęła. - Zostaw mnie w spokoju!

- To mój dom - rozejrzał się. - Mój pokój.

- Czego chcesz?

Ruszył ku niej. Zauważyła, że idzie bez pomocy laski.

- Czego? - zatrzymał się krok przed nią. - Seksu. Chcę seksu. Zabrakło jej powietrza.

Bose palce nóg wbiła w dywan. Od chwili powrotu

ze szpitala, nawet po rozmowie z doktorem Fisherem, Austin nie wykazywał zainteresowania jej osobą. Uznała, że...

- Myślałam, że może jesteś... Jako ofiara wylewu... - Powstrzymała nerwowy potok słów. Nie miała zamiaru wypowiedzieć na głos tych myśli.

Wylew odrobinę zniekształcił rysy jego twarzy, tak że uśmiech był nieco krzywy, wręcz demoniczny. I teraz ten szatański uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Impotentem? Czytał jej myśli.

W przerażeniu patrzyła, jak przecząco kręci głową. Nie jest impotentem.

Przeniosła wzrok na otwartą walizkę i znów spojrzała na Austina...

Jego spojrzenie też powędrowało ku walizce. Na moment go zainteresowała, podszedł bliżej i sięgnąwszy wyjął parę majteczek, po czym zaczął się im uważnie przyglądać.

Głęboko wycięte. Kremowa koronka. Strzępek materii. Wcześniej takich htenosiła, Austin nigdy jej w czymś takim nie widział.

Spojrzenie jego zielonych oczu przesunęło się od delikatnej, zmysłowej bielizny ku Molly. I kiedy obleśny wzrok sunął po jej ciele, czuła się, jakby przenikał przez ubranie i wyobrażał ją sobie w majteczkach, które trzymał w dłoni.

W jego wzroku pojawił się nowy element. Myśl... Decyzja. Pożądanie.

Wypuścił bieliznę i postąpił ku niej. Nie wysilając się na pieszczoty, sięgnął prosto do jej spodni. Seks.

Dlatego wspiał się po schodach. Dlatego teraz ruszył ku niej.

Gdyby miała na sobie dzinsy, byłaby bezpieczna, myślała z przerażeniem

i rosnącą paniką. Dzinsy sprawiłyby mu kłopot. Byłyby niczym pas cnoty, Ale miała na sobie szorty zebrane w gumkę. Łatwe zadanie.

Jednym ruchem pociągnął je w dół. Gwałtowne szarpnięcie pozbawiło ją równowagi. Upadła do tyłu na dywan.

Natychmiast przykrył ją potężnym ciałem, przygniatał do ziemi własnym ciężarem równocześnie zmagając się z szortami, aż ściągnął je do reszty.

Łatwe zadanie.

Nigdy w życiu nie stawiała mu oporu, nigdy w życiu mu się nie sprzeciwiła. Poczula się całkowicie bezradna. Chociaż od niego odeszła, to jednak wróciła i wszystko jest tak samo, nic się nie zmieniło. Jest w pułapce. Przegrała.

Uciekając sądziła, że się wyrывa, uwalnia, a teraz zobaczyła, że wróciła do punktu wyjścia.

Austin jedną ręką próbował rozpiąć rząd maleńkich guziczków z przodu bluzki. Szybko stracił cierpliwość i chwyciwszy za dekolt mocno szarpnął, guziczki się posypały, a bluzka była rozpięta.

Stanik miał klamerkę z przodu. Znalazł ją i rozpiął uwalniając piersi. Natychmiast przykrył je ciepłymi dłońmi.

Choć zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje, miała dziwne poczucie dystansu. Jakby była tutaj, a równocześnie była nieobecna.

Poczula jego ruchy, gdy zmagał się z własnym ubraniem. Gdy nad tym pracował, szmer jego ciężkiego oddechu wypełnił cały jej mózg, a szyję grzały krótkie oddechy.

Co on ma na sobie? Dzinsy? Nie, dres. O Boże.

Już dobrał się do bielizny, ściągał majtki w dół, rozpychając nogi.

Próbowała uciec myślą gdzieś daleko, ale nagle wszystko stało się przeraźliwie rzeczywiste.

Po raz pierwszy w historii ich małżeństwa zaczęła walczyć, odpychać go od siebie. Lekko, bo nie chciała mu zrobić krzywdy.

Ależ to głupie! Próbuje ją zgwałcić, a ona nie chce mu zrobić krzywdy! Jeżeli nie zaprotestuje, to pozwoli zrobić z siebie ofiarę, pozwoli, by ją potraktował jak przedmiot.

Naciskała mocniej, ale nawet największe wysiłki były niczym wobec jego gniewu i mocy płynącej z pożądania.

- Austin!

Żadnego skutku. Skąd on ma tyle siły?

- Austin, proszę!

Nie w ten sposób! Nie tak!

Pełna przerażenia prośba nie przyniosła rezultatu. Czyżby tak się zapamiętał, że jej nie słyszy? A może go to nie obchodzi?

I wtedy poczuła gorącą twardość próbującą w nią wejść.

Zrobiła coś, na co nigdy wcześniej się nie zdobyła. Wrzasnęła.

Austin zamarł. Tylko jego tors unosił się w rytm oddechu, poza tym trwał nieruchomo.

Koniec bitwy. Puściła jego ramię, pozwoliła, by jej ręka osunęła się na dywan.

Teraz, gdy udało jej się go powstrzymać, nogi zaczęły jej konwulsyjnie dygotać.

Pod powiekami zakręciły się gorące łzy i popłynęły strugą.

Dlaczego wszystko między nimi zrobiło się takie obrzydliwe?

Na moment w jej umyśle pojawił się Austin z początku ich znajomości: młody, poważny, trochę zamyślony, ale dobry. Co się stało z tym młodzieńcem?

Podniosła na niego wzrok.

Na czoło spadał mu kosmyk włosów. W oczach pod ciemnymi rzęsami widziała zmieszanie, przerażenie i głębokie wyrzuty sumienia - chyba po raz pierwszy życiu.

Podniósł drżącą dłoń i przyłożył do jej policzka, ręka prawie nie dotykała skóry, tylko kciukiem wolno ocierał płynące łzy.

- O mój Boże. Molly. Tylko tyle zdołał wykrztusić.

- O Boże, Molly.

Dobra z natury, już chciała go pocieszyć, ale się powstrzymała.

W chwilę później odsunął się od niej i poprawił ubranie. Dopiero wtedy dostrzegła, że miał na sobie wszystkie części garderoby. To ona leżała rozciągnięta na podłodze niczym naga, popsuta lalka.

Ściągnął z łóżka złożoną kołdrę i okrył nią Molly; poczuła na skórze chłodny dotyk bawełny.

Usiadła. Potem sztywnymi palcami ciasniej owinęła kołdrę wokół siebie i zebrała podarte, rozrzucone ubranie. Ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się w progu i odwróciła.

Austin siedział na podłodze, oparł się plecami o łóżko, łokcie trzymał na przygiętych kolanach, dłonią zakrywał oczy.

- Rano wyjeżdżam - powiedziała. - Jak widać, potrafisz już się sobą zająć. Przytaknął nie podnosząc wzroku ani nie odejmując dłoni od oczu.

Rozdział dziewiętnasty

Kiedy Austin nie mógł już dłużej znieść ostrego światła lampy, zmusił się do wstania i zgasił ją. Po czym, nie zdejmując ubrania, rozciągnął się na łóżku i zapatrzył w ciemność nad sobą.

Słyszał, jak Molly kręci się po sąsiednim pokoju - sypialni Amy. Słyszał, jak chodzi. Słyszał skrzypienie łóżka.

Dwa lata temu, gdyby zrobił coś, co mu się nie podobało, po prostu uciekłby z domu. Z zapamiętaniem oddałby się fizycznej pracy, żeby stłumić wszelkie myśli. Teraz nie miał innego wyjścia, jak tylko stawić czoło temu, co uczynił, a raczej, co chciał popełnić. I czyniąc to doznał uczucia nader u siebie rzadkiego: żałował. Nie podobały mu się wyrzuty sumienia. Nie podobał mu się towarzyszący im ból. Dłonie złożył na torsie, który opadał i wznosił się rytmicznie; głęboko wciągał powietrze, a potem wolno je wypuszczał. Cisza. W domu panowała cisza. Molly. Póki życia, póty będzie pamiętał jej krzyk i wyraz jej twarzy. Jej oczy... Paniczny lęk w oczach.

Prawda, od lat chciał zobaczyć u niej jakieś uczucia, chciał, by utraciła choć część panowania nad sobą, dystansu. Ale nie siłą. Nie wbrew jej woli.

Nie może się oszukiwać. Seks nigdy im nie wychodził.

Może to jego wina. Może zawiniła jego niewiedza, brak doświadczenia. Odkładając na bok przyczyny, musiał stwierdzić, że jakoś nigdy nie mogli

przebrnąć przez pierwszy etap niezręczności. I dalej po tym, jak Molly doszła do siebie po poronieniu, nawet po urodzeniu Amy, nic tak naprawdę się nie zmieniło.

Gdy to robili - trudno o odpowiedniejsze określenie - nigdy jej to nie sprawiało szczególnej przyjemności. Kiedyś, już po wielu latach małżeństwa, gdy leżał między jej udami tuż przed orgazmem, a krew szumiała mu w uszach, pohamował się i zmusił do zatrzymania.

- Czy to ci w ogóle sprawia przyjemność? - spytał cały spocony. Cisza. A potem:
- Nie. -

Dokładnie coś takiego chciał usłyszeć. Dokładnie czegoś takiego potrzebował. Po tym wydarzeniu przysiągł, że jej nigdy więcej nie dotknie. Ale złamał słowo. I zawsze było tak samo.

Może w miejsce niezręczności przyszedł gniew, skoro z upływem czasu coraz częściej uprawiali seks po kłótniach, sprzeczkach, w których ona nie brała udziału. Ponieważ wiedział, że Molly nie lubi mieć go w sobie, więc starał się kończyć jak najszybciej. I gdy tylko było po wszystkim, jego serce nadal waliło jak młotem i dyszał ciężko, ona umykała mu i zajmowała się swoimi sprawami, jak gdyby nic się nie stało, jakby ich współżycie było nieważną, chwilową przeszkodą. Niczym irytująca pluskwa, o której się zapomina natychmiast po zabiciu.

Była całkowicie obojętna.

Co więc stało się dziś wieczorem? Skąd wziął się jej lęk? A co gorsza, może był tam wcześniej? Czyż tego nie widział? Lęk...

Pamiętał list, który mu zostawiła odchodząc. Któż by go mógł zapomnieć? „Boję się Ciebie.”

Wtedy jej nie uwierzył. Uznał ten lęk za pretekst, sposób na zadanie bólu. Teraz już nie był pewien. Niczego nie był pewien. „Boję się ciebie.”

Austin nigdy w życiu za nic nie przeproszał. Nigdy tego nie robił. Ale gdyby zrobił, toby powiedział Molly, jak mu przykro. Nie wymówione słowo gniotło go w piersiach, uciskało w gardle. Przepraszam.

A teraz ona odchodzi. Na dobre. Nie winił jej za to. Wcale.

W **środku** nocy, gdy całe miasto było uśpione, a samotność zdawała się **przeszywać** go na wskroś, Austin postanowił zejść na dół. Musi fizycznie **oddalić** się od Molly. Zbyt mocno czuł jej obecność w sąsiednim pokoju. **Jakby** przez cały czas wysyłała mu delikatny sygnał, który podsycił wyrzuty sumienia.

Musi odejść.

Kiedy wstał, ogarnęło go przeogromne zmęczenie. Był tak słaby, że nogi się pod nim trzęsły.

Mimo wszystko zmusił się do ruchu: najpierw podniósł jedną stopę, potem drugą. Nie zapalając światła poszedł ku schodom. Szedł na pamięć oraz dzięki słabej poświacie płynącej zza zasłon. Opierając dłoń na wypolerowanej poręczy schodów, zaczął powoli schodzić, dostawiając stopę do stopy na każdym stopniu.

Gdy dotarł na parter, bolały go mięśnie ud i łydek nie przyzwyczajone do takiego wysiłku. Nawet na dole czuł się niespokojny, jak w klatce. W domu było gorąco.

Duszno.

Próbował otworzyć okno w salonie, ale słabość, która ogarnęła go w sypialni, nie ustępowała. Z rąk i nóg ulotniła się cała siła.

Sfrustrowany przeszedł do kuchni, do drzwi na taras. Pragnął, wręcz potrzebował świeżego powietrza. Przekręcił klucz i pchnął szklane drzwi.

Do wnętrza napłynęło powietrze. Wilgotne. Pachnące rosą i żyzną ziemią. Na dworze Cykały świerszcze. Delikatny, nocny wiatr poruszał dzwonekami wiszącymi na drzewie.

Ale to mu nie wystarczyło. Przed oczami nadal widział twarz Molly.

Głęboko zaczerpnął powietrza.

Przepraszam. Przepraszam.

Molly przebudziła się raptownie, nie wiedząc, co ją wybiło ze snu. Dźwięk? Hałas? A może zły sen? Leżała w łóżku nasłuchując, skupiła na tym całą uwagę. Nic. Tylko cykanie budzika na szafce nocnej. Zaczęła się rozluźniać. Powoli zapadać w sen...

147

Znów.

Dźwięk. Skrzyp podłogi. Jęk?

Austin. Nie chciała go widzieć. Patrzeć na niego, rozmawiać z nim. Tak, typowe zachowanie tchórza, lecz o ileż łatwiejsze. Ale ten hałas...

Odrzuciła kołdrę i boso ruszyła do korytarza. Gdy dotarła do sypialni, nacisnęła kontakt na ścianie i ostre światło zalało pokój.

Austina tu nie było.

Znów ten dźwięk.

Na dole.

Łupnięcie, jakby ktoś uderzył pięścią w twardą powierzchnię. Czy naprawdę chce następnej konfrontacji z Austinem? Czy naprawdę chce iść na dół i sprawdzić, co się dzieje? Nie.

Łup, łup, łup.

Ucieknę przed nim, powtarzała sobie w duchu. Nic mi nie grozi, dopóki trzymam się od niego z daleka i nie pozwolę mu podejść tak blisko, by mnie chwycił.

Zrobię to. Pójdę.

Na palcach zeszła po schodach, zadowolona, że dywan tłumi kroki. Łomotanie ustało.

Chociaż światło nie było włączone, bez trudu dojrzała Austina, bo jego sylwetka rysowała się na tle drzwi na taras. Pochylił głowę opierając czoło o framugę.

Zatrzymała się kilka metrów od niego.

- Austin?

Zaskoczony obrócił się raptownie. Nawet w mroku widziała jego kredowo-białą twarz.

- Molly...?

- Dobrze się czujesz? - zapytała przejęta, równocześnie nienawidząc siebie za to zainteresowanie.

Zamiast odpowiedzi postąpił krok w jej stronę. Ogarnęło ją przerażenie.

- Nie podchodź bliżej - nieświadomie podniosła rękę w obronnym geście.

- Molly... - zatrzymał się.

155

- Ucieknę przed tobą.

W ciemnościach nie widziała wyrazu jego twarzy. Ale usłyszała jego śmiech - nieoczekiwane prychnięcie, które natychmiast zmieniło się w coś innego.

Łkanie?

Niemożliwą. Nie, w żadnym razie. Austin nigdy w życiu nie płakał. Sam jej to kiedyś powiedział.

Szybko odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Na ślepo szukał drzwi, z trudem się ich domacał i wreszcie je rozsunął.

Gdy kulejąc przeciskał się przez nie, jego chore ramię uderzyło o metalową framugę.

Ból.

Przed oczami zawirowały mu wielobarwne koła. Czarne. Czerwone. Białe gwiazdy. Pulsujący, jaskrawy żółty. Czy krzyknął? Miał nadzieję, że nie.

Od czasu wylewu nauczył się, że ból przychodzi razem z barwą. Biel. Złoto.

Czerwień. Czerwień jest niedobra. Tak samo jak czerń. Ale czy czerń jest barwą? - zastanawiał się obserwując pulsujące kręgi wirujące przed oczami.

Z głową odrzuconą do tyłu i zamkniętymi oczami oparł się o ścianę domu, dotknął dłonią ramienia. Nasłuchiwał jak zranione zwierzę, a oddech szumiał mu w uszach; skupił się na bólu płynącym z ramienia w dół dłoni aż po czubki palców, pulsującym w obojczyku.

Ból.

Po raz pierwszy ucieszył się z niego. Chciał w nim zatonać. Ponieważ w domu niemal się rozpłakał. „Ucieknę przed tobą.”

To drżenie w jej głosie. Na litość boską, jak zdołał napęłnić ją takim strachem? O Boże.

Ból powoli ucichł na tyle, że mógł odsunąć się od ściany i stanąć prosto. Przeszedł kilka chwiejnych kroków i osunął się na leżak.

Nie przychodź tutaj, błagał w duchu. Nie przychodź tutaj, Molly. Idź na górę, do łóżka.

Gdy usiadł, zmęczenie owładnęło nim z nową siłą, wręcz go oszołomiło i otumanilo. Powoli ogarniał go sen. Nie potrafi z nim walczyć...

149

- Austin?

Z trudem uchylił powieki.

Nad nim stała Molly, za nią lśniło rozgwieżdżone niebo.

- L.dż... - Chciał powiedzieć: „Idź sobie”.

Może spowodowało to zmęczenie, całkowite wycieńczenie - słowa i tak przychodziły mu ciężko, nawet gdy był wypoczęty - w każdym razie, bez względu na powód, powiedział coś, czego powiedzieć nie zamierzał.

- Przepraszam - rozległo się w mroku nocy. Przepraszam. Przepraszam.

Sięgnęła ku niemu.

Odsunął się raptownie, kuląc ramiona.

- Co powiedziałaś? - spytała. W jej głosie brzmiało zdumienie i niedowierzenie.

Czyż nie miała ku temu powodów?

- Nic.

Wyczuł jej wahanie.

- Nic! - powtórzył. - Nic nie powiedziałem. - Nie potrafił teraz z nią walczyć. -

Molly. Idź. Proszę - dodał urywanym głosem. - Zostaw mnie.

Stała nad nim minutę, może nieco dłużej.

O czym myślała? Czy bardzo nim gardziła? Czy okazał się absolutnie żałosny?

A potem się poruszyła.

I gdy się odwróciła, by wejść do domu i odejść od niego, jeszcze raz zniknąć z jego życia, głos w jego głowie wołał: Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie!

Wtedy ze spokojem zauważył, że go złamała.

Rozdział dwudziesty

Rytmiczne uderzenia w bęben.

Gabrielle mająca na sobie tylko trójkątny paseczek fioletowego jedwabiu udający majteczki oraz fioletowe szpilki rozłożyła długie nogi i w rozkroku przywarła do słupa biegnącego od podłogi po sufit. Trzymając mocno w obu dłoniach metalowy pręt poruszała biodrami w rytm głośnej muzyki.

W pomieszczeniu było duszno i gorąco; podłoga aż się lepiała od porozlewanego piwa. Dym papierosów zwykle jej nie przeszkadzał, ale dziś całkowicie wypełniał pomieszczenie, bo wcześniej zepsuł się wentylator. Gdy barman przechodził obok sceny, widać było, jak kłęby dymu z papierosów przesuwają się i przepływają niczym gęsta mgła.

Gabrielle była twarda, ale dziś, wieczorem odczuwała skutki gorąca, dymu i zapach ABC: alkoholu, brudu i ciał, a wszystko to jeszcze pogarszał ból głowy, który zaczął się parę godzin temu, akurat wtedy, gdy wysiadł wentylator.

Ostatni występ. Koniec pracy już blisko. Na początku wieczoru z przyjemnością robiła striptiz. Na widowni znajdowało się paru młodych, przystojnych facetów, ale teraz większość z nich już wyszła. Poza grupą grającą w rogu w bilard na sali pozostali tylko pijacy i podejrzone typy.

Na widok jednego z nich, który oglądał po kolei jej cztery występy, dostawała gęsiej skórki. W tej chwili wbijał spojrzenie w jej piersi, brzuch, krocze. Najwyraźnie to ono cieszyło się jego największym zainteresowaniem.

Nie odrywając od niej wzroku uniósł do ust butelkę z piwem i oblizawszy brązową szyjkę, pociągnął solidny łyk.

Ohydne. W takich chwilach marzyła o normalnej pracy w biurze. Muzyka wreszcie ucichła. Zgasł reflektor i zabłyśły zwykłe światła.

- Za dziesięć minut zamykamy - oświadczył Gino. Brzęczały butelki, gdy uzupełniał zapas w lodówkach.

Gabrielle westchnęła z ulgą, zebrała ubranie i ruszyła do garderoby.

Usiadłszy przed dużym lustrem w świetle jarzeniówki zrzuciła szpilki i włożyła szare szorty oraz białą krótką bluzeczkę. Na wierzch narzuciła dżinsową kurtkę, na głowę wciągnęła czapkę z daszkiem, a na nogi wsunęła parę mokasynów. Była gotowa do wymknięcia się tylnym wyjściem, gdy ktoś zastukał do drzwi garderoby. Bojąc się, że to ten wariat, który ją obserwował przez całą noc, chwyciła torebkę zamierzając się wymknąć, gdy wtem drzwi się otworzyły.

To nie był ten pomyleniec.

W drzwiach stał sztywnie ubrany mężczyzna w beżowych płóciennych spodniach i drogiej koszuli. Cały jego wygląd - fryzura, woda kolońska, pantofle z dziurkowanym przodem - świadczył o dużych pieniądzach. Był dość młody, miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, i przystojny. Zbyt przystojny. Gabrielle podobały się typy bardziej męskie. Ale w tym momencie pomyślała o Marku. Słodki, pociągający Mark. Nie pasuje do jej kolekcji.

Gość obdarzył ją doskonale wystudiowanym uśmiechem bogatego gogusia.

- Przepraszam, że się tak wpakowałem, ale bałem się, że możesz się wymknąć, nim cię dopadnę - powiedział głębokim i dźwięcznym głosem, który w założeniu miał brzmieć uwodzicielsko. - Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo mi się podobał twój występ. O niebo lepszy od innych. W twoim wykonaniu striptiz to nie zdejmowanie ubrania, lecz prawdziwa sztuka.

- Dzięki.

Słyszała to już wcześniej. Tysiące razy. W tym zawodzie było to równie wyświechtane i zużyte, jak zdanie: „Jaki jest twój znak zodiaku?”

- Chciałbym cię zaprosić na jednego.

- Za późno. Nie słyszałeś, co powiedział Gino? Już zamyka.

- Może poszlibyśmy gdzie indziej?

- Wszystkie inne spelunki też już na dziś kończą.

- Przecież nie musi być bar, prawda? Możemy wypić kawę. Na pewno jest coś otwartego w tej okolicy.

Znała trzy takie miejsca. Ale nie miała ochoty. Przeciwiczyła to wiele razy. Kupi jej kawę albo lemoniadę czy coś podobnego, a potem będzie oczekiwał seksu. Niektórzy faceci robili to z chęcią w samochodzie. Inni woleli w łóżku. Ten najprawdopodobniej będzie chciał łóżko.

Może spowodował to ból głowy, a może dlatego, że czuła się tak pociągająca jak sterta piasku, w każdym razie nie miała nastroju. A poza tym facet nie był w jej typie. Bogaty. Rozpuszczony. Egoista. Seks z nim będzie całkowicie jednostronną zabawą. Czysta strata czasu.

- Z przyjemnością - skłamała. - Ale naprawdę muszę wracać do domu. Uśmiech już nie był tak promienny. Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Na pewno?

- Tak.

- Może innym razem? - Powiedział to już bez cienia uśmiecha Wyglądał, jakby próbował opanować złość. - Na przykład jutro?

Równie dobrze można postawić sprawę jasno, pomyślała tracąc cierpliwość.

Westchnęła ciężko. - Posłuchaj, wiem, że jesteś miły facet, ale nie w moim typie, jasne? W jego oczach zapłonął gniew.

- Odpalasz mnie? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak.

Chciało jej się śmiać, ale się opanowała, choć w kącikach ust zatańczył uśmiech.

- TY odpalasz MNIE? - zrobił się czerwony. - TY? Striptizerka? Tania dziwka?

Instynkt jej nie mylił. Ten facet to dureń.

- Dlaczego nie zostawiłeś za drzwiami tych kretyńskich gadek i z miejsca nie zapytałeś, czy cię obsłużę? Wszyscy bogaci faceci to takie same beznadziejne łajdaki.

Postąpił krok do przodu starając się zapanować nad wściekłością.

- Ile sobie liczysz? Płacę podwójną stawkę.

Tym razem wybuchnęła śmiechem. Prosto w jego twarz. A potem rzuciła tylko:

- Pobaw się sam. - I wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Na dworze rosa już opadła i lśniła tęczowo na bruku. Gabrielle zaparkowała Gremlina po drugiej stronie ulicy w małej zatoczce na kilka samochodów.

Światło lampy umieszczonej na budynku z trudem rozpraszało ciemności; w mroku ledwo widziała zarys dwóch samochodów - swojego i Gino.

Podeszła do pojazdu i starła się wymacać dłonią zamek.

Za nią rozległ się trzask zamykanych drzwi.

Gino?

Kroki.

Palcami trafiła na okrągłą klapkę na dziurce od klucza.

- Cieszę się, że to ty - rzuciła przez ramię, trzymając kluczyk w drugiej dłoni. - Jakiś idiota się do mnie przystawiał. - Już miała włożyć klucz do zamka, gdy za ramiona brutalnie chwyciły ją twarde ręce.

To nie Gino.

Nim zdołała spojrzeć na napastnika, została ciśnięta naprzód i uderzyła głową w szybę samochodu. Chwycił ją za włosy unosząc głowę do góry. A potem zacisnął dłonie na jej gardle.

- Ty dziwko!

Głos męski, ale nienaturalnie wysoki, oszalały z wściekłości. Równocześnie napastnik jeszcze mocniej ścisnął jej szyję.

- Ty głupia dziwko.

• Potrząsał nią przy każdym słowie.

Wrzasnęłyby, gdyby zdołała odetchnąć, ale skutecznie odciął jej wszelki dopływ powietrza.

Sięgnęła do tyłu wymachując rękami i jedna z dłoni natrafiła na jego twarz; wbiła paznokcie w ciało.

Mężczyzna zawył z wściekłości, ale jej nie puścił. Zaczął ją ciągnąć po ziemi. Po chwili widać zmienił zdanie, bo zatrzymał się i pchnął ją na śmietnik. Nadal ściskając za gardło, uderzał nią raz po raz o ścianę.

Niedługo umrę, pomyślała bez emocji. W głowie jej dudniło. Piersi rozsadzał straszliwy ból. Przed oczami pękały białe kule. Biel powoli gasła zamieniając się w czerń.

Co to za krzyk? Czy słyszała czyjś wrzask? Tupot uciekających stóp? A może to ostatnie uderzenia jej serca?

Ucisk na gardle ustąpił, ale to nie miało znaczenia, ponieważ nie mogła zaczerpnąć powietrza; jakoś nie umiała zmusić płuc do pracy.

Nie zdawała sobie sprawy, że pada, ale znalazła się na ziemi. Poczula na twarzy przyjemny chłód mokrych kamieni. A potem straciła przytomność.

161

Dryyyń.

Mark Elliot z zamkniętymi oczami wymacał budzik stojący obok łóżka i nacisnął guzik.

- Dryyyń.

Otworzył oczy i w zupełnych ciemnościach jeszcze raz nacisnął guzik, tym razem mocniej.

- Dryyń.

To nie budzik, zdał sobie wreszcie sprawę wydobywając się z głębokiego snu.

Jeszcze raz sięgnął ręką, ale tym razem w lewo, na ślepo macając pośród drobiazgów, między plikiem czasopism, nim wreszcie trafił na telefon.

- Dryyń.

Na elektronicznym zegarku odczytał godzinę: 3:00. Przecież to dzisiaj miał zamiar odsypiać. Podniósł słuchawkę.

- Co? - warknął.

- Dzwonię z policji. Porucznik John Clark. Ktoś cierpi.

Ktoś jest w tarapatach.

Mark natychmiast się ocknął i usiadł skupiając całą uwagę na głosie w słuchawce.

W tym samym czasie błyskawicznie analizował listę ludzi. Krewni, przyjaciele, znajomi. Molly!

- Jestem w szpitalu w Spring Green. Mamy tu kobietę, którą porzucono przy wejściu do pogotowia...

Molly... Austin ją zranił, tym razem fizycznie.

- ...Nazywa się Gabrielle Bennet. Gabrielle?

- Załatwiono ją porządnie, ale się wygrzebie. Podała mi pańskie nazwisko i prosiła, żebym do pana zadzwonił. Sporządziłem raport, ale jak na razie odmawia wniesienia skargi.

- Zaraz tam będę.

Mark nigdy wcześniej nie był w szpitalu w Spring Green, ale znalazł go bez trudu.

Dochodziła czwarta, gdy wkroczył na pogotowie.

Kobieta w recepcji powiedziała mu, że Gabrielle została przeniesiona do separatki na obserwację. Znajdzie ją w pokoju na końcu korytarza.

155

Z racji swojego zawodu wielokrotnie widywał kobiety pobite przez mężów czy kochanków. Ale żadna z nich nie wyglądała tak jak Gabrielle.

Leżała z rękami wzdłuż tułowia, całkowicie bez ruchu, jakby najmniejsze poruszenie sprawiało jej ból. Prawe oko było podbite, bok twarzy podrapany, dolna warga rozcięta i opuchnięta.

Stanął przy łóżku. Ostrożnie odsunął kosmyk włosów z podrapanego czoła dziewczyny, a ona przypatrywała mu się w milczeniu. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co powiedzieć.

- O rany, Gabrielle.

Jej dolna warga zadrżała, a potem odwróciła twarz jakby ze wstydem. Wtedy zauważył znaki na szyi. Odsunął włosy, żeby lepiej się przyjrzeć. Gorsze niż na twarzy. Nigdy nie wiedział tak ciemnych sińców. Ani tak dobrze odcisniętych śladów dłoni.

- O rany, Gabrielle.

Wydała z siebie niespokojny jęk i odepchnęła jego rękę: już żałowała, że dała gliniarzowi nazwisko i numer Marka. Kiedy się ocknęła, była cała roztrzęsiona, a facet naciskał o dane kogoś znajomego. Do głowy przyszedł jej właśnie Mark. Ale teraz, kiedy się tu zjawił, kiedy gapił się na nią niczym na główną atrakcję przedstawienia dla palantów...

- Chcesz, żebym do kogoś zadzwonił? - spytał? - Do twojego brata?

- Nie! - i od razu pożałowała tego, że się w ogóle odezwała. Miała wrażenie, że ktoś pociągnął drucianą szczotką wewnątrz jej gardła. Nie miała nawet ochoty na papierosa.

Nie chciała, żeby Austin wiedział, co się stało. Woli umrzeć niż powiedzieć mu, jak zarabia na życie. Zwłaszcza teraz, kiedy znów nawiązali bliższe kontakty, a równocześnie kiedy ich więź jest jeszcze taka słaba.

- Zapomnij, że mówiłem coś o Austinie. Co to znaczy, że nie masz zamiaru wnieść skargi? - Mark zajął się ważniejszym problemem. Zamachał obiema dłońmi; wiedziała już, że tak gestykulował, gdy się czymś przejął. - Nie możesz pozwolić, by mu to uszło na sucho.

Już wcześniej doszła do wniosku, że to ona ponosi winę za atak. Cena za rodzaj pracy i sposób życia. Jeżeli ktoś spaceruje po polu bitwy, nie może się spodziewać, że go nie trafi kula. Z tego punktu widzenia aż do dziś miała szczęście. Po prostu będzie musiała w przyszłości zachować większą ostrożność.

A poza tym nie chodzi tu tylko o nią. Jest jeszcze Gino. Jeżeli wniesie skargę, to i jego w to wmiesza. Był świadkiem, zapewne jedyną osobą, która widziała napastnika. Gino już miewał kłopoty. Nie chce, żeby się nim interesowano. Nie potrzebuje dodatkowych kontroli. Mogą mu zamknąć budę pod byle pretekstem, od hazardu po sprzedaż alkoholu po godzinach. W dodatku Gino ukrywał u siebie brata, który przebywał tu nielegalnie. Nie, nie może mu tego zrobić. Zwłaszcza że uratował jej życie.

- Nie może mu to ujść płazem - upierał się Mark.

Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, co ją w nim pociąga. Wychowany pod kloszem. Nic nie wie o jej życiu. Dla niego prawo to wszystko. Będzie musiała się odezwać, żeby się od niej odczepił.

- Nie wiem, kto to zrobił - wykrztusiła.

Nie kłamała. Naprawdę nie wie. Zakładała, że napadł ją bogaty goguś, ale równie dobrze mógł to być ten świr, który się w nią wpatrywał przez całą noc. Albo ktoś zupełnie inny.

- Nie wiem - powtórzyła i nagle z jej oczu popłynęły łzy, a postać Marka rozplynęła się we mgle. Ostrożnie wciągnęła powietrze i natychmiast zaczęła kasłać. Ból rozrywał płuca i gardło.

- Dobrze, już dobrze, nic nie mów.

Ruszył z miejsca. Do drzwi. Z powrotem do łóżka. Obrzucił pokój nerwowym spojrzeniem i dostrzegł plastikową butelkę z wodą, a obok szklankę. Szybko nalał trochę wody i podsunął szklankę do opuchniętych warg Gabrielle. Wzięła do ust odrobinę i przełknęła, a woda przyniosła ulgę jej gardłu. Przestała kasłać. *

- Nie wezmę cię już więcej w obroty - przyrzekł ucieszony, że się lepiej poczuła.

Mrugnięciem powiek wyraziła wdzięczność.

Lekarz pojawił się w dwie godziny później.

- Prześwietlenia w porządku - powiedział. - Nic nie jest złamane. Nie widzimy też żadnych obrażeń wewnętrznych. Może pani iść do domu. Oczywiście, o ile ktoś się będzie panią zajmował przez parę dni.

Oczywiście nikogo takiego nie miała.

Mark popatrzył na nią, potem na lekarza i znów na nią.

Dlaczego czuła się niczym nie chciany szczeniak, który wlecze się za nim do domu? Widziała, jak walczy z głosem sumienia. Gdyby miała choć odrobinę dumy, ułatwiłaby mu sytuację, mówiąc, że zajmie się nią sąsiadka, Ale nie zrobiła tego. Za bardzo się bała.

- Może pojechać do mnie - oświadczył Mark. - Ja się nią zajmę.

Pierwsze promienie słońca rozjaśniały niebo na wschodzie, gdy Mark zatrzymał samochód przed swoim mieszkaniem. Pomógł Gabrielle wysiąść i zaniósł po schodach w dół zawinięte w prześcieradło rzeczy, które od niej wzięli po drodze. Zdał sobie sprawę, że martwi się tym, jak Gabrielle oceni jego dom. Wprowadził się do umeblowanego mieszkania. Przywiózł ze sobą zaledwie parę drobiazgów: obraz przedstawiający Biały Dom, niezgrabną biblioteczkę i lampę, w której szklanym cylindrze pływało coś na kształt kawałka lawy lub gigantycznego grzyba. Reszta należała do pani Davenport, a pani Davenport miała ponad osiemdziesiąt lat. Rozłożystą sofę pokrywał zielony, wytłaczany materiał, który odciskał na skórze czerwone ślady. Po lewej stronie stał głęboki fotel obity taką samą, nieprzyjemną w dotyku tkaniną, tyle że w kolorze bordo. Obok niego lampa stojąca z żółtym abażurem ozdobionym jeszcze bardziej żółtymi frędzlami.

Gabrielle podeszła do czerwonej lampy i dotknęła szklanej powierzchni. Z szacunkiem, zauważył zadowolony.

Włączył światło.

- Trochę potrwa, nim się nagrzeje.

Przytaknęła i dalej zwiedzała mieszkanie. Obok znajdowała się kuchnia: ulubione pomieszczenie Marka nie tylko ze względu na jedzenie, ale także na słońce, które tylko tutaj docierało.

Szybko ją obejrzała i wróciła do niego.

-ładnie - odczytał z ruchu warg.

Mark dziwił się jej entuzjazmowi patrząc na betonowe ściany pomalowane na jaskrawą zieleń i żółte zasłony w białe kwiaty wiszące na piwnicznym oknie.

- Właścicielka domu urządziła to mieszkanie - powiedział, chcąc wyjaśnić pochodzenie nie tylko zasłon, ale również czerwonych, plastikowych pojemników na blacie w kuchni oraz dziwacznych magnesów na starej lodówce.

- Jest po osiemdziesiątce i mieszka na górze. Często mi podrzuca klopsiki w sosie, kawałek keksa i takie tam... Wspaniała kobieta, ale ma nikły kontakt z rzeczywistością poza grą wremika.

Już miał przypomnieć o bukiecie stokrotek, który dała dla Gabrielle, gdy wybierali się do jego rodziców, ale się powstrzymał. Pewnie nie lubi, by jej o tym przypominać.

Wiedział, że niepotrzebnie się rozgadał, zupełnie jak ktoś przezywany w dzieciństwie Tygrysem, ale rzadko przyjmował u siebie kobiety. Rzadko osiągał z nimi ten etap znajomości.

i' Wystarczy gadania o sobie. Widział, że Gabrielle jest zmęczona i obolała, więc poprowadził ją do sypialni.

- Nie zdążyłem rano posłać łóżka - wyjaśnił patrząc na kłębowisko prześcieradeł i koców. Kogo oszukiwał? Przecież nie posłał go ani wczoraj, ani przedwczoraj, ani jeszcze poprzedniego dnia.

Gabrielle to nie przeszkadzało. Gdy tylko się ułożyła, do sypialni wsunął się szary, pręgowany kot Marka, by skontrolować sytuację. Zbój zatrzymał się w progu i zrobił gimnastykę poranną: przednie łapki do przodu, tył do góry, ziewnięcie i wyprost. A potem wskoczył na łóżko; zdziwionym, niechętnym wzrokiem zmierzył obcą osobę.

Gabrielle szeroko otworzyła oczy - nawet to podbite - i poklepała miejsce obok siebie zapraszając Zbója.

- Zwykle nie jest towarzyski - ostrzegł Mark.

Jednak ten zdrajca natychmiast wsunął się pod skopaną pościel obok dziewczyny. Miauknął wprawdzie i wiercił się chwilę, żeby jego akcja wyglądała na zbieg okoliczności, ale z rozkoszą ułożył się obok niej.

Gabrielle podrapała go pod szyją, dokładnie tak jak lubił, i Zbój już był jej. Uniósł łepkę i zmrużył ślepią. A Mark w sąsiednim pokoju słyszał zachwycone mruczenie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ptaki.

Śpiewają.

Głośno.

Austin budził się stopniowo, nim wreszcie zdał sobie sprawę, że znajduje się na zewnątrz domu. Na patio. I jest ranek.

Wczesny ranek. Tak wczesny, że słońce dopiero wschodzi. I poczuł, że w takim przebudzeniu na dworze jest coś oczyszczającego, coś niemal duchowego.

Biwak.

Nigdy tego nie robił. A Molly to kilkakrotnie proponowała. Jeżeli dobrze pamiętał, to nawet kupiła parę śpiworów. Ale nigdy nie pojechał pod namiot. A raczej to oni nigdy nie pojechali na biwak. Nie bardzo wiedział, dlaczego.

Sprawdzał stan ciała. Najpierw mięśnie. Chora noga trochę sztywna. Zdrowe ramię w porządku. Chore ramię nieco obolałe, ale wytrzyma, a ból z czasem minie.

Molly.

Czy już wyjechała? Zapewne.

W zwykły dzień wstawała wcześniej. Dziś powinna zerwać się przed świtem.

Najlepsze rozwiązanie, próbował przekonać sam siebie. Jakże mógłby spojrzeć jej w oczy po wczorajszym ekscesie?

Wszedł do domu mocno kulejąc, jak zwykle z rana. Przydałaby mu się laska, ale wczoraj zostawił ją w gabinecie.

160

Jeszcze nie potrafił się zmierzyć z opustoszałym domem, więc ruszył prosto do sypialni na dole, wybrał drogę na skrót przez gabinet i wziął po drodze laskę. Pod prysznicem, gdy woda spływała mu po włosach i twarzy, przypomniał sobie te wszystkie plany, które robił po poprzednim wyjeździe Molly. Kobiety. Przyjęcia. Zamiast tego plątał się po ogrodzie napęlniając karmniki i chowając jej róże w chochoły. Zaczął nawet notować, które ptaki przylatują o jakiej porze: sikory w południe, szczygły o pierwszej, bargieły i kowaliki o różnych godzinach, nieregularnie.

Co zrobi tym razem? Coś naprawdę szalonego? Może kurs robienia przedmiotów z makaronu i fasoli w centrum rehabilitacyjnym? Wykradnie im służbowy mikrobus i pojedzie na przejażdżkę, a potem spędzi wieczór w Lawrence Walk?

Otwierały się przed nim nieograniczone możliwości. Zastanawiał się nad nimi, rozważając każdy sposób spędzania wolnego czasu. Wszystko, byle nie myśleć o odejściu Molly. O powodach, dla których odeszła.

Skończywszy brać prysznic, wytarł się, przeszedł do sypialni i rozpoczął złożony proces ubierania. Zrezygnował z bielizny. Zamiast dżinsów włożył parę krótkich, pasiastych spodenek i biały podkoszulek. Potem przeciągnął palcami po włosach odgarniając je do tyłu.

Obejrzał swoje odbicie w lustrze na toalecie. Miał za długie włosy. Kiedy ostatni raz był u fryzjera? Nie pamiętał. Kiedy ostatni raz się golił? Też sobie nie mógł przypomnieć. Ale cóż to w końcu za różnica? I tak nigdzie nie chodzi. Z nikim się nie spotyka. I

Ten zaniedbany osobnik w lustrze niczym nie przypominał dawnego Austina. Dwa lata temu poprawiałby krawat i szykował się, żeby gdzieś pognać.

Odwrócił wzrok od swego odbicia; skupił myśli na czymś innym. Z nie znanych jemu samemu powodów przypomniał sobie pytania, które Amy zadawała w dzieciństwie. Nie były łatwe. Nigdy na przykład nie spytała, dlaczego niebo jest niebieskie. Ciekawiły ją inne, trudniejsze zagadnienia: czy australijscy pasterze mieszkający w Ameryce mówią po angielsku z australijskim akcentem? Czy robaki żyją, kiedy się je wrzuci do muszli klozetowej i spłucze? A jeżeli tak, to gdzie? Czy rybom thce się pić? Dlaczego spaliny samochodu pachną jak smażone mięczaki? Kto spisał zasady etyki?

Westchnął. Zaczynał się starzeć. Unikał zmierzenia się z pustym domem. Ale nie może bez końca chować się w sypialni. Jednak gdy pomyślał o tych nie kończących się dniach, które ma przed sobą...

Kawa.

Poczuł zapach kawy.

Chwycił laskę i pokuśtykał do kuchni... I znalazł tam Molly stojącą przy kredensie i czekającą, aż grzanka wyskoczy z toster. Nie odeszła.

I też wzięła prysznic. Miała mokre włosy. Opadały na kark i dzinsową sukienkę bez rękawów, tworząc ciemny trójkąt na spłowiałej tkaninie.

Przeciągnął dłonią po zaroście na policzku, a potem po mokrej grzywce opadającej mu na czoło.

Mogliśmy wziąć prysznic razem.

Ta myśl pojawiła się znikąd, nieproszona, głupia. Nigdy nie brali razem prysznic. I nigdy nie wezmą. Molly odchodzi. Nienawidzi go.

- Jeszcze... tu... jesteś - powiedział.

Jej obecność zbiła go z pantałyku. Nie wiedział, jak jej spojrzeć w oczy. Nie wiedział, co mówić i robić.

- Wyjadę za parę godzin.

Z ulgą zauważył, że wrócił jej dawny spokój i panowanie nad sobą. Grzanka wyskoczyła z toster, wyłożyła ją na talerz.

- Przed wyjazdem mam parę rzeczy do zrobienia. Muszę zadzwonić do biura opieki społecznej, żeby ktoś tu przychodził codziennie. - Włożyła dwie kromki, włączyła toster i zaczęła smarować masłem gotowe grzanki. - Będiesz potrzebował kogoś, żeby robił ci zakupy i gotował.

Nie chciał obcych ludzi w domu. I po dniach, tygodniach, gdy czekał na jej nieunikniony odjazd, zdał sobie sprawę, że znów będzie musiał przyzwycząić się do jej nieobecności. W ogóle nie powinna była wracać.

Mocniej wsparł się na lasce, po raz pierwszy zadowolony z oparcia, jakie dawała.

- Nie potrze...buję pomocy.,

- Tylko na jakiś czas. Żebyś przetrwał okres przejściowy.

169

Okres przejściowy? To przecież on miał być porzucony, nie ona. Zaskoczyło go to. Czyżby nie wiedziała, że coś się nieodwołalnie kończy? Ze on pęka?

Nogi pod nim dygotały. Mając nadzieję, że tego nie dostrzegła, przysunął krzesło i usiadł.

- Muszę pojechać do Marka po swój samochód - powiedziała stawiając przed nim grzanki i kawę. - Bez kofeiny - dodała, jak to robiła każdego ranka od dnia jego wylewu.

Nie mógł jeść. Stałoby mu kością w gardle. Starał się, by go nie dotknęła uwaga o Marku, ale przegrał.

- Weź mój samo...chód - powiedział.

- Twój samochód?

Rozumiał jej zaskoczenie. Pozwalał jej nim jeździć tylko wtedy, gdy miała go odprowadzić do warsztatu na przegląd.

- Nie ośmieliłabym się tknąć twojego samochodu.

- Nie będę go po...trzebował - wyjaśnił.

- Kiedyś będziesz.

Czy ona naprawdę w to wierzy? - zapytał się w duchu. Sam też by tak chciał, ale nie umiał wyobrazić sobie siebie za kierownicą pojazdu mknącego gładko po autostradzie. Bez szans.

Skoro się postarała przygotowując dla niego grzanki, nadgryzł kawałek, a potem odłożył na talerz. Stracił apetyt.

Posmarowała dwie grzanki i jadła na stojąco, jakby nie chciała usiąść koło niego.

Postawiła talerz obok tostera, nalała kawę i oparłszy się o kredens popijała gorący napój, skrzyżowawszy nogi w kostkach i wspierając jedną rękę na biodrze.

Pomyślał, że zachowują się tak, jakby w domu ktoś niedawno zmarł: choć myślą o czym innym, automatycznie powtarzają zwykłe czynności, czerpiąc pociechę z normalności.

Oboje zostawili nie dokończone grzanki. Dopili kawę, sprzątnęli ze stołu. Austin schował na miejsce masło i dżem; Molly powiedziała, żeby dać resztki ptakom.

Kiedy i z tym skończyli, zaczęła dzwonić z kuchennego aparatu.

Austin nie chciał słuchać, jak będzie wyjaśniała, jakiej pomocy potrzebuje, co potrafi zrobić, a czego nie. Dlatego spędził ten czas kręcąc się po domu, poprawiając obrazy na ścianach, przetrzepując i układając jaśki na sofie.

Ważne czynności.

Trzy jaśki w jednym końcu, dwa w przeciwnym. Kolory na przemian. Nie można położyć brązowych obok siebie.

Przez cały czas słyszał głos Molly cicho rozmawiającej przez telefon, zadającej pytania. Słuchającej odpowiedzi.

W godzinę później, gdy już przestał udawać, że jest zajęty, Molly znalazła go w salonie wpatrującego się w okno.

- Wszystko ustaliłam - powiedziała. Przerzuciła torebkę przez ramię. Gotowa to wyjścia. - Od jutra kobieta będzie przychodziła tutaj co rano.

Jak ona tak potrafi, zastanawiał się, zaciskając kurczowo dłoń na drewnianej ręczce laski. Jak może się zachowywać tak obojętnie, chociaż została tak zraniona?

Zwłaszcza że została tak zraniona! W jaki sposób udało jej się tak zdystansować?

- Wrócę za parę godzin dokończyć pakowanie i zabrać walizkę - wyjaśniła.

Poprzednim razem był na nią wściekły, że uciekła jak złodziej. Teraz

dochodził do wniosku, że zostawienie listu to najlepszy sposób. Jasno i stanowczo. Bez konfrontacji.

Może go nie będzie, kiedy ona wróci. W ten sposób nie musiałby patrzeć, jak wynosi z domu walizkę.

Ale by się zaniepokoiła, gdyby go nie zastała po powrocie. Spodobał mu się ten trochę dziecinny pomysł. Potem pomyślał, że tym razem on jej zostawi list. Wtedy będzie wolna i bez wyrzutów sumienia.

- Poradzisz sobie sam?

To pytanie i jej szczere zainteresowanie bardzo go zabolalo. Przecież ona odchodzi, skarcił się w duchu. Nie powinna się przejmować, czy on sobie poradzi, czy też nie. Dlatego właśnie ludzie odchodzą. Bo już ich to nie obchodzi.

Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę z wykrzywienia ust.

Cholera.

Odchodzi od niego na zawsze i martwi się, czy sobie poradzi przez najbliższych parę godzin. Czy się będzie dobrze czuł.

- Tak - odparł postanawiając, że gdy tylko Molly wyjdzie, natychmiast zadzwoni do biura odwołać opiekunkę.

- No, to dobrze - odetchnęła z ulgą i lekko wzruszyła ramionami. - Do zobaczenia później.

Ale się nie ruszyła, tylko stała, jakby czekając na jego odpowiedź, na dodatkowe zapewnienie.

Zrobił to dla niej. Będzie udawał, że się tym nie przejmuje. Drobiazg. Otworzył drzwi spodziewając się taksówki na podjeździe i zdziwił się, nie widząc żadnego samochodu.

- Postanowiłam się przejść - wyjaśniła widząc jego zdumienie. Zawsze lubiła chodzić. Kiedy Amy była dzieckiem, Molly zabierała ją na długie spacerunki w wózku. Gdy Amy podrosła, nadal chodziły razem - matka i córka. Austin nigdy się z nimi nie wybrał, choć Amy go prosiła. Wdarłby się między nie. A poza tym trzy osoby razem na spacerze to za dużo. Ktoś zawsze jest z boku.

- Do zobaczenia potem - powiedział.

Patrzył za nią, gdy wychodziła, ale nie chciał patrzeć, jak idzie podjazdem. Zamknął drzwi.

Śmieszne, zawsze myślał o Molly jako o swojej żonie, jakby stanowiła jego część, jakby w jakiś sposób do niego należała. Teraz wydawało mu się to zupełnie idiotyczne.

Rozdział dwudziesty drugi

Molly zatrzymała się na progu czując za sobą dom i obecność Austina po drugiej stronie drzwi. Na tych drzwiach co roku wieszala bożonarodzeniowy wieniec.

Drzwi do domu, w którym dorosła Amy. Przez większość życia dla Molly to miejsce było przystanią, schronieniem.

Postąpiła do przodu i szła podjazdem, myśląc, że trzeba by przyciąć trawę; przy krawężniku, a potem uświadomiła sobie, że to już nie jest jej zmartwienie.

Szła dalej.

Zatrzymała się przy skrzyżowaniu, potem przeszła na drugą stronę ulicy, stopniowo zdając sobie sprawę z otoczenia, duszności wiszącej w powietrzu i gorąca bijącego od asfaltu ulicy.

W sierpniu noce zwykle stawały się chłodniejsze, ale wyjątkowo w tym roku nadal były ciepłe; ranki wstawały upalne i w ciągu dnia panował skwar.

Cóż, piękna pogoda będzie odpowiadała jednej osobie. Austin, który zawsze nienawidził, gdy słupek rtęci mijał linię oznaczającą dwadzieścia stopni, ostatnio polubił wyższe temperatury i wilgotne powietrze.

Zatrzymała się po raz drugi, a może już trzeci?

Plan. Jaki jest jej plan? Powinna zaplanować czynności.

Musi odzyskać swój samochód. I musi się zobaczyć z Markiem. On jest najważniejszy. Zajmuje pierwsze miejsce na jej liście.

W piętnaście minut później dotarła do jego mieszkania i zobaczyła MG zaparkowany przy krawężniku tuż za kombi. Szybko przeszła po trawniku i zapukawszy do drzwi w suterynie, czekała.

Cisza.

Nie wzięła pod uwagę, że może go nie być w domu. Mój dom jest twoim domem. Otworzywszy torebkę znalazła klucz, który Mark jej dał. Przekręciła go w zamku i weszła do środka.

W saloniku panowała ciemność i cisza. Rozejrzała się dookoła, nadal nie umiając pogodzić się z jego nieobecnością, a równocześnie czerpiąc pewną pociechę z otoczenia, z jego rzeczy wokół.

- Miau. Zbój.

Kot otarł się o jej nagie nogi. Uniosła go do góry, przytuliła i podrapała pod brodą. Z kotem w objęciach ruszyła do kuchni.

Zbój wiercił się i nim zdołała go puścić, sam zeskoczył na podłogę; wylądował na czterech łapach z głuchym łoskotem i dalej miauczał głośno.

- Jesteś głodny? - rozejrzawszy się znalazła paczkę suchego jedzenia dla kotów i nasypała mu do miseczki przy kuchence.

Zbój obwąchał pokarm z obrzydzeniem, odszedł i zamiauczał jeszcze donośniej. Molly już miała zajrzeć do lodówki w poszukiwaniu mleka, gdy z głębin sypialni dobiegł jakiś pomruk. Zamarła. Mark. W domu. Śpi.

Oczywiście. Przecież jej powiedział, że na dziś planuje wielkie odsypianie. O Boże! Co on sobie pomyśli, gdy ją znajdzie w kuchni? Rozległy się kroki, ktoś bosy szedł po podłodze.

- No dobrze, już dobrze, wstrzymaj się z bólami.

Mark wszedł do kuchni i na widok Molly stanął jak wryty. Na jego zaspanej twarzy malowało się zdumienie i zmieszanie. Miał na sobie białe szorty i pomięty szary podkoszulek. Włosy na głowie sterczały we wszystkich kierunkach. Nie ogolony.

-Molly?

Po drodze wyobrażała sobie, jak jego twarz rozjaśni się na jej widok. Potrzebowała takiej reakcji, takiego dowartościowania. Zamiast tego patrzył

tak, jakby była ostatnią osobą, której się spodziewał i którą chciałby zobaczyć' w swojej kuchni.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Mark.

Jej przyjaciel. Jej sprzymierzeniec. Mark, który potrafił ją rozśmieszyć i pocieszyć.

Mark, który powiedział, że zawsze znajdzie dla niej czas. Wpatrywał się w nią z wyrazem przerażenia i zdumienia.

- Mark, ja... - zaczęła.

Jej usta zadrżały. Urwała i zacisnęła mocno wargi. Była intruzem. Boże, czy kiedykolwiek w życiu znalazła się w bardziej niezręcznej sytuacji?

- Zbój był głodny - powiedziała wskazując na kota. - Próbowałam go nakarmić, ale...

- Nienawidzi suchego pokarmu - mówiąc to Mark podszedł do lodówki i wyjął z niej plastikowy pojemnik. - O to mu chodzi - włożył do miseczki parę wątróbek drobiowych, na które Zbój natychmiast się rzucił.

Molly nieoczekiwanie doszła do bardzo nieprzyjemnego wniosku. Przez cały ubiegły rok była bardzo z siebie zadowolona, uważając, że stała się niezależna. Ale grubo się myliła. Co zrobiła, gdy w jej życiu pojawiły się trudności? Pognała do Marka.

Przyzwyczaiałam się do niego, pomyślała nagle, czując się niegodna jego przyjaźni.

Opierała się na nim, wręcz uwiesiła. Poprzedniej nocy i dziś rano zdołała się opanować, bo wiedziała, że cały ból, wszystkie uczucia przerzuci na jego barki.

Jakaż z niej egoistka. Zwłaszcza biorąc pod uwagę ich wczorajszą rozmowę.

„Bardzo mi na tobie zależy.”

Czy kiedykolwiek nauczy się na czas rozumieć zdarzenia, a nie grubo po fakcie?

Czy kiedykolwiek osiągnie dojrzałość na tyle, by rozumieć motywy swego działania, kiedy ono trwa?

Aż do tej chwili była właściwie dumna z siebie. Przetrwała ubiegłą noc bez hysterii czy załamania. Przetrwała śniadanie z Austinem. Zdołała nawet wyjść z domu zachowując się absolutnie spokojnie.

A teraz wszystko zaczęło się sypać. Po raz pierwszy poczuła, że traci kontrolę. Coś w niej zaczęło pękać.

Torebka wisiała na oparciu krzesła. Chwyciła ją i przycisnęła do brzucha.

175

Kluczyki do jej samochodu leżały na stole, widać Mark rzucił je tam ,poprzedniego dnia. Złapała je i ścisnęła tak mocno w dłoni, że aż zabolęło.

Zupełnie jakby wcześniej założyła, że przez pewien czas potrafi się trzymać w garści i ten okres właśnie minął.

- Mój samochód - zaczęła gorączkowo. - Przyszłam po samochód.

- Nie zdążyłem sprawdzić silnika.

- Nie szkodzi. To na pewno nic poważnego.

- Gdybyś poczekała...

- Nie! To znaczy, dziękuję - dokończyła spokojniej. - Potrzebuję go zaraz.

Natychmiast.

Sypie się, pęka.

Zresztą cóż by mu mogła powiedzieć? Wydarzenia poprzedniej nocy były zbyt osobiste, zbyt okropne, by je z kimś dzielić, nawet z Markiem. Teraz musi być sama, załamać się w samotności.

Usłyszała dźwięk dobiegający z sąsiedniego pokoju. Sprężyny łóżka. Sytuacja robiła się coraz gorsza. Nic dziwnego, że Mark jest taki zaniepokojony. Ma towarzystwo.

- Przepraszam - powiedziała bez słów, ledwie poruszając ustami, strasznie zażenowana.

- Molly, poczekaj...

Przebiegła się obok niego. Pobiegła w górę schodami, znalazła drzwi, chwyciła klamkę, metal wymknął się jej z rąk; odszukała ją, nacisnęła i wyskoczyła na jasną ulicę.

Pobiegła przez trawnik.

Za chwili coś w niej pęknie. Już za moment.

- Oho, Molly!

Pani Davenport. Staruszka trzepała dywany na białym ogrodzeniu maleńkiego podwórka.

- Wpadnij do mnie na partyjkę remika - zawołała pełna przyjaznych i serdecznych uczuć.

Molly pomachała do niej ręką, ale nic nie odpowiedziała. Miała zbyt mocno ściśnięte gardło. Mimo to z wielką wdzięcznością pomyślała o pani Davenport, za to, że się ucieszyła na jej widok i przypomniała jej o normalnej egzystencji zwykłych ludzi. Ktoś trzepie dywan. Ktoś zamiata podłogę. A ktoś inny żyje jak na obrazkach Rockwella.

Dopadła samochodu. Naukowcy opisując takie chwile twierdzą, że ciało przejmuje kontrolę nad sytuacją i reaguje bez udziału świadomości. Na przykład ręka sama wsuwa kluczyk do dziurki. Szybko!

Nie traciła czasu na próżno. Choć zdawało się, że mózg nie kieruje jej poczynaniami, niemniej wszystkie ruchy odbywały się w należyтым porządku. Szybko!

W ułamku sekundy otworzyła drzwi i wsunęła się na przednie siedzenie.

Równocześnie włożyła kluczyk w stacyjkę i przekreśliła go. Silnik zaszumił.

Wrzuciła pierwszy bieg i nacisnęła pedał gazu.

Dwie przecznice dalej znacznie zwolniła i otarła oczy, po czym jechała dalej, wprost przed siebie. Nie wiedziała, dokąd jedzie. Po prostu jechała. W pewnej chwili pomyślała, że minęła to skrzyżowanie chyba już parę razy. Wreszcie poznała główną ulicę wylotową z miasta. Wjechała na nią i dotarwszy do Cliff Road skęciła w prawo, aż dojechała do parkingu z widokiem na szeroką przestrzeń pól.

Gdy tylko zatrzymała samochód i wyłączyła silnik, popłynęły łzy, z którymi do tej pory zwycięsko walczyła.

Płakała głośno. Obficie. Boleśnie. Nieopanowanie.

Kiedy zaczęła, nie mogła skończyć.

Nie wiedziała, jak długo tu siedzi. Stopniowo zaczęła dostrzegać mijające ją samochody. Wydmuchwała nos i otarła oczy, przyrzekając sobie, że nigdy więcej nie zapłacze. Spojrzała w lusterko. Na twarzy czerwone plamy, oczy całkowicie zapuchnięte. Tusz z rzęs spłynął na policzki.

Ślicznie.

Nie może wrócić do domu. Najpierw jej twarz musi wrócić do normy. Czyli w jej wypadku, jeżeli nie uroni ani jednej łzy, zajmie to parę godzin.

Przekreśliła kluczyk w stacyjce i spojrzała na wskaźnik poziomu paliwa. Niemal pełen bak. Gdyby miała przy sobie walizkę, a Austin nie oczekiwał jej z powrotem w domu, mogłaby teraz ruszyć na południe i jechać prosto na Florydę. Nie wzięła pieniędzy, w torebce jest zaledwie parę dolarów, ale ma karty kredytowe. A na Florydzie może dostanie znów dawną pracę w kwiaciarni.

Wciąż jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że zajeżdża swoim kombi na

molo. Głupio tak myśleć o samochodzie, ale symbolizował jej dawne życie. Oznaczał amerykańską klasę średnią. Piętrowe domy. Ogródki. Trwałe małżeństwa. A teraz, chociaż odzyskanie tego samochodu tak wiele ją kosztowało, uznała, że go wcale nie chce.

Ktoś zjechał z autostrady i zatrzymał się o parę metrów za nią. Spojrzała przez ramię. Młoda para w sportowym wozie. Dzieciaki, niedawno skończyły szkołę.

Będziecie tego żałować.

Jakim prawem zakłócają jej spokój? Czy nie widzą, że chce być sama? Gdyby zobaczyła jedną osobę w zaparkowanym samochodzie, wiedziałyby, że ten człowiek szuka samotności i nie należy mu przeszkadzać. Znalazłaby sobie inne miejsce.

Molly włączyła silnik i wróciła na autostradę. Jadąc poszukała torebki i wyciągnęła z niej parę ciemnych okularów, by ukryć pod nimi zapuchnięte oczy.

Zauważywszy budkę telefoniczną, zatrzymała się obok niej; weszła do środka, gdzie przerzuciła strony książki telefonicznej w poszukiwaniu biura podróży. Kiedy znalazła numer, zadzwoniła, by się dowiedzieć o loty na Florydę.

- Data podróży? - spytała agentka.

Już miała powiedzieć, że jak najszybciej, ale nagle zdała sobie sprawę, że znów robi to samo. Znów ucieka, jak poprzednio. Jak jej matka, która ciągle uciekała. Pewnych rzeczy nie może zmienić. Ale na inne ma wpływ.

- Za dwa tygodnie - odparła. Dzięki temu będzie miała czas, by odwiedzić Amy i małą Mellie. Zobaczyć Sammy'ego i Rachel. Pożegnać się z Markiem. Porozmawiać z prawnikiem.

Zamówiła miejsce, a potem pojechała prosto do biura. W dziesięć minut później bilet już bezpiecznie spoczywał w jej torebce, a ona jechała ulicą, na której nie była od czasu, gdy wybudowano autostradę. Minęła mały motel "Kryjówka". Zwolniła i skręciwszy w najbliższą przecznicę, zawróciła do niego.

W „Kryjówce” mieli czyste pokoje z szydełkowymi narzutami na tapczanach, jasne meble z lat sześćdziesiątych i wygodne łóżka. Włączyła

telewizor, wysoko spiętrzyła poduszki pod głową i wrzuciwszy ćwierć dolara do urządzenia pobierającego opłatę za elektryczność, wpatrzyła się niewidzącym spojrzeniem w ekran.

W dwie godziny później wzięła prysznic, ostrożnie spryskała oczy dużą ilością zimnej wody, ubrała się i wyszła z pokoju, zdziwiona, że w międzyczasie na dworze zrobiło się ciemno.

Gdy podjechała pod dom, okazało się, że stoi ciemny. I zamknięty na klucz. Musiała skorzystać z własnych kluczy, by wejść do środka.

Rzuciła torebkę koło drzwi i zapaliła światło. Na stole kuchennym leżała kartka skreślona drżącą ręką, pismem Austina, które nie poprawiło się od czasu wylewu.

Molly!

Poszedłem do Amy. Nie chciałem być tutaj, kiedy będziesz wyjeżdżała. Pomyślałem, że tak będzie łatwiej dla nas obojga. Wszystkiego dobrego w nowym życiu

Austin

Wszystkiego dobrego. Dlaczego tak napisał? Dlaczego nie napisał nic przykrego?

Coś w rodzaju: „Oddycham z ulgą! Nie mogę się doczekać twojego wyjazdu”.

Dlaczego jej utrudnia? Byłoby jej łatwiej, gdyby go mogła nienawidzić z całej duszy.

Zobaczyła dopisek.

P.S. Koperta jest dla Ciebie.

Dopiero teraz zauważyła dużą, białą kopertę leżącą na stole. Wzięła ją do ręki.

Gruba. Otworzyła ją. Plik banknotów.

Położyła kopertę i jeszcze raz przeczytała list Austina. Potem poszła do gabinetu i włączyła światło. Chociaż napisał, że poszedł do Amy, spodziewała się, że go zastanie siedzącego za biurkiem.

Nie było go tam.

179

Na blacie leżał pomięty list od Seana. Molly usiadła na fotelu i wyprostowała kartkę obiema dłońmi, przeczytała. Gdy skończyła, znów ją zmięła w kulkę i wyrzuciła do kosza.

Wtedy coś zwróciło jej uwagę. Szarobłękitna kulka... Przeszukała papiery i wyciągnęła to. Ptak? Tak, ptak. Kształtny, delikatny, o miękkich skrzydłach, niebieski ptak. Grzybo-ptak. Często je podziwiała w sklepach z pamiątkami, ale nigdy żadnego nawet nie dotknęła. Nigdy nie trzymała w dłoni. Był piękny, intrygujący, nie mogła od niego oderwać wzroku, fascynował ją niczym żaglowiec uwięziony w butelce.

Skąd się tu wziął? I dlaczego wylądował w koszu na śmieci?

Przyglądała mu się uważnie. Obracała w dłoniach. Dotknęła opuszką palca delikatnej powierzchni. Wreszcie postawiła go ostrożnie na biurku i poszła na górę skończyć pakowanie.

Spakowawszy się Molly zniosła na dół swoją zniszczoną i podrapaną walizkę i postawiła ją przy kuchennym wyjściu. Obeszła cały dom, sprawdzając, czy wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Gdy dotarła do wyjścia na taras, zawahała się, nim się wymknęła na zewnątrz.

Było zbyt ciemno, żeby mogła dostrzec budki, ale z łatwością je sobie wyobraziła. Para strzyżyków zagnieżdżyła się w jednej, a w drugiej jaskółki. A dalej ciągnął się jej ogród: pusty, zaniedbany. Mimo wcześniejszych planów w końcu nic nie zasadziła. No cóż. To i tak nie miało znaczenia.

Odwróciła się, by wejść do domu, gdy nagle usłyszała dźwięk dobiegający od strony starego dębu w rogu posesji. Ciężkie skrzypienie gałęzi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Molly nasłuchiwała uważnie.

Austin zawsze dbał o bezpieczeństwo. Wkrótce po przeprowadzce założył wysokie, solidne ogrodzenie. Na tył domu można było się dostać na dwa sposoby: albo przez budynek, albo przed stale zamkniętą boczną furtkę.

Już niemal uznała, że słuch ją omylił, gdy wtem...

Znowu!

Usłyszała ponownie ten dźwięk.

Noc była spokojna. Powietrze gorące i duszne. Wiatr nie poruszał nawet kosmykiem włosów, a co dopiero gałęzią drzewa. Ktoś tam był. Ktoś siedział na huśtawce.

Austin?

Srebrna poświata księżycy nie dawała dość światła, by rozjaśnić mroki panujące pod dębem. Choć nie widziała, kto jest na podwórku, nie bała się, wyczuwając, że to nie obcy, lecz Austin.

Mimo to instynkt nakazywał jej ostrożność. Ruszyła wolno po stopniach tarasu.

Jeszcze wolniej szła po trawniku.

- Austin - szepnęła. Odpowiedziała jej cisza.

Zaczęła się wahać. Może to nie on?

- Austin? - nie zdołała opanować drżącej nutki w głosie. Tym razem jej odpowiedział.

-Molly.

Tylko jej imię. Nic więcej. Wymówił je oznajmującym tonem. Ale w tym

jednym słowie wyczuła coś więcej. Coś bardzo przypominającego smutek, coś, czego wcale nie chciała analizować, co budziło niepokoje, których nie chciała żywić. Jeżeli pozwoli, by ogarnęło ją współczucie, osłabnie jej wola; wtedy znowu stanie u progu powrotu do starych układów. Podeszła bliżej.

- Od dawna jesteś w domu? - zapytała.

Nie odpowiedział, więc głośno wyraziła swe podejrzenia.

- Czy w ogóle pojechałeś do Amy? Cisza. A po chwili:

- Nie.

Pomyślała o liście. Pomyślała o pieniądzach, które jej zostawił. Pomyślała o wyrzutach sumienia, które dostrzegła na jego twarzy poprzedniej nocy.

Podeszła jeszcze bliżej, tak blisko, że oparła się o pień dębu. W tym miejscu był tak szeroki, że czworo ludzi trzymając się za ręce nie mogło go objąć. Był wielki.

Potężny. Bóg wie jak stary. Molly wyobraziła sobie grube korzenie dębu tkwiące w ziemi. Jest wytrzymały. Jak skała. Jedyny w całej okolicy.

Dąb przypominał jej trochę Austina - porównanie, które by go zdumiało. Nie był miłośnikiem przyrody. Ale z drugiej strony, gdy jeden z sąsiadów chciał wyciąć drzewo narzekając na cień rzucany na ogród i liście spadające jesienią na jego posesję, Austin się nie zgodził. Wtedy Molly uznała to za przejaw uporu męża.

Teraz już nie była tego pewna.

- Czy to Chris zawiesił tę huśtawkę? - spytała. Pełna namysłu cisza.

- Tak - powiedział w końcu.

- Dobry z niego majsterkowicz. Austin przyznał jej rację.

- i dobry dla Amy.

Na chwilę zapadło milczenie. Molly słuchała dźwięków nocy zastanawiając się, dlaczego Austin wyszedł na dwór i co sobie teraz myśli. Czy kiedykolwiek potrafiła to zrozumieć?

- Molly?

Czekała.

- Jeżeli cię dotknę... nie uciekaj, dobrze? Proszę, nie uciekaj. I znów to samo.

Smutny ton w jego głosie.

175

I znów to samo. Słabnie siła jej postanowień. Życie jest o wiele prostsze, gdy się wie, kogo uznać za wroga.

- Nie - szepnęła. - Nie ucieknę.

Wyciągnął ku niej rękę. Palcami dotknął jej ramienia, wiódł nimi po skórze, aż chwycił ją za dłoń. Pociągnął ku sobie. Z wahaniem zrobiła krok, potem drugi. Uniósł jej dłoń... i pocałował. Całował jej obgryzione paznokcie, których się wstydziała i za które się ciągle karciała, ustami dotykał wnętrza dłoni, kostek na palcach. Czula jego drżący oddech. Po chwili przycisnął jej dłoń do policzka. Czula ostry zarost. Czula ciepło jego skóry.

I choć próbowała uzbroić się przeciw niemu, nie mogła. Nie została w niej ani odrobina złości. Wypełniał ją jedynie słodki, nieznośny smutek. Smutek tysiąc razy gorszy do złości.

Nagle zdała sobie sprawę, że chce go pocieszyć. Musiała zwalczyć pokusę objęcia go ramionami i przytulenia jego głowy do piersi.

Austin nigdy nie budził w niej takich uczuć. Przez całe życie troszczyła się o bliskich. O Sammy'ego... Amy... Lecz Austin był tak mocny, tak niepokonany. Nigdy nikogo nie potrzebował. A już na pewno nte potrzebował jej.

Zaskrzypiała gałąź nad nimi. Z kępy wysokiej trawy pod płotem dobiegało głośne granie świerszczy. Austin ujął jej obie ręce w dłonie.

- Pamiętasz tamten dzień niedługo po naszym pierwszym spotkaniu? - spytał. - Było ciemno. Zabrałem cię do parku... i huśtałem na huśtawce? Pamiętasz?

Przypomniała sobie dopiero po chwili.

- Tak.

Śmiali się wtedy razem. Ale od tego czasu w ich małżeństwie było bardzo mało śmiechu. Co się z nimi stało? - zapytała samą siebie, Gdzie się podziała tamta radość? Dlaczego dwoje tak nie pasujących do siebie ludzi w ogóle się pobrało? Czy kiedykolwiek łączyła ich choć odrobina miłości? Czy kiedykolwiek ich małżeństwo było szczęśliwe?

Musiała przyznać, że Austin dał jej jedno, czego Jay nigdy nie zdołał: poczucie bezpieczeństwa.

Musiała także przyznać, że przez krótki czas znaleźli się na drodze, na której mieli stać się rodziną. I niemal się nią rzeczywiście stali. Ale wystarczyło jedno nieostrożnie rzucone słowo, jedno spojrzenie, by cała ta delikatna konstrukcja się rozsypała.

- A ty usiadłaś... przy mnie - powiedział Austin.

Prawda. Też o tym zapomniała. Siedzieli naprzeciwko siebie, jak kochankowie.

Stała teraz przed nim, a on trzymał jej dłonie. Ponad nimi, za liśćmi na gałęziach, ponad liniami kreślonymi przez odrzutowce, nad stratosferą i jonosferą, lśnił księżyc jak z obrazka - tak go nazywała Amy. Jego światło było dyskretne, poświata wątła. Przynosił pociechę niczym świeca paląca się w oknie. A pod nim, pod osłoną z liści, stali oni, owinięci w atramentową czerń nocy.

Przyciągnął ją bliżej do siebie, tak że dotykali się kolanami.

- Padał śnieg - powiedział.

Tak. Rzeczywiście padał śnieg. To też umknęło jej z pamięci. Ale nagle przypomniała sobie, jak mocne były jego ramiona. Jak bezpiecznie się poczuła w ich objęciu.

Niemal go pokochała. Może by go pokochała, gdyby wszystko ułożyło się inaczej.

- Zmusiłem cię, żebyś włożyła moje palto.

Otulił ją ciepłym i grubym paltem pachnącym zimnem.

Co się stało z tą parą? Gdzie oni się podziali?

Nie wiedziała, co ją skłoniło do następnego kroku - nigdy nie inicjowała niczego między nimi - nagle zsunęła z nóg sandały; pod bosymi nogami poczuła chłodną i mokrą trawę. Trzymając obie dłonie na sznurach huśtawki, stała twarzą do Austina z kolanami przy jego kolanach. Przytrzymał ją w pasie, kiedy wsuwała nogi po obu jego stronach, a letnia sukienka podjechała wysoko.

Ujmując ją za pośladki przysunął mocniej do siebie. Molly uchwyciła sznury tuż pod jego dłońmi.

- Gotowa? - szepnął.

Zupełnie jak dawny Austin. Ten, którego zniszczyła, a który teraz się jej przypomniał. Silny, pewny siebie mężczyzna, o tak głębokim głosie, że aż rezonował o jej policzek. A jednak był to inny Austin. Bardziej dojrzały.

Wrażliwszy. Połączenie tych dwóch ludzi tworzyło kogoś obcego, kogo zupełnie nie znała.

Czy jest gotowa?

- Tak - odparła.

Nie od razu im się udało. Na początku pracowali przeciw sobie, każde z nich wykonywało identyczne ruchy w tej samej chwili. Wybuchnęli śmiechem i spróbowali jeszcze raz.

Austin odepchnął. Molly pochyliła się do tyłu, by nadać rozpęd w drodze powrotnej. Wreszcie się zgrali i huśtawka bujała się coraz wyżej.

- Nie za wysoko - zawołała zdyszana.

- Do gwiazd.

Mówili cicho, ich oddechy się mieszały. W jednym rytmie, razem. Małżeństwo.

Po dłuższej chwili Austin zwolnił i Molly się rozluźniła; zaplótłszy nogi w kostkach i wyprostowawszy ramiona, przechyliła się do tyłu unosząc twarz ku niebu.

Przy wolniejszym ruchu mocniej poczuła ich ciała, a zwłaszcza ciało Austina.

Siedziała mu na kolanach obejmując go nogami w pasie. W dole pośladków czuła nabrzmiewającą męskość.

Oparł nogi na ziemi i zatrzymał huśtawkę.

- Molly - odezwał się z wysiłkiem. - Myślę, że powinnaś zejść. Ja... Nie chciała przestać. Ogarnęły ją uczucia, których nie doświadczała od

bardzo dawna. Krew szybciej płynęła w żyłach, docierając do każdej komórki, każdego zakończenia nerwów. Jakby wewnątrz gromadziła się elektryczność

szukając centrum. I wtedy właśnie Molly zrobiła jeszcze coś, co nie zdarzyło jej się nigdy przedtem: zamknęła mu usta pocałunkiem. Jej rozchylone wargi dotknęły jego.

Miękko.

Nieśmiało.

W pierwszej chwili nie zareagował, zupełnie zaskoczony. Ale potem, bardzo powoli, jakby się budził, odpowiedział tym samym. Trzymając dłonie wysoko na sznurach huśtawki, pocałował ją, wargami pieszcząc jej usta.

Ostrożnie.

Niepewnie.

Pocałunek nabierał głębi. Austin wsunął język w jej usta. Mokre.

Zimne i gorące.

185

Jego dłonie sunęły po jej ramionach, łokciach, w dół, aż pod pachy; tu ją podtrzymały, a nacisk palców powodował słodkie, gorące pulsowanie w dole brzucha.

Wtem oderwał usta od jej warg i przytulił twarz do jej szyi.

- Co się dzieje? - wyszeptał z trudem.

Poprawiła się tak, by mu było wygodniej i by się znalazł w ciepłe jej ud.

- Nic nie mów - odparła. - Nawet nie myśl.

- Molly, nie mogę. Nie po...

Wczorajszej nocy chciał dokończyć, ale mu nie pozwoliła. Przycisnęła palce do jego ust.

- Nie mów.

Zupełnie jakby Austin tym razem wziął pod uwagę jej uczucia. W takim razie nie pozwoli, by nic z tego nie wynikło. Wytrwale szukała dłonią między ich ciałami, palce przesuwają się po jego wzwiedzionym członku; szybko znalazła rozporek w szortach i stwierdziwszy, że nie ma pod spodem bielizny, łatwo uwolniła gorącą męskość.

Jęknął i podciągnął do góry sukienkę szarpiąc materiał z tyłu. Miała głęboko wycięte rriajteczki z delikatnej tkaniny. Wsunął dłoń pod trójkąt materiału, a palce szybko znalazły to gorące i wilgotne miejsce.

Wydała niecierpliwy, namiętny okrzyk.

Zupełnie nie rozumiała, co się dzieje. Wiedziała tylko, że chce go mieć w sobie.

, .Odpowiadając na jej pragnienie odciągnął na bok pasemko tkaniny. Ustawił się gotów do wejścia, gdy wtem się zatrzymał.

- Ty to zrób - szepnął, a jego oddech pieścił jej szyję. - Wejdz na mnie.

Rozumiała, że Austin po wydarzeniach wczorajszej nocy chce, by zjednoczenie było jej dziełem. Ale nie wiedziała, czy starczy jej odwagi. Przejmowanie inicjatywy nie leżało w jej naturze. Lecz posunęła się już za daleko, by się cofnąć. Nie może zawieść Austina. I nie może zawieść siebie.

Uniosła biodra. Czowała między udami natarczywe ciepło. Pchnęła. Nic. Spróbowała jeszcze raz.

- Nie mogę - załkała ze złości i wstydu.

Już jej nie całował. Jego dłonie nie pieściły jej ciała. Między nich natarczywie wdzierają się rzeczywistość niszcząc rozkoszne szaleństwo. Zaczęła się denerwować. Wrócił dawny strach...

Austin czuł napięcie jej mięśni, które stwarzało między nimi barierę mocną niczym błona dziewicza.

Spróbowała raz jeszcze.

Mimo że on był gotów, nic się nie działo. I nic się nie stanie, pomyślał. Przynajmniej nie teraz. I nie w ten sposób.

- Cii - szepnął. - Czekaj.

Uspokajał ją ujmując twarz w dłonie, a gorąco jej policzków niemal parzyło mu palce. Ustami dotknął jej czoła, nosa, szukając warg.

- Cała noc - szepnął pocieszająco. - Przed nami cała noc.

Włożył dłonie pod sukienkę; szeroko rozpostarte palce wędrowały w górę ud.

Wsunął je pod jedwabne majteczki, objął pośladki i uniósł kołysząc rytmicznie.

Pochyliwszy głowę, całował jej usta, szyję. Smakując słonawą skórę obciągnął ramiączka sukienki odsłaniając piersi. Pochylił głowę i ujął jedną z nich w usta, gorący, mokry język okrążał sutkę wsysając ją głęboko.

- Nagi - wymknął mu się szept.

Palce jej dłoni błędziły wśród jego włosów.

- Co? - spytała półprzytomnie.

Stracił umiejętność formułowania zrozumiałych myśli. Nie potrafił złożyć pełnego zdania.

- Chcę - powiedział. - Nagi.

- Ja też.

Przerwał na chwilę pieszczotę, by walczyć z podkoszulkiem. Pomogła mu przeciągnąć przez głowę, potem rzucił go na ziemię. Czuł na torsie sutki mokre od pocałunków. To jeszcze bardziej wzmogło jego podniecenie, krew żywiej pulsowała, pragnął jej jeszcze mocniej. Wsunął dłoń w majteczki. Wygoliła wszystkie włosy łonowe. Rany. Zupełnie naga skóra. Jakie pociągające.

Chciał ją zobaczyć, spróbować. Objął wargi sromowe całą dłonią rytmicznie poruszając nadgarstkiem. Jęknęła i wpiła palce w jego ramiona, równocześnie wydając ciche jęki pragnienia i rozkoszy.

Wsunął w nią palce. Była mokra. Gorąca. Tym razem gotowa. Poruszał palcami tak, by równomiernie rozprowadzić śluz i ułatwić wejście.

- Chcesz mnie... w środku? - szepnął. Znów wpiła się w jego ramiona. -Tak.

- Czy mi ufasz?

- Tak - odparła po chwili. Pocałował ją w usta.

- To dobrze.

Ujął jej dłonie, uniósł wysoko nad głowę i zaplótł palce wokół sznurów. Powiodł dłońmi po jej wyprężonych piersiach, gładząc, ugniatając... wreszcie **zsunął** je w dół, ku udom.

Podniósł ją całą do góry.

Wstrzymał oddech... i wsunął się w nią.

Powoli.

Zacisnęła mięśnie. Ta jej część, która była tak miękka, mokra i gorąca, teraz stwardniała. Zatrzymał się właściwie u progu, dając jej czas na oswojenie. A potem posunął się odrobinę dalej.

Uniósł dłoń do jej gorącej twarzy i ze zdumieniem stwierdził, że poci się tak samo jak ona, a jego dłoń drży.

- Dobrze? - spytał, gdy tors unosił się i opadał, a on walczył z pragnieniem zawładnięcia nią całkowicie. Ich krótkie, urywane oddechy mieszały się. Czuł dotyk jej piersi, paliły go jej gorące sutki.

- Molly...?

Pod dłonią poczuł jej przytakujące skinienie głową i namiętne pragnienie.

Przycisnął usta do jej warg i powoli wsuwał się dalej... naciskając... badając drogę...

- Dobrze? - spytał zduszonym głosem.

W odpowiedzi objęła go mocniej udami w pasie i wciągnęła głębiej w siebie. Z jego ust wydarł się jęk; ogarnęła go pierwotna żądza, by opuścić ją na trawę i wbić się w nią z całej siły.

- Trzymaj się - szepnął. Trzymaj się.

Kiedy Molly słyszała po raz ostatni to zdanie? Tuż przed rozpoczęciem szalonej jazdy na zjeżdźalni w wesołym miasteczku. Spodziewała się lęku, ale on się nie pojawił. Austin przejawiał nie znaną jej wcześniej delikatność. Naprawdę mu ufała. Chwycił sznury ponad jej dłońmi. Nagi tors przy nagich piersiach. Twardość przy miękkości. Czują szorstkie włoski ocierające się o jej sutki i to budziło w niej głęboki, słodki ból.

181

Czy stracił wszystkie zahamowania? - pytała samą siebie. A ona?

Pod pośladkami czuła napięte mięśnie nóg, gdy wsunął się w nią, lecz tym razem wszedł głębiej, a rytmiczne ruchy wywoływały jakby mrowienie, niczym maleńkie kaskady ogni sztucznych połączonych z głębokim, wewnętrznym rezonansem.

Żadne marzenia erotyczne, jakie miewała w życiu, nie równały się z tym, co teraz czuła. Ruchy ich ciał: pot, mocny dotyk, lekki dotyk, pauza, a do tego wrażenie lotu na huśtawce, gwiazdy i księżyc migoczące przez liście.

Co jakiś czas odpychał się nogami od ziemi i huśtawka wznosiła wyżej. W takiej chwili wsuwał się w nią odrobinę głębiej, aż cała jej uwaga była skupiona na oczekiwaniu na ten ruch. Czekwała na ten moment i za każdym razem boleśnie zbliżała ją to do chwili spełnienia.

- Boli? - spytał cicho przy kolejnym pchnięciu, a ona się zaniepokoiła, czy nie krzyknęła z rozkoszy. Coś w niej rosło, stając się bólem-rozkoszą nie do zniesienia.

- Molly?

Pyta? Zadał jakieś pytanie? Boli? Czy boli? Tak, ale to ból rozkoszy, słodkie,-mordercze pragnienie.

- Nie. Wcale.

Była wyprężona, napełniona, a jednak czegoś pragnęła. Jej ciało było niesłychanie wrażliwe. Czuła każdy najmniejszy skrawek jego pulsującej męskości. Chciała, by został tam na zawsze. Chciała...

Poruszyła udami, starając się jeszcze bardziej zbliżyć do niego i jakoś przekazać swe pragnienie. Ale czego pragnie? Czego chce?

Jego.

Chciała jego.

Głębiej. Mocniej! Pragnęła... Chciała... Czegoś... Może ziemi, może...

Pchnął mocniej i jej myśli się rozpierzchły.

Poleciała do tyłu, on do przodu. Jęknęła i wydała cichy okrzyk zdławionej rozkoszy.

Coś się w niej zaciskało coraz bardziej, parło do kresu, tak blisko, już zaraz...

Ugiął nogi i huśtawka popłynęła do tyłu. Do przodu i znów do tyłu. A potem

zwolnił, aż niemal przystanęli tak, że mógł jej dotknąć. Gdy Molly

189

kurczowo trzymała się lin, on powiódł dłońmi po jej mokrym od poru ciele. Wyjęczał jej imię i poczuła, jak się rusza w jej wnętrzu. Chciała puścić sznury i go dotknąć, ale wiedziała, że jeśli to zrobi, upadnie na ziemię. Pragnęła... chciała...

Jego usta dotknęły jej piersi, zęby leciutko przygryzały sutek. Wygięła się ku niemu.

- Austin, chcę...

- Czego? - jego oddech łaskotał jej gorącą skórę, gdy dłonie podtrzymywały ją w pasie. - Czego chcesz?

To nastąpiło. To dziwne coś. Obejmowanie, zaciskanie, pożądanie, pragnienie.

- Ciebie. - Nie wiedziała, co mówi. To tylko słowa. Nic więcej. - Chcę ciebie.

Czuła pod sobą spięte mięśnie ud. Oderwał ręce od jej ciała. Chwytał liny i odepchnął się, a huśtawka poleciała do tyłu, potem do przodu. Wtem gwałtownie się zatrzymał. Przywarła do niego. Była wciśnięta w niego, otulała go i jego męskość posyłała w nią fale rokoszy przepływające niczym prąd elektryczny.

Myślała, że to już koniec, ale on się nie zatrzymał. Wsuwał się w nią raz po raz, za każdym ruchem jego uda unosiły ją w górę, do gwiazd, ku niebu...

Nigdy, nigdy wcześniej...

Poczuła coś dziwnego, jakby głęboki ucisk w środku łona. Puściła sznury i obiema rękami chwyciła Austina za ramiona.

Jęknął i na moment się zastanowiła, czy czuje ucisk jej mięśni wokół siebie.

A wtedy wszystko straciło znaczenie. To, co pozostało z rzeczywistości, rozwiało się, gdy płynęły przez nią fale i gdy wreszcie bez sił opadła na niego.

Huśtawka trwała bez ruchu. Austin obejmował Molly ramionami, podtrzymywał, gdy leżała osłabła na jego torsie, ręce opuściła po bokach, mokre włosy przylepiły się do policzka.

Niemal uwierzyła, że nigdy wcześniej ze sobą nie współżyli, że to ich pierwszy raz, skoro wszystko wydawało się tak niezwykle nowe.

Odsunął pasmo włosów z jej szyi.

- Molly? - W jego głosie brzmiał niepokój, ale była zbyt zmęczona i wyczerpana, by odpowiedzieć. - Molly? - delikatnie nią potrząsnął. - Molly, co u licha? Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

- Na pewno?

Znów przytaknęła. Głęboko zaczerpnęła powietrza, zdając sobie sprawę z lekkim zdumieniem, że właśnie po raz pierwszy w życiu doświadczyła orgazmu.

Kiedy wreszcie mogła się ruszyć, uwolniła się z objęć Austina, a gdy stanęła, nogi niemal się pod nią ugięły.

Teraz Austin wiedział, dlaczego Francuzi określają to jako „trochę umrzeć”. Nie mógł ustać na nogach, więc osunął się na ziemię i przewrócił na plecy, a ponad nim wirowały gwiazdy. Molly położyła się obok opierając dłoń na jego torsie.

- Austin, dobrze się czujesz?

- Tak — zdołał wykrztusić.

Ale prawdę mówiąc to sam nie wiedział. Nogi i ręce dygotały, serce łomotało w piersiach. Ale nic go nie bolało. Nie przypuszczał, by to znów go dopadło.

Kiedy wreszcie jego oddech się wyrównał i powoli zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co się stało, ogarnął go lęk i obawa przed stanięciem twarzą w twarz z Molly. Dlatego leżał dalej na plecach oparłszy głowę na przedramieniu i wpatrywał się w gwiazdy, gdy tymczasem nocne powietrze wolno suszyło spocone ciało.

Molly leżała obok niego. Gdyby odwrócił głowę, zapewne dojrzałby jej zarys. Ale tego nie zrobił.

Zrozumiał, że jest zawstydzony. A równocześnie... Tak. Został starty w proch.

Chciał jej dotknąć, objąć ramionami, wdychać woń jej skóry, włosów. Ale po współżyciu nigdy się nie dotykali. Z drugiej strony jednak nigdy tego nie robili w taki sposób jak przed chwilą...

Wiedział, że w tym momencie musi zachowywać się delikatnie, użyć właściwych słów.

184

-Jak myślisz... - zaczął. Urwał. Przełknął ślinę.

Czekała. Wyczuwał jej oczekiwanie. A więc spróbował jeszcze raz. -Jak myślisz, czy rybom chce się pić?

- Co takiego?

Sądząc po zdumieniu brzmiącym w jej głosie musiała uznać, że się przesłyszała. Ale natychmiast się roześmiała. Dobrze i to. Sto razy lepsze od łez. Chyba zapadłby się pod ziemię, gdyby zaczęła płakać.

- Ryby. Czy im się chce pić? Zwłaszcza ocea...nicznym? Tylko pomyśl. Wkoło wyłącznie słona woda.

- Sama nie wiem - odpowiedziała powoli.

Z oddali dobiegł ich daleki huk grzmotu. Po niebie przeleciała błyskawica.

- Burza - szepnęła przerażona Molly.

- Chodź szybko. - Czuł się jak pijany i wcale się tym nie przejmował. Szumiało mu w głowie, ale świetnie się przy tym bawił. - Poszukajmy najwyższego wzgórza...

Stańmy pod wielkim drzewem... - powiedział odrzucając zasady chłodej logiki. - ...Zagrajmy w golfa.

Przetoczyła się ku niemu nadal trzymając dłoń na jego torsie. Czuł każdy jej palec. W ciemnościach majaczyła mu jej twarz tuż nad jego twarzą.

- Austin? Na pewno dobrze się czujesz?

Dobrze? Każdy mięsień był wiotki. Jeżeli spróbuje wstać, wszystkie kości się w nim pokruszą, jak wymoczone w occie - pamiętał to z doświadczeń w szkole na biologii. Ale w głowie mu szumiało.

Tak jest.

Znów zagrzmiało i błysnęło. Poczuł, jak Molly się kuli.

- Uciekajmy do domu - powiedziała.

Poruszyła się, ale przytrzymał jej dłoń, przyciskając ją do piersi, do serca.

- Grzmi na suszę - wyjaśnił. - Popatrz na gwiazdy. Żadnych chmur. Poczuł, jak się odpręża. Nie był pewny, czy powinien puścić jej dłoń.

Nie chciał, ale... Wyobraził sobie, jak unosi ją do ust i całuje opuszki palców.

Poczuł jej miękkie włosy ocierające się o skórę, a potem ciężar głowy na ramieniu.

185

- Śpiąca - szepnęła niewyraźnie zduszonym głosem.
Nie pojmował, co się dzieje, lecz w tej chwili nie zamierzał się nad tym zastanawiać.
Wyjął ramię spod głowy i otoczył ją, zdumiony, gdy mocniej się do niego przytuliła.
Myślał o tym, co wyrwało jej się wcześniej. Nie umiał uwierzyć w te słowa, bo
nigdy wcześniej mu ich nie powiedziała.
Chcę ciebie.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dopiero parę godzin później Austin i Molly poszli do domu. I to nie bez trudności. Austin był tak słaby, że Molly musiała mu pomagać, ale tym razem mu to nie przeszkadzało. Sprawiał mu przyjemność uścisk jej ramion wokół pasa, dotyk jej ciała przytulonego do niego. Nawet roześmiał się, gdy omal nie upadli, bo ze zmęczenia był znacznie mniej ostrożny niż zwykle.

Ta bliskość między nimi utrzymała się do chwili wejścia do domu, gdzie zobaczyli jej walizkę czekającą przy drzwiach do garażu.

Poczuł się tak, jakby go ktoś z całej siły uderzył w splot słoneczny. A potem bez słowa czy spojrzenia w kierunku żony uwolnił się z jej objęć i poszedł prosto do sypialni na dole.

Molly patrzyła niepewnie, nie wiedząc, czy za nim pójść. Nadal się zastanawiała, gdy w parę minut później usłyszała szum wody pod prysznicem i uznała, że mąż sobie poradzi.

Nie myśl, powiedziała sobie. Nie myśl i już. Postanowiła, że nie będzie się starała zrozumieć, co zaszło pod dębem. Nie teraz. Może potem, jak się wyśpi.

Nadal trwała w swym postanowieniu, gdy w dwadzieścia minut później zorientowała się, że prysznic szumi bez przerwy.

Podeszła do sypialni męża i zastukała do drzwi.

- Austin? - spytała.

Nie odpowiedział, więc weszła do środka i ruszyła pod drzwi łazienki. Nie zamknięte na klucz.

- Austin?

Wewnątrz znajdował się prysznic z brodzikiem, bez wanny. Prosta

konstrukcja, żeby Austin mógł bez trudu z niej korzystać, nawet gdy się ile czuł. Za mleczną szybą widziała ciemny zarys.

Sercft w niej łomotało, gdy otworzyła drzwi kabiny prysznic.

Austin siedział na ławce, którą mu tu wstawili, gdy wrócił ze szpitala; oparł głowę o ścianę, zamknął oczy. Woda płynęła z sitka na tors, mokre włosy wydawały się ciemniejsze.

- Austin?

Powoli, jakby to wymagało niezwyklej siły, otworzył oczy i popatrzył wprost na nią.

- Wiesz... - zaczął tonem swobodnej konwersacji niczym w czasie rozmowy nad kuchennym stołem, a nie pod prysznicem. - Tak sobie myślałem... - Mówił coraz wolniej, aż wreszcie urwał. Wyciągnął do niej dłoń.

Stała jedną nogą na ceramicznych płytkach pod prysznicem. Wciągnął ją do środka tak jak stała, w ubraniu. Mogła bez trudu się wyrwać, ale tego nie zrobiła. Wręcz przeciwnie: zamknęła za sobą szklane drzwi.

Nie odrywając od niej wzroku przyciągał ją coraz bliżej, aż posadził na kolanach, prysznic oblewał ich oboje, woda spływała po jej włosach, twarzy i szyi, a dzins sukienki nabierał ciemniejszej barwy.

W obłokach pary unoszącej się wokół uniósł dłoń Molly do ust. W oczach pojawił się cień kpiny z samego siebie i jakby wyzwanie skierowane ku niej.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Ani co robić. Nadal nieporadnie starała się usunąć ze świadomości wcześniejsze wydarzenia, a teraz jego zachowanie jeszcze bardziej to utrudniało.

- Myślę, że ruszę na Północ - powiedział z namysłem, a te słowa zaskoczyły ją równie mocno, jak czyni.

- Północ? - spytała otumaniona; jej umysł nie zdołał przestawić się na zmianę tematu.

- Wisconsin. Może Minnesota.

Puścił jej rękę i przymknąwszy oczy znów oparł głowę o ścianę. Myślała, że usnął, ale znów się odezwał.

- Wynajmę domek kempingowy nad jeziorem. Ryby. Obozowisko. Ryby?

Obozowisko? Nigdy nie chciał jechać pod namiot." Zawsze twierdził, że tylko głupcy śpią na dworze, skoro mają własny dom.

- Miło jest obudzić się na dworze.

Austin. Praktyczny, zorganizowany Austin. Na polu namiotowym. Czy sobie poradzi?

- Jak się tam dostaniesz? - spytała próbując przywołać go do rzeczywistości.

Lekko wzruszył ramionami.

- Może pojedę autobusem. Nie wiem.

To mówi mężczyzna, który z rocznym wyprzedzeniem miał zaplanowaną każdą minutę życia.

Nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest na to nie przygotowany, pomyślała. W najmniejszym stopniu.

Przypomniała sobie o bilecie lotniczym w torebce. A potem o pokoju w motelu na skraju miasta. Wyobraziła sobie Austina wyruszającego samotnie na kemping.

- Może bym cię zawiozła? - spytała. Szeroko otworzył oczy.

- A co z Flo..ry...dą? - był tak zmęczony, że przesyłabizował ostatnie słowo.

- Mam rezerwację na ósmego września. Zamyślił się na moment. '

- Który jest dzisiaj?

- Dwudziesty szósty. V

Gdy zmarszczył brwi, a w jego oczach pojawił się nieobecny wyraz, dodała:

- Dwudziesty szósty sierpnia. Odprężył się.

Czy to możliwe, żeby nie wiedział jaki jest miesiąc?

- Woda robi się zimna - zauważyła. Przytaknął, ale się nie ruszył.

Sięgnęła do kurka i zakręciła go. Nie wiedziała, co dalej robić, a ponieważ Austin znów przymknął oczy, więc wstała i ściągnawszy z trudem mokrą sukienkę, rzuciła ją na podłogę.

Z majteczkami poszło jej trudniej. W końcu jakoś je ściągnęła. Kiedy wreszcie się od nich uwolniła, stwierdziła, że Austin otwarcie jej się przygląda. Nadal miała opaleniznę, która go wyraźnie zainteresowała.

Pod jego spojrzeniem uświadomiła sobie, że między udami czuje ciepło i lekkie swędzenie, co nie było nieprzyjemne, oraz przypomniała sobie wszystkie miejsca na ciele pieszczone jego ustami.

Już miała sięgnąć po ręcznik, gdy dotknął wżgórka łonowego, który wcześniej pokrywały włosy. Delikatny ruch.

- To jest bardzo... pociągające... - oświadczył z namysłem, - Kiedyś chciałbym... - urwał.

- Co? - zapytała wstrzymując oddech. - Co byś chciał? Pokręcił głową.

- Nieważne - znów ją pogładził.

- Powiedz - jej głos drżał.

- Wyobraziłem sobie swój język właśnie tam... Zastanawiałem się, jaki masz smak. I co byś na to powiedziała...

- Że czytałeś broszury doktora Fishera - wykrztusiła z trudem. Uśmiechnął się do niej lekko wykrzywionymi ustami i zabrał dłoń.

W tym momencie uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczony, skoro wypowiada każdą myśl, która przychodzi mu do głowy, i nie cenzuruje jej.

- Wystarczy - chwyciwszy ręcznik owinęła się nim, a potem drugim energicznie wytarła Austina. Kiedy skończyła, owinęła go ręcznikiem w pasie i zaprowadziła do łóżka. Padł na nie bez sił.

- Zawsze chciałem... wziąć z tobą prysznic - wymamrotał przed uśnięciem.

Sześć godzin później Molly obudziła się z Austinem uśpionym u boku, Sen najlepiej pomaga ustawić wszystko we właściwej perspektywie. CZY ONA CAŁKIEM OSZALAŁA? Cóż ona u licha robi? Co ona sobie myśli?

Napięcie i przeżycia ostatnich dwudziestu czterech godzin doprowadziły ją na skraj wytrzymałości, ot co. Atak Austina, potem nie przespana noc, ta straszliwie krępująca sytuacja i przegrana u Marka - ile człowiek potrafi znieść bez załamania?

- pytała samą siebie. Nie miała zamiaru ani chwili poświęcać rozważaniu, czy to możliwe, by podobał jej się własny mąż.

Właśnie przetoczył się w jej stronę, a łóżko się pod nim ugięło. Otworzył oczy i popatrzył wprost na nią.

Zielone oczy.

- Zapomnij o tym, co się stało w nocy - usłyszała swój głos. Dobrze. To właśnie należało powiedzieć.

Zamrugnął oczami, a potem się uśmiechnął. Tak słodko i pociągająco, że serce w niej załomotało, a żołądek się skurczył.

- Załatwione - odparł. Dobrze, pomyślała. Jasne, pomyślała. Dobrze, pomyślała. Uniósł rękę i dotknął bawełnianej koszuli nocnej, która okrywała jej ramiona.

On był nagi pod zmiętym prześcieradłem.

- A co z naszą... wycieczką? - spytał.

Jeżeli teraz wyjedzie, to jej powrót do Iowa poszedł na marne. Wszystkie dotychczasowe osiągnięcia okażą się bezużyteczne. Została, żeby się upewnić o samodzielności Austina. Dotrzyma danej sobie obietnicy. Zabierze go na wakacje, ale to będzie dla niego ciężka praca. Jeszcze o tym nie wie, że dostanie błyskawiczny kurs polegania na sobie.

Rozdział dwudziesty piaty

Mark zapukał do drzwi domu Molly. Cisza.

Spróbował jeszcze raz. Nadal nic.

Przyjechał tu już po raz trzeci. I po raz trzeci nikt nie podszedł do drzwi. Zaczynał się denerwować, a wyobraźnia podsuwała mu najstraszniejsze obrazy. Poważnie się zastanawiał nad wezwaniem policji, gdy z sąsiedniej posesji rozległ się głos.

- Nie ma ich w domu!

Mark zobaczył sąsiada Molly stojącego z węzem w dłoni i podlewającego niski żywopłot. Zszedł po schodach i ruszył ku niemu.

- Może pan wie, kiedy wracają? - spytał obawiając się, że Molly wyjechała na zawsze.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Pojechali razem?

Zmierzył go od stóp do głów, jakby oceniając, czy przypadkiem nie jest rabusiem szukającym domu do obrobienia.

Mark pogładził rozciągnięty podkoszulek, a potem dotknął policzka. Poczł kłujący zarost.

- Jestem ich przyjacielem. Pewnie widział pan już wcześniej mój samochód - wskazał za siebie.

Mężczyzna spojrzł w tamtym kierunku.

- Może - polał wodą następny krzak. - Może nie. Triumph, co?
- MG.
- Kiedyś miałem Porsche. Ale się ożeniłem, potem przyszły dzieci. Teraz **jeżdżę** kombi.

Zdaniem Marka na tej zamianie zrobił całkiem niezły interes, choć oczywiście prowadzenie kombi to żadna przyjemność.

- Zupełnie jak jazda samochodzikiem w wesołym miasteczku - rzucił.
- Trafił pan w dziesiątkę - roześmiał się mężczyzna i popatrzył na niego ciepłej.
- W jakim wieku są pańskie dzieci?
- Trzynaście i dziesięć.

- Nim się pan obejrzy, będą jeździły własnymi.

- Aż boję się o tym myśleć - podlewał następny krzak. - Molly i Austin wyjechali parę dni temu. Na wakacje. Moje dzieci zajmują się ich domem. Nie powiedzieli, kiedy wracają. Chyba sami nie wiedzieli.

Molly i Austin? Na wakacjach? Razem? Mark starał się nie pokazać po sobie zdumienia.

Dalej zachowywał się jak we śnie: przypomniawszy sobie o dobrym wychowaniu, podziękował mężczyźnie, podszedłszy do samochodu otworzył drzwi, wsiadł i ruszył do domu, a jego ciało poruszało się niczym automat.

Molly i Austin? Na wakacjach? Razem?

W mieszkaniu rzucił się na łóżko i zagapił w sufit.

Święcie wierzył, że czasem drobne wydarzenie, pozornie bez znaczenia, zmienia bieg ludzkiego życia. Niektóre z tych wydarzeń są tak maleńkie, że człowiek nawet ich nie zauważa.

Wszystko sam schrzanił. Godzina - gdzie tam, cholera, parę minut - zmieniło całe jego życie. Trzy dni temu, gdy Molly tu wpadła, nastąpił jeden z tych kształtujących przyszłość momentów. Była przygnębiona. Potrzebowała go, a on nic jej z siebie nie dał.

Elliot, daj spokój. Łudzisz się, kolego, pomyślał. Stracił ją już wcześniej. W głębi serca zawsze wiedział, że znów ją utraci.

- Czy kiedykolwiek widziałeś striptiz? Gabrielle. Upozowana w drzwiach.

Z trudem powrócił do rzeczywistości. Jego mieszkanie. Jego sypialnia. Gabrielle.

Jej pytanie.

- Jasne. - Nie dodał tylko, że był wtedy jeszcze na studiach i że byłby pijany, by cokolwiek pamiętać.

- Ale nie widziałeś, jak ja to robię.

- Daj spokój.

Nie miał ochoty na zajmowanie się Gabrielle. Nie teraz. Szczególnie teraz, gdy tak łatwo byłoby zrobić z niej kozła ofiarnego i zwalić na nią winę za wszystko, co złe się ułożyło w jego życiu.

Włączyła radio i długo kręciła gałką, nim wreszcie trafiła na muzykę klasyczną.

Ból.

Skupił się na Gabrielle. I na muzyce. Przełknął ślinę i odezwał się.

- Myślałem, że nie lubisz poważnych kawałków.

- Tak. Ale nie zawsze.

Zaczęła się poruszać w rytm muzyki, unosząc wysoko ramiona, wypinając piersi. Z twarzy znikła opuchlizna. Oko nadal miało ciemną obwódkę i na szyi widniały sińce.

- Gabrielle, nie chcę oglądać striptizu.

- Dobra - wzruszyła ramionami.

Miała na sobie obcisłe szorty do pół uda i luźną koszulkę odsłaniającą pępek. Wolno ściągnęła szorty. Pod spodem miała czarne, satynowe mini--majteczki.

Ogarniała go coraz głębsza rozpacz, coraz czarniejsza i bardziej potężna. Skupił uwagę na Gabrielle, nagle wdzięczny za jej obecność. Uniósł się i oparł na łokciach.

- Jesteś wszędzie równo opalona? - zapytał.

- Tak - powiodła dłońmi po brzuchu, udach. - Pod lampą.

- Lampa jest równie niezdrowa albo nawet gorsza od słońca — wyrwało mu się odruchowo.

Skrzyżowała dłonie z przodu i ściągnęła bluzeczkę. Czarny stanik miał bardziej na celu eksponowanie piersi niż ich osłanianie. Wysunięte do przodu, o sterczących, brązowych brodawkach. Skupił uwagę na piersiach.

Oparła kolano o krawędź łóżka.

201

- Lubię to, co niezdrowe.

Poczuł wbrew sobie, że go to podnieca.

Sięgnęła dłońmi na plecy i rozpiąwszy stanik zsunęła go po ramieniu, uwalniając biust. Przełknął ślinę.

- Gabrielle.

Wiedział, że powinien się odwrócić i jej nie zachęcać, ale nie umiał się powstrzymać.

Wysunęła się z majteczek i upozowała przed nim. Przez chwilę przybierała zmysłowe pozy, a potem weszła na łóżko, przytuliła się do niego i posuwała aż do ud. I wtedy powoli rozsunęła suwak...

Leżał na plecach, a ona go pieściła. Czuł, że traci kontrolę nad sobą, zapada się w ciemność, która go coraz bardziej pochłania.

Patrz na nią, powtarzał w duchu. Myśl o Gabrielle. Myśl o seksie. O niczym więcej. Tylko seks i Gabrielle.

- O rany, ale jesteś piękny - dalej go gładziła. - Jaki wielki. - Objęła go palcami; oddychała coraz szybciej.

Bez żadnych wstępów i choć Mark był niemal całkowicie ubrany, nałożyła mu prezerwatywę.

- Muszę cię teraz mieć.

Nie udawała. Oczy miała na wpół przymknięte. Oddech płytki i urywany.

I wtedy, w pełnym blasku dnia, wzięła go w siebie... i zabrała tam, gdzie nie ma

żadnych uczuć, tylko rozkosć. Zapomniał o momentach zwrotnych w życiu, zapomniał o wszystkim; pozostała tylko Gabrielle i te przyjemne wrażenia, których mu dostarczała.

Dla Gabrielle Mark stanowił zdobycz. Musiała skłonić go, by jej pragnął, może nawet trochę go zepsuć. Ale gdy tylko zabrała się do dzieła zepsucia » trwającego w celibacie zakonnika, byskawicznie przedzierzgnął się w narkomana uzależnionego od seksu. Robili to wszędzie, przez cały czas, w każdym możliwym miejscu, w każdy możliwy i niemożliwy sposób, a wkrótce ławeczka do ćwiczeń z ciężarkami stała się ich ulubionym miejscem. Robili to, aż był wykończony, wypompowany do dna. Gdy się

rozstawali, wyobrażała sobie, co zrobią. Gdy byli razem, wprowadzili w czyn te marzenia.

Gabrielle odkryła już wcześniej, że mężczyźni wolą udawać **wszystkowiedzących** w dziedzinie seksu. Ale nie Mark. Zadawał pytania. **Chętnie** się uczył. A ona dawała mu lekcje. Jak wzmagać rozkosz kobiety, jak przeciągać ją do chwili, gdy wyła, jęczała i wykrzykiwała jego **imię**.

Spała z wieloma mężczyznami, tak wieloma, że straciła rachubę, ale żaden nie zaspokajał jej tak całkowicie jak Mark. Ciągle chciała więcej. Był jak narkotyk: im więcej go miała, tym bardziej go potrzebowała.

Daj pociągnąć - powiedział Mark leżąc koło niej po trzygodzinnym maratonie uprawiania miłości.

- Przecież nie palisz.

- Kiedyś paliłem. No daj, jeden raz. Chcę wypuścić kóleczo. Ponieważ nie umiała mu niczego odmówić, nawet rzeczy dla niego szkodliwych, więc choć niechętnie, podała mu papierosa. Zaciągnął się głęboko, wypuścił kóleczo, potem znów się zaciągnął...

- Mark?

Oto mężczyzna, który nie pozwolił jej zapalić w otwartym samochodzie, który wygłosił tak długą pogadankę o szkodliwości nikotyny.

Bezszykownie próbowała odebrać mu papierosa. W końcu zapalił drugiego i podał jej.

Następnego dnia, gdy wrócił z pracy, cisnął na stół dwa pudełka papierosów.

- Jedno dla ciebie. Drugie dla mnie - wyjaśnił. Po czym z brązowej torby, którą trzymał pod pachą, wyciągnął dwa kartony, po sześć puszek piwa w każdym.

- Ktoś powinien powiedzieć Bobbiemu Goldsboro, że śnieg działa jak ocieplacz - powiedział otwierając jedną z puszek.

- Co takiego?

- Właśnie słyszałem przez radio tę jego piosenkę.

203

Był pijany. Nigdy przedtem nie widziała, żeby pił alkohol, a co dopiero się upił.
- Chcesz? - podał jej piwo, a potem otworzył następne dla siebie i jednym haustem wychylił połowę puszki.

Przez cały czas chciała go ściągnąć w błoto, zniszczyć część pozy obojętnego na wszystko świętoszka. No cóż, udało jej się. A Mark niczego nie robił na pół gwizdka. Kiedy się staczał, to na całego.

Rozdział dwudziesty szósty

Jezioro Błękitnego Księżyca.

Austin wybrał to miejsce, bo spodobała mu się nazwa: Błękitny Księżyc, Minnesota. Teraz zdał sobie sprawę, że jest to symboliczne.

Fale jeziora uderzały o molo. Z radia tranzystorowego płynęła wolna, pogodna piosenka. Gorące promienie słońca padały na tył koszuli Austina, gdy stał na przycumowanym molo ćwicząc zarzucanie wędki. W odległym lesie rozlegał się śpiew ptaków.

Nadchodziła jesień. Chociaż liście na klonach były jeszcze zielone, a powietrze gorące, słońce już się zmieniło na późnoletnie. Wisiało niżej nad horyzontem, posyłając inny rodzaj światła. Niektórzy ludzie, a zwłaszcza poeci, określiliby je mianem rozmarzonego.

Już prawie wrzesień.

Nie będzie o tym myślał, nie będzie myślał o wyjeździe Molly. Będzie myślał o teraźniejszości, o tym, co dzieje się tu i teraz, choć nigdy dobrze nie opanował tej umiejętności.

W pobliżu przemknęła motorówka. Siedzący w niej ludzie pomachali do niego. Austin uniósł dłoń w geście pozdrowienia; czuł się bezpieczny, ponieważ dzieliła ich znaczna odległość.

Łódź marszczyła taflę jeziora. Fale pobiegły aż do brzegu i Austin musiał się odsunąć, by woda nie zamoczyła mu stóp na lekko kołyszącym się molo.

Gdy fala zamarła, udał mu się niezły rzut. Ruchom brakowało jeszcze gracji, ale i tak było lepiej niż dwa dni temu. Kiedy spróbował po raz

pierwszy, spławik w ogóle nie doleciał do wody, tylko z głuchym stukotem upadł u jego stóp.

W tej chwili tylko ćwiczył. Bez przynęty, haczyka, tylko sam spławik i ciężarek.

Zarzucał raz po raz.

Dumny z siebie nawinął linkę na kołowrotek. Austin tylko parę razy poszedł na ryby z sąsiadem, a poza tym nigdy w życiu nie trzymał w ręku kija. Nigdy nie nauczył się zarzucać. Trudna czynność, bo wymaga dokładnie zgranych ruchów.

Uniósł wędkę: pozycja wyjściowa. Przy każdym następnym ruchu wydawał sobie w myśli polecenie, gdyż ułatwiało mu to koncentrację.

Zarzuć wędkę. Wyprostuj kij. Naciśnij guzik. Później wyrzuć ramię.

Linka popłynęła do przodu odwijając się ze śpiewnym szelestem. Spławik opadł na wodę. Przez chwilę nylonowa linka leżała zygzakiem na tafli jeziora, po czym wsunęła się w wodę i znikła.

Poezja.

Czy Molly widziała jego wspaniały rzut? Spojrzał przez ramię.

Leżała na wznak na ręczniku podgiąwszy jedną nogę. Nosila okulary przeciwsłoneczne, więc nie widział, czy ma otwarte oczy. Spodnie-rybaczki podwinęła do połowy ud, a dół krótkiej bluzeczki wsunęła pod stanik, tak że odsłoniła cały brzuch.

Czuł zapach kokosowego kremu do opalania.

Zapomnij o poprzedniej nocy, powiedziała mu trzy dni temu. Zapomnieć? Myślał o tym nieustannie. I- nie przypuszczał, by i ona zapomniała. Czasem podniósłszy wzrok łapał jej spojrzenie. Natychmiast spuszczał oczy, ale jeżeli stał wtedy blisko, widział lekki rumieniec także na jej policzkach.

Po tylu latach małżeństwa po raz pierwszy uświadomił sobie, że to, co wydarzyło się tamtej nocy, jest normalne, tak być powinno zawsze. Dawanie

199

Zaczął się wręcz zastanawiać, czy Molly w ogóle sprawiło to przyjemność, Może tylko udawała? Zapomnij o tym, powiedziała.

Jasne, lecz jak mógł zapomnieć, skoro nocowali na dwóch podwójnych łóżkach i Molly spała tak blisko niego? Usiadła i zdejmując okulary zaproponowała:

- Może popływamy?

Kolejne wyzwanie, następna prowokacja. Nazwała to wakacjami, ale okazało się obozem kondycyjnym. Nie dała mu ani chwili wytchnienia. Nieustannie podciągała wyżej poprzeczkę, ciągle prowokowała go do czegoś nowego. Wczoraj gotowanie. Dziś zakupy w sklepie spożywczym przy" pobliskiej stacji benzynowej.

Teraz chce, żeby pływał.

Pływanie to wypoczynek, a ojciec Austina nigdy na to nie pozwalał. Nie wolno robić nic dla przyjemności. Trzeba jedynie wykonywać obowiązki.

Patrzył, jak Molly ustawia się do skoku w wodę, palce nóg zahaczone o krawędź mola, wyprostowana.

Lekko ugiąwszy kolana, wskoczyła do wody. Gładko wsunęła się pod tafłę jeziora. Wynurzyła się parę metrów dalej. Odchyliła głowę do tyłu, włosy miała mokre i lśniące.

- No chodź - zawołała.

Nawijał linkę powoli obracając kołowrotek. Rozlegało się ciche klikanie.

- Nie.

Bębniarki poruszały się gładko wykonując swoją pracę.

- Dlaczego?

Nigdy się nie przyznał, że nie umie pływać; po prostu nigdy nie powiedział, że umie. A teraz czuł, że dłuższe milczenie stanowi ciąg dalszy kłamstwa.

- Dobrze ci zrobi - nalegała. - Terapia wodna.

Nawijał linkę, aż ciężarek wynurzył się z wody i doszedł do metalowego oczka na końcu wędki.

- Nie - skupił całą uwagę na kijku.

- A jeżeli złapie mnie skurcz? - Zaczęła płynąć na plecach. Odłożył wędkę i wyprostował się.

- Nie odpływaj za daleko.

207

Przestała płynąć, tylko poruszając rękami utrzymywała się w miejscu.

- Nie przestanę, aż wejdiesz do wody! Prowokacja. Szyderstwo. Nieświadome.

-Molly!

Popłynęła dalej, ciągle do przodu, aż dotarła w miejsce, gdzie woda nabrała głęboko błękitnej barwy.

- Nie **powinnaś** wyp...ływać - w ciągu ostatnich paru dni zrobił duże **postępy** w mówieniu, a teraz język mu się plątał. - Wypł...ywać sama!

-**Przecież** ty tu jesteś.

Powiedz jej: nie umiem pływać. No, już, mów! Posuwała się coraz dalej.

- Molly! Jak rany!

Nagle przed oczami ujrzał twarz ojca, kiedy mu powiedział o poniesionej porażce. Wyraz nienawiści i pogardy.

- Nie umiem pływać!

Słowa pobiegły po tafli wody odbijając się echem o przeciwległy brzeg* Nie umiem pływać. Nie umiem pływać.

Poprzez mgłę niepokoju przesłaniającą mu oczy spostrzegł, jak Molly zawraca.

Nawet upokorzony, nadal podziwiał dokładność jej ruchów, lśnienie promieni słonecznych na jej ramionach, gdy wyrzucała je do tyłu.

Dotarła do mola i chwyciwszy się topornie ociosanych pni dyszała łapiąc oddech.

Austin wyciągnął ku niej rękę.

- Daj mi rękę.

- Nie próbuj mnie wyciągać - odparła zadyszana.

- Daj - powtórzył.

Zdziwił się, gdy ustąpiła. Pociągnął ją ku górze, a ona się obróciła, tak że od razu usiadła na skraju mola.

Woda spływała tworząc kałużę wokół niej. Pochyliła głowę i wyżeła wodę z włosów. Piersi unosiły się i opadały przy głębokich wdechach. Nogi i ramiona pokryła gęsia skórka. Chociaż miała na sobie stanik i bluzeczkę, to pod dwiema warstwami materiału wyraźnie rysowały się ostre czubki sutków.

Podał jej ręcznik.

Rogiem otarła twarz i oczy.

- Dlaczego mi nigdy nie powiedziałeś, że nie umiesz pływać? - spytała wstając.

Wycierała teraz długie, opalone nogi. A gdy skończyła, woda ze spodenek spłynęła strumyczkami tworząc kałużę u jej stóp. Nie mógł oderwać wzroku od tych strumyczków. Ściekały z poszarpanych brzegów spodni, spływały wdół...

- Austin?

Zajęła się teraz włosami. Sutki już nie odznaczały się tak bardzo jak przed chwilą, ale nadal były widoczne. Przypomniał sobie, jak dotykał ich dłonią, pieścił językiem.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że nie umiesz pływać?

- Nie było okazji - wzruszył ramionami. Ale gdy to wreszcie wyznał, poczuł ulgę, trochę jak katolik po spowiedzi.

- Mogę cię nauczyć.

Przypatrywała mu się czekając na reakcję, na to kolejne wyzwanie. Mokra rzęsy wydawały się ciemniejsze i bardziej gęste. Jej twarz zarumieniła się od słońca, na nosie miała kilka piegów.

Jest piękna.

Jest jego żoną. I odchodzi.

Odwrócił się, a jego wzrok padł na laskę opartą o ścianę. Nawet nie może chodzić.

Jak miałby nauczyć się pływać? I odchodzi.

Bez słowa chwycił laskę i ruszył ścieżką do ich samotnego domku kempingowego. Piątego dnia pobytu Molly zapytała Austina, czy chce już poćwiczyć jazdę samochodem.

- Nie - odparł, tak samo jak co dzień. Nigdy więcej nie będzie jeździł. Czy Molly nie może sobie tego wreszcie wbić do głowy?

- Boisz się.

Stosowała nową technikę. Dobry chwyt.

- Boję się? Niby czego?

- Że nie podasz. Przegranej. Znała go lepiej, niż przypuszczał.

202

Pamiętaj, zanim wrzucisz bieg, noga na hamulcu - powtórzyła Molly, gdy siedzieli w Mercedesie; silnik już pracował. Patrzył niewińczym wzrokiem przed siebie.

- Skrzynia biegów - przypomniała mu.

Po tylu latach spędzonych za kierownicą prowadzenie samochodu było dla niego czynnością naturalną. Robił to, zupełnie o tym nie myśląc. Parę lat temu, gdy uczył Amy, ze zdumieniem stwierdził, że wręcz zapomniał kolejność wykonywania pewnych ruchów. Po prostu je wykonywał.

A teraz stwierdził, że musi myśleć o każdym ruchu. Skrzynia biegów. Pedał gazu. Sprzęgło. Kierownica. Lusterko. I to tylko rzeczy wewnątrz samochodu. Oprócz tego musiał jeszcze uważać, co się dzieje na zewnątrz.

Niemożliwe.

Od czasu wylewu nauczył się, że osiąga najlepsze rezultaty, gdy koncentruje całą swą uwagę na wykonywanej czynności. A teraz świadomie musiał ją podzielić.

Zupełnie jak dziecinna zabawa polegająca na głaskaniu się po brzuchu przy równoczesnym klepaniu po głowie. ^,

Nie poradzi sobie.

- Wrzucić bieg - przypomniała.

Przesunął dźwignię; z zadowoleniem zobaczył, że przeszła płynnie na pierwszy bieg. Ale to także znaczyło, że jeżeli zdejmie nogę z hamulca, pracujący silnik popchnie samochód do przodu.

- Wrzuciłeś bieg. Zdejmij nogę z hamulca - odpowiedziała Molly. Spojrzał na skrzynię. Czerwona wskazówka na jedynce. Jego stopa mocno wciskała hamulec.

Nie mógł się zmusić do podniesienia stopy. Nie był pewien, jak się spisze jego refleks, jeśli w ogóle zachował go choć odrobinę. Miała rację. Boi się.

Mimo że znajdują się na piaszczystej drodze przeciwpożarowej ciągnącej się między dwiema ścianami lasu. Mimo że wokół ani żywej duszy, nie wspominając o innym pojeździe.

Molly czekała. Samochód też.

Sprawdził wskaźniki na desce rozdzielczej. Mniej niż ćwierć baku paliwa. Silnik nie przegrzany. Olej w porządku.

- To nie samolot - rzuciła Molly.

- Dobrze, dobrze.

210

Powoli zsunął nogę z hamulca. Samochód ani drgnął.

Ten delikatny ruch wystarczyłby na równej jezdni, ale nie na piasku.

- Noga na gaz - przypomniała Molly. Pot.

Jego dłonie ślizgały się na kierownicy. Wcisnął hamulec i otarł dłonie o dzinsy.

- Nie mogę.

Serce waliło mu jak młotem.

- Co się stało? - spytała po chwili. - Czego się boisz?

Dlaczego musi mu wypominać ten lęk? Uniósł stopę z hamulca... a potem lekko, bardzo lekko nacisnął na gaz. Samochód potoczył się do przodu. Jechali.

Molly zaklaskała.

Skupił uwagę na tym, jak mocno naciska pedał gazu. Nagle stwierdził, że nie kieruje. W ogóle nie zwracał uwagi na kierunek jazdy. Siedział tylko zadowolony, że jedzie.

Gdy tylko skupił się na drodze przed sobą, zapomniał o nodze i puścił pedał gazu.

Czy kiedykolwiek zdoła to opanować? Niemożliwe. A jakie upokarzające.

- Spróbuj jeszcze raz - przymiliła się Molly, gdy zatrzymali się po raz drugi. - No, proszę.

Zaczął więc od początku, skupiając się tak bardzo, że aż w głowie mu huczało.

- Udało ci się!

Byle sześciolatek siedzący na paru grubych książkach z kumplem obok naciskającym pedały umiałby jechać samochodem przez środek pustej drogi przeciwpożarowej. Ale mimo to Austin poczuł się dobrze. Więcej niż dobrze. Wspaniale.

Czuł się nadal wspaniale, gdy dotarli do zakrętu. Pod wpływem paniki nacisnął hamulec i oboje polecili do przodu; niemal zawiśli na pasach bezpieczeństwa.

- Rób to powoli - doradziła Molly.

Ze świeżą dozą pewności siebie puścił hamulec i delikatnie dodając gazu

przeprowadził Mercedesa przez czterdziestopięciostopniowy zakręt. Gdy znaleźli się na prostej, poznał drogę wiodącą do stacji benzynowej ze sklepikiem, na której byli parę dni temu.

- Może by tak napełnić bak? - zaproponowała Molly. Bał się, że odpowiadając przestanie się koncentrować.

Zjeżdżając w dół wzgórza ku stacji utrzymał samochód na prostym kursie. Gdy dotarł do szosy, zatrzymał się, rozejrzał na boki i podjechał pod pompy benzynowe, a gdy przejechał po spłowiałym wężu, rozległ się dzwonek przyzywający obsługę.

Biegi na luz. Wyłączyć silnik.

Kiedy samochód stanął, pozwolił sobie na głębokie westchnienie ulgi.

Dobrze. Świetne lądowanie.

Czekał, aż Molly wysiadzie i naleje benzyny.

Ani drgnęła.

O, teraz rozumie. On ma to zrobić. Hmm, potrafi nalać benzynę. Potrafi wrócić do domku. A na miejscu potrafi rozpiąć bluzkę Molly. Potrafi rozpiąć jej stanik. Potrafi zsunąć suwak spodni. Potrafi...

Wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Odkręcenie zakrętki baku sprawiło mu nieco trudności, ale to był najmniejszy problem. Wreszcie się z nim uporał. Zdjął wąż ze staromodnej pompy, wsunął do wlewu paliwa do baku i czekał.

Nic się nie dzieje.

Zapomniał nacisnąć dźwignię.

Zrobił to.

Benzyzna popłynęła. Woń paliwa.

Czuł, jak się rozchodzi. Niemal widział fale płynące w powietrzu. Cyfry na liczniku pompy zmieniały się z cichym grzechotem.

Chciał się zatrzymać na okrągłej liczbie, ale miał trudności z kolejnością, nie wiedział, która się teraz pojawi.

Następnym razem. Następnym razem zrobi to porządnie.

Odwiesił wąż na miejsce, nałożył zakrętkę i poszedł zapłacić.

Nie zastał staruszki, Babcy Capper, znanej w okolicy producentki przynęt na ryby.

Za kasą stał czternastolatek. Jej wnuczek?

- Piętnaście, trzydzieści siedem - powiedział chłopiec za ladą.

Piętnaście.

Chociaż Austin od niedawna zaczął nosić przy sobie pieniądze - kolejny pomysł Molly - to jeszcze nie miał okazji za nic płacić. Teraz wyciągnął z portfela banknot dziesięciodolarowy. Potem, po krótkich poszukiwaniach, jeszcze pięć dolarów. Położył je na ladzie pokrytej zniszczonym plastikiem.

- Piętnaście bul, bul, bul - rzucił nastolatek.

Austin usłyszał pierwsze słowo, ale reszta stanowiła dla niego niezrozumiały bełkot.

- Piętnaście i co?

- Trzydzieści siedem - odparł zirytowany już chłopiec. Trzydzieści...

Austin sięgnął do kieszeni po drobne, wyciągnął garść i położył na kontuarze.

Parę miedziaków. Wiedział, że tak się nazywają dziesięciocentówki.

Ćwiartka. Kilka piątek. Garść centówek. Mnóstwo.

Cały się spocił. Bardziej niż przedtem. To jest gorsze. Tysiąc razy gorsze od prowadzenia samochodu.

Wpatrywał się w drobne na ladzie. Migwały mu w oczach cyfry, ale całkowicie wymieszane.

Już miał powiedzieć chłopcu, żeby je policzył, gdy zabrzączał dzwonek nad drzwiami. Odróciwszy się zobaczył, że to weszła Molly.

Cholera.

Nagle poczuł, że się dusi w tym ciasnym, przydrożnym sklepiku. Na ladzie obok kasy stały słoiki z przynętami Babci Capper. Chociaż były zakręcone, to jednak czuł zapach zjełczałej mieszanki. Od tego zapachu łzawiły mu oczy. Zaczęło go łaskotać w gardle.

- Wszystko w porządku? - spytała Molly.

- Reszty nie trzeba - Austin szybko przesunął drobne po ladzie. Chłopiec popatrzył zdumiony, ale i zadowolony.

- Dzięki - powiedział i z wprawą, której Austin mógł mu pozazdrościć, przeliczywszy monety część wrzucił do kasy, a resztę schował do kieszeni.

Austin już nie czekał. Wyskoczył ze sklepu jak z procy, a Molly szła tuż zanim.

Na zewnątrz odetchnął z ulgą, ale koszula lepiła mu się do pleców. Czuł wilgoć pod pachami i nogi się pod nim ugiwały.

206

Nie potrafi nawet policzyć pieniędzy. Umieją to dzieciaki. Ślepiec sprzedający prażoną kukurydzą na rogu Piątej Alei i ulicy Dolinnej umiał policzyć pieniądze. Obszedł samochód i zajął miejsce pasażera.

Austin milczał w drodze powrotnej do domku.

Był zamyślony. Molly uznała, że przypomina tego dawnego, zamkniętego w sobie Austina. Gdy tylko zatrzymała samochód, wysiadł i ruszył w stronę lasu nad jeziorem.

Przesiedział tam wiele godzin i wrócił wieczorem w takim samym nastroju. Gdyby to był ktokolwiek inny, Molly zapytałaby po prostu, o co chodzi. Ale wobec Austina zastosowała subtelniejszą metodę.

- Chcesz posiedzieć nad jeziorem? Popatrzeć na zachód słońca? - zaproponowała.

- Nie.

Poszedł wolno do sypialni i wrócił ze śpiworem pod pachą. Wyszła za nim na zewnątrz. Gdy usłyszał stuk siatkowych drzwi przeciw muchom, stanął i odwrócił się na pięcie.

- Zostań.

- Ale gdzie się wybierasz?

- Nie po...trz...ebuję nia...ńki - mówił niezbyt wyraźnie i pewnie. I najwyraźniej potrzebował właśnie niańki, ale lepiej mu było tego nie sugerować.

Gdy się upewnił, że za nim nie pójdzie, ruszył Hu ścieżce obiegającej jezioro.

Molly stała na werandzie opierając się o zniszczoną poręcz i patrzyła, jak odchodzi.

Ten idący mężczyzna to nie Austin, choć równocześnie on.

Na kołnierzyk spadały ciemne włosy przetkane siwizną; nigdy w czasie ich małżeństwa nie zapuścił ich tak bardzo. Miał na sobie rozpiętą, bawełnianą koszulę, której poły spadały na spłowiałe džinsy. Zapewne nie założył slipek. Wysokie buty miał rozwiązane - zwykle tak je zostawiał, gdy nie miał ochoty się z nimi zmagać albo gdy był wściekły.

Mężczyzna, który wygląda jak wyrzucona z wody ryba.

Molly krążyła po kuchni. Usiadła przy stole. Wstała. Wyszła na werandę i popatrzyła w mrok. Wróciła do środka. Zrobiła szklankę herbaty, ale upiła tylko łyk i odstawiła. W tym momencie zdała sobie sprawę, że martwi się o Austina tak samo, jak martwiła się o Amy, Melinę i Samnry'ego.

W rogu kuchni zauważyła jego łaskę. Żałowała, że jej z sobą nie zabrał. Trudno mu się będzie szło po nierównej ścieżce.

Nie umiała powstrzymać wyobraźni, która podsuwała jej nowe, coraz straszliwsze obrazy. Austin sam w ciemnościach. Na brzegu jeziora. Nie umie pływać. Może się zgubić. Wybrać złą ścieżkę i wpaść do wody. Wybrać złą ścieżkę i spaść ze skarpy. Musi iść za nim.

Nie.

On próbuje być niezależny, tłumaczyła samej sobie. Po to jest ta cała wyprawa. Jeśli nawet go znajdzie, to pewnie się na nią rozzłości za to, że mu przeszkadza. Zawraca głowę. Traktuje jak dziecko.

Tych parę dni z Austinem tak blisko, tuż obok, okazało się dostatecznie trudne. Chociaż powiedziała mu, by zapomniał o nocy pod dębem, to jednak sama nie umiała jej wygnać z pamięci bez względu na to, ile razy sobie powtarzała, że to uroczy sen. Myślała o tym bez przerwy. Doprowadzało ją to do szaleństwa. On doprowadzał ją do szaleństwa. A teraz na dodatek był sam, w ciemnościach, w lesie...

Siedziała patrząc w otwartą szafkę, wpatrując się w rzędy krakersów z małą zawartością soli i dietetycznych płatków śniadaniowych, gdy usłyszała daleki odgłos grzmotu, a potem zobaczyła błyskawicę.

To przeważało.

Zatrzasnęła szafkę i ruszyła ku drzwiom.

Na zewnątrz w świetle lampy na werandzie widziała wielkie krople deszczu spadające na wyschlą ziemię. Zerwał się wiatr, w jego podmuchach wirowały liście i piasek. Czuła woń deszczu i żywicy z sosen. Kolejny grzmot, gdzieś bliżej. Po niebie przeleciała błyskawica, w jej blasku Molly dojrzała kłęby chmur.

Pobiegła do samochodu po latarkę, ale okazało się, że baterie są niemal wyczerpane. Dlaczego nie sprawdziła ich przed wyjazdem z La Grange? Jakoś o tym nie pamiętała.

208

Zatrzasnęła drzwiczki samochodu i popędziła ścieżką, na której zniknął Austin. Przed nią posuwało się blade, żółte kółko światła latarki.

I wtedy spadł prawdziwy deszcz. Ulewa. Oberwanie chmury. Jakby otworzyły się niebiosy. Lodowato zimne strugi smagały twarz i gołe nogi. Przenikające do kości, mroźne krople. W świetle latarki widziała krzewy, krętą ścieżkę, a w dali jezioro. Zagrzmiąło, aż się ziemia zatrzęsła. Huk niósł się długo, aż wreszcie po lewej stronie, kilkaset metrów od niej, rozległ się przeraźliwy łomot. W ciemnościach słyszała trzask rozdzieranego drzewa, a potem głuchy upadek na ziemię.

Biegła ścieżką z pochyloną głową, chowając twarz przed kroplami deszczu. Zajaśniały dwie błyskawice - dotarła do polany. Kolejna błyskawica paliła się długo i migotała niczym gwiazda.

Na środku polany stał mężczyzna bez koszuli, z głową odrzuconą do tyłu i rękami wniesionymi ku ciemnemu niebu.

Austin.

Nadęty, zrównoważony, praktyczny Austin.

Przez chwilę wpatrywała się w niego zdumiona. Czy on zupełnie zwariował?

- Austin!

Musiała głośno zawołać, by przekrzyczeć burzę. Opuścił ręce i spojrzał w jej stronę, aż w oczach odbiło się światło latarki. I natychmiast rzucił się biegiem ku niej.

Chwycił ją za ramiona i lekko potrząsnął.

- Czyś ty oszalała?

On się pyta, czy ona oszalała?!

- Wracaj do domku! - krzyknął. - Schowaj się!

- Co ty tu robisz?

- Obozuję! - W jego głosie brzmiała euforia.

Obrócił ją w stronę, z której przybiegła, i lekko popchnął.

- No już, zmykaj!

Strugi deszczu niemal ją oślepiały. Odwróciła się gwałtownie i poślizgnęła na błocie. Błyskawicznie wyciągnął rękę, by ją podtrzymać, a ona równocześnie chwyciła się jego. Dłoń musnęła jego tors, lodowatą, zimną skórę.

- Ty też chodź! Nie wrócę bez ciebie!

Widział, że nie żartuje, bo przytaknął, a potem spojrzał przez ramię na prowizoryczny obóz.

209

- Śpiwór! - ruszył w jego kierunku.
- Potem po niego przyjdziemy! - chwyciła go za ramię. Zawahał się. Dawny Austin. Praktyczny, skąpy.
- Będzie ważył tonę! - zawołała. - Przyjdziemy tu jutro! Poddał się i ruszył obok niej, gdy znów zapłonęła błyskawica.
Ramię przy ramieniu z trudem brnęli po rozmytej ścieżce; **prowadziło ich światło** płynące z domku.
- Ściągaj to mokre ubranie - poleciała, gdy tylko schronili się na **werandzie**. Wbiegła do środka i chwyciwszy parę ręczników wypadła na **zewnątrz**, gdzie Austin trwał bez ruchu. Stał oparty o balustradę werandy - patrzył na burzę.
- Masz - podeszła do niego i zaczęła od dzinsów; rozpięła guzik, potem suwak. Tak jak podejrzewała - bez slipek.
Następny grzmot. Lampa na werandzie zamrugwała, a potem zgasła. Linia elektryczna została gdzieś przzerwana.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nie umiał ukryć swego podniecenia. Kiedy palce Molly niechcący go dotknęły, gdy rozsuwała rozporek jego dżinsów, niemal głośno jęknął.

Gdy dotknęła go jeszcze raz, zastanawiał się, czy to przypadek. Tym razem ruch był wolniejszy. Jak pieszczota.

Ściągnęła dżinsy w dół i kazała mu z nich wyjść. Podała mu ręcznik i odeszła.

Stał w ciemnościach trzymając ręcznik i nasłuchując otaczających go dźwięków.

Słyszał tylko szelest deszczu na metalowym dachu.

Błyskawica rozświetliła werandę właśnie w chwili, gdy Molly ściągała przez głowę bluzę; miała wysoko uniesione ręce, nagie piersi podane do przodu - pełne i piękne; długie nogi lśniące od wody.

Podniósł wzrok na jej twarz. W ułamku sekundy, nim znów otoczyła ich ciemność, dostrzegł, że i ona patrzy na niego.

Wpatrywał się uparcie w mrok, aż zaboląły go oczy. Wtem rozbłysła kolejna błyskawica.

Tym razem Molly była naga.

I nadal go obserwowała.

Rzucił ręczniki i ruszył ku niej, ale gdy stanął tuż obok, zawahał się. A jeżeli go nie chce? Jeżeli źle zrozumiał jej intencje?

Przysunęła się do niego. Tak blisko, że poczuł ciepło płynące od jej ciała. Tak blisko, że mimo ogłuszającego szumu deszczu usłyszał jej głos.

- Austin? - zapytała drżącym i cichym głosem.

Pożądanie wzięło górę.

Chwycił ją za ramiona. Poprowadził ku stolikowi. Bez wahania oparła rękę o blat i owinęła go nogami w pasie. Natychmiast przywarł do niej gotów wchodzić. Za szybko, powiedział sobie, walcząc z pragnieniem zanurzenia się w niej. Jęknęła, co zabrzmiało niczym odbicie jego własnego pożądania, a serce zabiło mu mocniej. Jej dłoń powędrowała w dół ich mokrych ciał, Objęła go palcami i wprowadziła w to słodkie, cudowne ciepło.

Przez moment trwał bez ruchu. Po prostu sycił się otaczającą go miękkością.

- Molly. Na Boga, Molly.

Oboje ciężko dyszeli, ich piersi unosiły się tym samym rytmem.

- Nie zapomniałem - wykrztusił, a szum w głowie przypominał szum ulewy.

- Ja też nie.

Powtórzył jej imię przesuając palcami po mokrych włosach na karku; krople wody płynęły po jego ramieniu, jej włosy chłodziły mu przegub.

- Chcę cię całować - prapał tego z całej duszy. Jak niczego na świecie. I obejmując dłońmi jej twarz, odnalazł usta.

Miała chłodne wargi. I ciepły język. O smaku deszczu. Poruszył biodrami. Wolno. Ostrożnie.

Odpowiedziała tym samym powtarzając jego powolne ruchy. Dłonie pieściły jego plecy. Sutki palącym gorącym dotykały jego torsu, do uszu dobiegł jej delikatny oddech.

Ona go rozpalala.

Czuł się wypełniony energią, jakby przepływał przez niego prąd. Był tym mężczyzną, który stoi na polanie z głową odrzuconą do tyłu, dłońmi uniesionymi ku niebu, przyjmującym siły natury. Pierwotnym. Niebezpiecznym.

Nie mógł się już dłużej powstrzymać. Pchnął.

Aż się cała zatrzęsa. Uniósł ją do góry.

Krzyknęła. Wpiła palce w jego ramiona. Zamarł.

Musi się zatrzymać. Nie może jej sprawiać bólu. Nie może sprawić bólu Molly...

212

Mocniej objęła go nogami. Uniosła biodra ku niemu. - Nie przestawaj - szepnęła. Woda z jej włosów sphywała mu na tors. - Nie przestawaj. Burza szalała i w niej. Po raz pierwszy w życiu Austin poddał się głosowi natury. Całkowicie. Bez reszty. Razem osiągnęli szczyt rozkoszy niczym szalejąca burza. Szybko. Szaleńczo i wściekle. Głośna, gniewna nawałnica. Do przodu, mocno, dalej, spalając siły do cna.

Gdy już było po wszystkim i ucałował jej mokre skronie i nabrzmiące usta, zataczając się przez ciemność powlekli się do sypialni, padli na łóżko i spali, a deszcz uderzał o dach.

Prąd się włączył, a wraz z nim górna lampa, której światło obudziło Molly. Z oddali dobiegł słaby grzmot, ale deszcz przestał padać. Nie wiedziała, która jest godzina, spojrzała więc przez okno.

Ciemno.

Leżała zachwycając się dotykiem nagiego ciała Austina, świadoma własnej nagości, jego ręki leżącej na jej brzuchu pod piersiami, ciepłego oddechu na karku. Od zwiniętego w kłębek ciała przytulonego torsem do jej pleców było gorąco.

Popatrzyła na swoją dłoń spoczywającą na jego przedfajnienu. Gładziła, pieściła ciemne włosy.

Czy kiedyś już tak spali? Chyba nigdy. I gdy tak leżała próbując usnąć, poruszyła się lekko i poczuła znajomą twardość na pośladkach.

Austin spał. Świadczył o tym jego oddech. A gdy spał, nie sposób było go obudzić. Odwróciła się.

Oczy miał zamknięte, twarz odprężoną, cień zarostu na brodzie. Dwie linie czarnych włosów na torsie spotykały się poniżej żeber i schodziły ku brzuchowi.

Odetchnął głęboko i przewrócił się na plecy odrzucając rękę nad głowę; odsłonił w ten sposób pachę i płaską pierś; choć białe prześcieradło zakrywało go od pasa, to pod cienką tkaniną wyraźnie rysował się wypukły kształt.

220

Ostrożnie ujęła prześcieradło i odciągnęła je, by odsłonić jego męskość w pełnej krasie wychylającą się z kępy włosów.

Pomiędzy udami poczuła ciepło. Chciała go dotknąć. Mogła sobie wyobrazić, co by poczuła.

Twardy. Nabrzmiały. Gorący.

Żarówka nad nimi zamigotała i zgasła, znów pograżając pokój w atramentowych ciemnościach.

Po chwili Molly przetoczyła się na swoją część łóżka i odwróciła się plecami do męża. Podłożywszy rękę pod głowę, zapatrzyła się w mrok.

Westchnął głęboko i poruszył się niespokojnie. Przysunął się ku niej; łóżko ugięło się pod jego ciężarem. I gdy ją do siebie przytulił, objął ją niemal tak samo jak przedtem, tyle że jedna dłoń spoczywała płasko na jej brzuchu, a druga pod biustem. Śpi? A może się obudził?

Nasłuchiwała jego równego oddechu.

Śpi.

Pragnie. Chce. Co się z nią dzieje? Czytała gdzieś, że mężczyźni osiągają szczyt możliwości seksualnych w wieku osiemnastu lat, a kobiety dopiero między trzydziestym piątym a czterdziestym rokiem życia. A więc to jej dolega? ftatego właśnie...

Jego dłoń sunęła w dół brzucha.

W oczekiwaniu wstrzymała oddech.

Przyciągnął ją bliżej do siebie, tak blisko, że czuła jego twardość znów moszczącą się między pośladkami i czuła ciepło oddechu na karku. Tortura. Czy on śpi?

Wymamrotał coś, jak zwykle przez sen. Jego palce wsunęły się między wargi sromowe i zaczął ją pieścić. Była wilgotna. Była gorąca. Była słaba.

Całe jej ciało pokryło się potem. Oddech miała krótki, urywany. Kręciło jej się w głowie. Traciła przytomność. Sięgnęła do tyłu, dłoń natrafiła na muskularne udo.

- Molly.

Jego głos dotarł do niej poprzez czerwoną mgłę.

- Molly, kochanie - szepnął w jej kark - odwróć się.

214

Odwrócić się. Tak, tego właśnie potrzebowała. Musi się odwrócić. Sama nie wiedziała, jak znalazła się twarzą twarz z nim. Przewrócił się na plecy pociągając ją za sobą, tak że jej nogi znalazły się po obu stronach jego ud. Mgła przesłaniała jej oczy. Dygotała na całym ciele. W uszach jej szumiało. Ale dokładnie słyszała, jak łagodnym głosem wydaje polecenia.

- Oprzyj kolana na łóżku... Unieś biodra.. O, tak.

Podtrzymał ją dłońmi. Czuła czubki palców naciskające na pośladki, kciuki oparte mocno na biodrach. Naprowadził ją na siebie, tak że objęła go całego, wypełniła się cała, a jej własny ciężar pogłębiał rozkosz.

Poczuła go w sobie. Wszelkie myśli uleciały, gdy mięśnie rytmicznie zaciskały się na nim. Zesztywniała z głową odrzuconą do tyłu, a gorące fale przepływały przez nią jedna za drugą.

Iwtedy właśnie, gdy z głową odrzuconą do tyłu, cała zatopiona w rozkoszy osiągnęła jej szczyt, nagle zapaliła się lampa nad łóżkiem...

Austin patrzył zafascynowany intensywnością jej przeżyć, ekstazą malującą się na jej twarzy. Gdy opadła na niego, wtulając głowę w ramię, całe jej ciało było mokre od potu.

Wyraz jej twarzy na zawsze wrył się w jego pamięć, a myśląc o jej rozkoszy, poczuł niezwykle przyływ wiary we własne umiejętności erotyczne.

Nadal był w niej, twardy i pulsujący; przewrócił jej wycieńczone i wiotkie ciało na plecy.

Oczy miała zamknięte, policzki zarumienione, usta pasowe, a mokre włosy lepiły się do karku. Splótł palce z jej palcami i uniósł obie pary rąk ponad jej głowę, układając je na poduszce.

Pochylił się niżej... i pocałował ją. Najpierw nos, powieki, usta.

Stopniowo zaczynała odpowiadać na jego pieszczotę. Powoli wracała do siebie, budziła się.

I w blasku mocnego światła padającego z góry przywabił ją z krainy snu. Smakował jej słonawą skórę, głęboko wciągał sutki do ust. Wysunął się z niej i uwolniwszy palce z uścisku, pośpieszył w dół, by tam spróbować jej smaku...

Przycisnął usta do jej gładkiego kręgu, potem wsunął język nuędzy wargi,ssał, owijając go wokół jej czubeczka.

Jęknęła. Poruszyła się pod nim. Chwyciła prześcieradło.

- Austin.

Latami marzył, by wypowiedziała jego imię tym właśnie tonem.

- Czy mnie chcesz? - spytał, z trudem rozpoznając swój głos. Oddechem pieścił-jej gorącą skórę.

Czuł, jak jej palce wpijają się w boki jego głowy, czuł, jak jej mięśnie naprężają się pod dotknięciem jego dłoni.

- Tak.

Tym razem to było wolne i delikatne, czysta zmysłowość. A gdy razem osiągnęli szczyt rozkoszy, leżeli potem spleceni w uścisku i mokra skóra przylegała do mokrej skóry.

Rozdział dwudziesty ósmy

Gabrielle ujęła poduszkę i rzuciła ją na łóżko, na którym całkowicie ubrany Mark leżał rozłożony w poprzek.

- Wstawaj - rozkazała. Jęknął, ale nawet się nie ruszył.

- Rachel zadzwoniła, żeby się dowiedzieć, dlaczego nie jesteś w pracy.

Powiedziałam, że zachorowałeś.

Przewrócił się na wznak.

Cały wieczór wypróbowywali różne pozycje seksualne, a gdy wreszcie Gabrielle miała dość i poszła spać, Mark się nie położył. Budziła się wiele razy i za każdym razem widziała, że siedzi w salonie słuchając muzyki. Kiedy próbowała go namówić do spania, włożył dżinsy, wyszedł z domu i wrócił dopiero nad ranem. *

- Co się z tobą dzieje? - krzyknęła opierając kolano o brzeg łóżka, aż zajęczały sprężyny.

Uniósł się na tyle, by popatrzeć na nią zaczerwienionymi oczami.

- To twoja wina - odparł, oskarżycielsko wskazując na nią palcem. - Ty mnie do tego doprowadziłaś.

Jego ostre słowa dotknęły ją do żywego. Jak śmie ją winić? Wskoczyła kolanami na łóżko i rzuciwszy się na niego, chwyciła go za koszulę.

- Kłamca! - wrzasnęła mu prosto w twarz. - Okłamujesz mnie i okłamujesz siebie.

Cóż za psycholog z ciebie? Może nie skończyłam uniwersytetu czy innej szkoły, ale nie potrzebuję mieć niczego przed nazwiskiem, żeby się domyślić prawdy. Użalasz się nad sobą z powodu Molly!

Usiadł natychmiast, zupełnie przytomny, i zmierzył ją twardym spojrzeniem, I po raz pierwszy od pobicia w ciemnym zaułku Gabrielle ogarnął lęk. Mark oderwał jej ręce od koszuli i pchnął ją do tyłu.

- Nie próbuj mi udowadniać, że to ja mam problem.

W jej oczach zakręciły się łzy, ale nie zwracała na nie uwagi. Zaciśnęła tylko usta i dumnie uniosła głowę. Choćby miała pęknać, nie okaże mu, jak bardzo ją zranił.

- Świnia - tylko tyle zdołała wykrztusić. To jedno słowo wyszło z jej ust. Zamrugał, skulił się... i nagle pojawił się dawny Mark.

- Gabrielle - uniósł dłoń w bezradnym geście i gniew się już ulotnił. Patrzył na nią smutnymi, brązowymi oczami. - Gabrielle, przepraszam.

Westchnął ciężko i powoli pokręcił głową w wielkim zdumieniu.

- Co się dzieje? - powiedział cicho. - Muszę się jakoś pozbierać - dodał bardziej do siebie niż do dziewczyny.

Co się z nami stało? - zastanawiała się Gabrielle. A z nim? Czy to prawda? Czy ona, Gabrielle, jest trucizną?

Był taki niewinny. Taki czysty i nietknięty. Chciała go pociągnąć w dół, ale nie zdawała sobie sprawy, ile krzywdy może wyrządzić ktoś taki jak ona komuś takiemu jak on.

Przepraszam, cisnęło się jej na usta. Ale zaraz by się nad nią zaczął litować. Żeby uporządkować swoje życie, musiałby ją znienawidzić.

- Mięczak z ciebie - powiedziała, widząc wyraźnie całą sytuację. Mark nigdy jej nie pokocha. Jak ktoś taki jak on mógłby kochać kogoś takiego jak ona?

Obejrzała go od stóp do głów.

- Myślisz, że wpadłam po uszy, a jednak się mylisz. Prawda, niezły z ciebie kogut w łóżku, ale nic poza tym. Nudny jak flaki z olejem. Partyjki remika z tym starym pudłem na górze...

- Nie mów w ten sposób o pani Davenport.

Jego lojalność wobec staruszki jeszcze bardziej ją rozczuliła, ale skoro już zaczęła...

- Albo pieczenie ciasteczek do sprzedania na aukcji na cele dobroczynne. - Zaśmiała się z wysiłkiem, przypominając sobie, jak Mark cierpliwie uczył ją wycinania ciasta do foremek. - Babeczki! Który facet umie piec babeczki?

Chwyciła róg prześcieradła i pociągnęła ku sobie, wyrywając spod materaca.

Ruszyła wokół łóżka, by zrobić to samo z drugiej strony.

Tym razem zerwał się z pościeli, ale nie wyszedł z pokoju, tylko wziął ją w objęcia.

- Dlaczego się tak traktujemy? - spytał kołysząc ją ramionach.

Na moment pozwoliła sobie na pociechę czerpaną z pieszczoty, ale po chwili się odsunęła.

- Muszę iść - powiedziała.

Milczał przez moment, a potem przytaknął.

- Masz rację. Tak mi przykro, Gabrielle. Jak nigdy w życiu. Poczekała, aż pójdzie pod prysznic. Wtedy wzięła prześcieradło - swoje

własne - i rozłożywszy je na podłodze, zaczęła rzucać na środek ubrania. Robiła to bez chwili przerwy, aż zebrała absolutnie wszystkie swoje rzeczy, zatrzymała się tylko na moment, gdy Zbój ułożył się na szczycie stosu.

- Niegrzeczny kot. Bardzo niegrzeczny.

Podniosła go i cisnęła na podłogę, delikatnie, ale stanowczo. Ten gest zabolął ją niczym cios w serce. Zawsze chciała mieć zwierzątko w domu, lecz ojciec nigdy jej nie pozwalał.

- Przecież wiesz, jak nienawidzę kotów - powiedziała zbierając przeciwległe rogi prześcieradła i wiążąc je mocno.

Zarzuciwszy tobolek na ramię, wyszła nie oglądając się za siebie.

Gdy dotarła do ulicy i zaczęła machać na pojazdy, jej oczy napęłniły się łzami, a łkanie ścisnęło za gardło.

Taka stara i głupia. Żeby zabijać się w dobroczyńcy ludzkości. W kimś, kto chce zbawić świat. Świętym. Kto uważa się za lepszego od innych. Kto jest rzeczywiście lepszy od innych.

Za kierownicą pierwszego samochodu, który się zatrzymał, siedział obleśny facet. Sięgnął do drzwi i otworzył je.

- Wskakuj - rzucił, nie pytając gdzie jedzie i nie odrywając oczu od nagiego pępka widocznego nad paskiem spodni.

Jeszcze całkiem nie oszalała. Nie wskakuje do samochodu z byle mordercą \ i zbrojcem, który akurat przejeżdża obok.

- Idź do diabła - rzuciła ocierając nos i zatraskując drzwi. Facet wykonał obraźliwy gest i odjechał.

Następny zatrzymał się schludny uczeń szkoły średniej. Ale z nimi nic nie wiadomo. Nadal mrugając zażawionymi oczami, wrzuciła tobolek na tylne siedzenie.

- Znasz jakiś bar ze striptizem w okolicy? - spytała siadając z przodu. Uśmiechnął się nerwowo i trochę nieśmiało.

- Szukasz miejsca, żeby się napić? - zapytał wrzucając bieg.

- Nie, szukam pracy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Burza się skończyła.

Ucichł szalejący wiatr, strugi deszczu nie były już w okna. Na zewnątrz śpiewały ptaki. Donośnie, wesoło, jak to zwykle po ulewie. Przez zasłony płynęło słabe światło.

Wewnętrzny zegar Molly podpowiadał jej, że jest późny ranek, może nawet **dochodzi** południe. A wraz z nowym dniem powrócił też rosądek. Normalność. Świadomość. Austin.

Śpi obok niej.

Wróciło przekonanie, że nie zdoła spojrzeć mu w oczy.

Zanim obudzi się przy niej, zanim rozsądek zmieni w kpinę tę namiętność, którą widziała w jego oczach, musi uciec, odejść.

Wysunęła się z łóżka, zebrała ubranie i schroniła się w łazience. Gdy zamknęła drzwi na klucz, odkręciła prysznic, sprawdziła temperaturę wody i stanęła pod strugą.

To się zdarzyło już wcześniej, powiedziała sobie nacierając mydłem szorstką myjkę, ale ubiegłej nocy było inaczej. Intensywniej. I poprzednim razem, pod dębem, wydawało się mniej realne. W końcu było ciemno. I nie posunęli się tak daleko.

Okazała większą... rezerwę. Zachowała się jak na damę przystało. Z większą godnością. Ale ubiegłej nocy... Ubiegłej nocy...

To nie było uprawianie miłości, powiedziała sobie, lecz szalony, bez-rozumny seks. Widział ją w szponach namiętności.

221

Widział ją nagą. Nie tylko w dosłownym sensie, bez ubrania, ale całkowicie obnażoną. Wywróconą na nice.

I wykorzysta to przeciwko niej. W najmniej oczekiwanym momencie. Ośmieszy ją, by każdy mógł się napatrzeć i naśmiać do woli.

Znów ta sama sytuacja. Odsłoniła się przed nim. Pozwoliła, by ją kontrolował. Czy zawsze tak będzie w jej życiu? Czy zawsze musi pełnić rolę uległej ofiary? Czy tego podświadomie pragnie?

Nie. Nie zgadza się na to, nie pozwoli sobie w to uwierzyć.

Zagłębiała w plątaninie niemiłych myśli odruchowo skończyła mycie i zakręciwszy, wodę wyszła spod prysznicy. Wycierając się próbowała nie zwracać uwagi na obrzmienie sutek i czerwone ślady na skórze w miejscach, gdzie podrapał ją zarost Austina albo gdzie dłużej zatrzymały się jego wargi.

Nawet gdy się ubrała, jakoś nie mogła wyjść z łazienki. Czy jeszcze śpi? Wtedy zdołałaby wymknąć się na dwór. W pokoju obok rozległy się kroki.

- Molly? - mówiąc to nacisnął klamkę. - Dobrze się czujesz?

- Tak! - odchrząknęła odkręcając kurek. Woda rozprysnęła się po umywalce.

Zakręciła kurek. - Świetnie!

Wklepała zimną wodę w twarz, a potem spojrzała na odbicie w lustrze. Miała zarumienione policzki i nienaturalnie czerwone usta. O Boże, i ślad jego ostrego zarostu z boku twarzy!

Co powie, gdy to zobaczy? Jakich słów użyje, by z niej szydzić?

Serce waliło jej mocno w piersiach. Była niczym. Cała jej niezależność, wszystko, nad czym tak pracowała, rozpadło się w proch w ciągu jednej nocy.

- Molly?

Nie zamierza odejść. A ona nie może siedzieć w łazience w nieskończoność.

Rozczesała grzebieniem mokre włosy i zaciesała je za uszy. Po czym wzięła głęboki oddech, przekręciła klucz i otworzywszy drzwi przemknęła do kuchni, nie patrząc w jego kierunku, ale kątem oka zauważyła, że przynajmniej włożył dżinsy.

W ciasnej kuchni otworzyła szafkę i chwyciła puszkę z kawą. Nasypywała ją metalową łyżeczką. Liczyła w myślach: jedna, dwie, trzy... Czy wsypała już trzecią łyżeczkę? Spojrzała na proszek w papierowym rożku. Dwie czy

trzy? A może cztery? Nie umiała powiedzieć. Wyciągnęła filtr, wsypała kawę z powrotem do puszki i zaczęła wszystko od początku. Jedna, dwie...

- Co się u diabła z tobą dzieje?

Łyżeczka z brzękiem upadła na blat; kawa posypała się na podłogę.

- Robię kawę. A co to przypomina? - Nadal stojąc plecami do niego, sięgnęła po łyżeczkę. Ile nasypała? Znow straciła rachubę.

Austin za nią. **Kuchnia jest taka mała.**

Serce wali jak młotem. Czy on to słyszy? Czy słyszy?

Wsypała kawę nawet nie próbując liczyć łyżeczek. Włożyła filtr na **miejsce**, zakryła ekspres i włączyła.

Woda bulgocząc spływała do dzbanka. Coraz więcej kawy. W pomieszczeniu **nie było** już cicho. Jej lęk nieco ucichł. Nie była już tak zdenerwowana.

Musi coś powiedzieć, musi...

- Chyba powinniśmy zacząć zbierać się do domu. - Wreszcie to wykrztusiła.

Nie odpowiedział.

Wyjdzie z kuchni. Pójdzie do sypialni. A tam zacnie się pakować. Dobrze. Teraz.

No już! Odwróciła się.

Austin stał w drzwiach odcinając jej drogę ucieczki. Po raz pierwszy od poprzedniej nocy spojrzała na niego. Był boso. Bez koszuli, włosy potargane od snu. Od jej rąk, palców, które w nich błędziły.

O Boże.

Zaplótnł ręce z przodu, biodrem wsparł się o framugę. Kiedy przyjechała z Florydy, wyglądał tak staro. Jak to możliwe, by teraz odmłodził?

- Czujesz się nieswojo, co? - w jego głosie brzmiało lekkie rozbawienie. Zaczyna szydzić, dokładnie tak, jak się spodziewała. Będzie z niej kpił.

Upokarzał.

Jaka zmiana po wczorajszym dniu, gdy był taki załamany. Dziś jest pewny siebie, nawet kpiący. Czy tak właśnie zmieniają się mężczyźni dzięki bezsensownemu seksowi? Rosną o parę centymentów i wdeptują kobiety w ziemię?

Znow poczuła się tak, jakby się znaleźli na huśtawce na przeciwnych

końcach drewnianej deski. Nawet gdyby jego część była krótsza, i tak by z nim przegrała. Zawsze potrafił przeważyć i trzymać ją wysoko, rozpaczliwie przebierając nogami.

Próbując opanować drżenie palców, dotknęła nimi dolnej wargi. Gorąca i opuchnięta. Przyłożyła dłoń do podrapanego policzka, potem do czoła. Zaczynała ją boleć głowa.

- O to chodzi, prawda? - spytał. - Czujesz się nieswojo?

Zaczynał ją złościć ten wyraz rozbawienia na jego twarzy, gdy obserwował jej skrzępowanie. Skupiła się na tej złości, zaczęła z niej czerpać siłę. Jakież to typowe dla Austina - bawić się kosztem jej bólu.

- Nieswojo? - powiedziała wolno, żeby zrobić na nim większe wrażenie.

- Wstydzę się za siebie.

Jej atak go zaskoczył. Uśmiech, czający się w kącikach warg, zniknął.

- Wstydzisz? Ale czego? - Wyprostował się i odsunął od framugi.

- Jesteśmy małżeństwem. Ja jestem twoim mężem.

- Czyżbyś zapomniał, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżam? - próbowała wytłumaczyć coś, czego sama nie rozumiała - Czuję się...

Odwróciła się i stojąc plecami do niego chwyciła się kurczowo krawędzi zlewu.

Przez kuchenne okno widziała rozpaloną tarczę słońca. Jak to możliwe, by jedna burza narobiła tyle zamieszania?

Nie pozwoli znów zepchnąć się do roli mięczaka, za długo z tym walczyła.

Nie będę płakać! Nie będę!

Zaczerpnęła tchu, zamrugowała powiekami i wpatrzyła się w sufit.

- Czuję się jak użyta. Niczym dziwka na jedną noc. Cisza.

To okropne, potępiające milczenie, które tylko Austin potrafi zachować.

Nadal odwrócona do niego tyłem, wyrzucała z siebie szybko słowa, starając się zabić tę ciszę, zrozumieć, co się wydarzyło i ustawić to w odpowiedniej perspektywie.

- Ubiegła noc nie ma nic wspólnego z nami, z naszym życiem. To się po prostu wydarzyło, przede wszystkim na skutek hormonów. Kiedy dwoje dorosłych ludzi przez dłuższy czas jest... hmm, bez tego, zrozumiałe, że do czegoś takiego w końcu dochodzi. Ale to niczego nie zmienia. Nic nie może zmienić przeszłości. Ty nadal jesteś sobą. I ja też.

Wydał z siebie gniewne parsknięcie. Dosłyszała w nim zniecierpliwienie i złość.

- Nie możesz sobie odpuścić? - zapytał. - Czemu upierasz się, by wszędzie targać ze sobą przeszłość jak tę swoją starą, zniszczoną walizkę?

Walizka. Zawsze była źródłem nieporozumień między nimi. Nie ze względu na swą brzydotę - fakt niewątpliwy - ale z powodu tego wszystkiego, co symbolizowała.

Dla Molly stanowiła łącznik z przeszłością. Z osobą, którą niegdyś była. W oczach Austina oznaczała jej upór, niezgodę, by zerwać z dawną osobowością.

- Lubię tę walizkę. Jest częścią mnie. Tego, kim jestem.

Zdała sobie sprawę, że się kłóca, a nigdy wcześniej tego nie robili. Kłóca się z równą namiętnością, jak się kochali. Z zapamiętaniem. Nie myśląc

o jutrze czy choćby najbliższych pięciu minutach.

Odwróciła się, zapominając o łzach. Musi stanąć z nim twarzą w twarz.

Zdziwiła się, widząc jego zdumienie i wręcz przykrość, jakby nie rozumiał, skąd się wzięła ta sprzeczka. Jak przeszli od kochania się przez całą noc do kłótni?

Powiedziała sobie w duchu, że Austin się dziwi, bo ona nigdy mu się nie sprzeciwiała. On zawsze krzyczał, a ona cicho odchodziła.

- Skoro sama zaczęłaś, to może pomyśl, jak ja się czułem? - Przyłożył rozpostartą dłoń do piersi. - Moja żona w ciąży, ale nosi dziecko innego? Myślisz, że to było łatwe? Pierwszy raz kochaliśmy się w dwa tygodnie po ślubie, a i wtedy ty się rozplakałaś!

Wspomnienia tamtych dni tłoczyły się w jej głowie. Uprawianie miłości było okropne. Koszmar. Jakby nagle obudziła się w łóżku z kimś obcym. Bo i Austin był obcy. Poznali się dwa miesiące wcześniej.

Tamtej nocy tylko podciągnął w górę koszulę nocną i bez żadnych wstępów wszedł w nią.

Tak, płakała, gdy to robił. Ale nie tylko z bólu. Również dlatego, że jego nieporadne zachowanie gwałtownie wyrwało ją z otępienia, które owładnęło nią w chwili, gdy usłyszała o śmierci Jaya. Poczula, że zdradziła ojca swego dziecka. I uświadomiła sobie, że wychodząc za Austina, popełniła straszliwą pomyłkę.

- Wszystko stało się za szybko - powiedziała teraz. - A potem, kiedy poroniłam...

Nie chciała myśleć o tamtym dniu. Kolejny temat, którego nigdy nie poruszali. Kolejny fragment wspomnień, który wyparła ze świadomości.

- Też mnie za to obwiniałaś.

Prawda. Ale to nie była jego wina. Teraz to wie. Jeżeli ktoś **ponosił winę**, to ona sama. Bo o siebie nie dbała, bo pozwoliła, by dni żałoby **przerodziły** się w tygodnie. Miesiące. Jeżeli ktoś ponosi winę, to tylko ona.

O Boże. Nie chce o tym myśleć. Ale wspomnienia płynęły **nieproszone**.

Tego dnia była sama w domu. Austin po powrocie znalazł ją skuloną na podłodze.

Zaniósł ją do samochodu i zawiózł do szpitala. Ale było jeszcze coś. Nie mogła sobie tego przypomnieć. Coś kryło się za zasłoną niepamięci.

Austin stojący przy łóżku szpitalnym, jej krew na koszuli.

Była pewna, że to nie wszystko. Jeszcze coś.

Pamięć często płata figle, a ona była przecież pod wpływem silnych środków uspokajających. Może jej niewyraźne wspomnienia były czymś więcej niż tylko snem.

- Chcesz usłyszeć coś zabawnego?... - spytał Austin. - Kiedy się pobraliśmy, byłem prawiczkim.

Zachłysnęła się oddechem. Prawiczek. To śmieszne. Bardzo śmieszne. Tak zabawne, że aż ją dławi w gardle. Tak zabawne, że aż się rozplakała.

- Zaskoczyłem cię, co? Ale to prawda. Nie wiedziałem zupełnie nic o seksie ani o tym, jak sprawić kobiecie przyjemność. - Wepchnął ręce do kieszeni dzinsów i odwrócił wzrok. - Bałem się. Byłem straszliwie przerażony. A ty się rozplakałaś. - Wyrwało mu się westchnienie. - Chcesz usłyszeć jeszcze coś śmiesznego?

Pokręciła głową. Przyłożyła dłoń do ust; po policzkach płynęły strumyczki łez.

- Nie. - Usłyszała już dość zabawnych anegdot. Od śmiechu rozboleło ją gardło.

- Kochałem cię.

Pokręciła głową z niedowierzaniem. Nie pozwalała sobie na wiarę, tak samo jak nie pozwalała sobie na pamięć o tym krótkim okresie, gdy niemal udało im się zbudować małżeństwo.

To wszystko było nie tak. Zupełnie inaczej. Każdy ma swoją wersję wypadków.

Tymczasem Austin nie tylko opowiadał zupełnie inną historię, ale jeszcze stwarzał całkiem nowe postacie. Wszystko przeinaczał.

- Odwracasz kota ogonem - stwierdziła. - Próbujesz udowodnić, że to ty byłeś ofiarą, gdy tymczasem to ja jestem ofiarą. Tylko ja.

- Ofiarą?

Obiema dłońmi odgarnął włosy z czoła, ale niesforne kosmyki natychmiast wróciły na miejsce.

- Nie wierzę własnym uszom. Zawsze chciałem, żebyś ze mną rozmawiała, żebyś była bardziej otwarta, ale chyba wolę to, co było wcześniej. Do diabła. Nie spodziewałem się takiej nienawiści.

- Ja cię nie nienawidzę. Prychnął ironicznym śmiechem.

- To jak byś to określiła? Niechęć? Brak upodobania?

Nigdy nie potrafiła zgadnąć, dlaczego w ogóle ją poślubił. W tamtym okresie obumarła zupełnie w środku i nie umiała nad niczym się zastanawiać. Jay nie żyje. Jej życie się skończyło. Potem zjawił się Austin i przejął władzę.

W tamtym czasie potrzebowała właśnie kogoś takiego. Wyciągnął ją z depresji, skłonił do jedzenia, pójścia do lekarza. Dał jej poczucie bezpieczeństwa.

Potem ich związek stopniowo się psuł. Molly doszła do wniosku, że Austin się z nią ożenił, bo potrzebował nad kimś panować. Był typem dominującym, ona uległym.

Proste.

- Zrobiłaś mi krzywdę, Molly.

Jego słowa głęboko ją zraniły. Przez całe życie nikogo nie skrzywdziła. Nie mogła nawet znieść myśli o tym! Jak może mówić jej coś takiego?

- To ty mnie skrzywdziłeś! - wykrzyknęła.

- Aż mi się wierzyć nie chce, że rym razem łudziłem się nadzieją, że zostaniesz. Ale teraz wiem, że między nami nigdy się nie ułoży. Nawet za tysiąc lat. Za bardzo czepiasz się przeszłości. Niczego nie wypuszczasz z rąk. Nie pozwalasz odejść twojemu nieżyjącemu chłopakowi.

- Jay mnie kochał!

- Jay nie żyje! I przez ponad dwadzieścia lat karałaś mnie za jego śmierć! Jak zawsze postawił wszystko na głowie. Zamienił czarne na białe.

- To nie moja wina! - zawołała.

Wylewała z siebie te wszystkie tłumione przez ponad dwadzieścia lat emocje i niechęci. Wszystkie lęki, wątpliwości i ból.

- Mówisz o mnie jak o jakiejś okrutnicy bez serca. - A przecież ona taka

nie jest. Zawsze była za miękka. Zawsze pozwalała, by ludzie nią pomiatali. Pozwalała Austinowi sobą pomiatać. Można ją najwyżej oskarżyć o nadmiar wrażliwości i nadmierną troskliwość. - To nie ja jestem czarnym charakterem! - krzyknęła.

Wstrząsnął nią do głębi i okrutnie ją zranił.

- A ja jestem?

Był zły. Na szyi i ramionach pod skórą rysowały się ściegna. Dłonie, te same dłonie, które jeszcze parę godzin wcześniej dotykały jej tak delikatnie, zacisnął w pięści. -

Austin pokazał Molly męską wściekłość. Wcześniej nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. Sammy był tak dobry i radosny. Jay był tak beztroski, zawsze skory do śmiechu.

Austin był tak mroczny.

Przeraził ją, gdy ruszył w jej kierunku.

Jedyna droga do wyjścia prowadziła obok niego. Jeżeli się pośpieszy, jeżeli przemknie się między nim i lodówką, jeżeli go zaskoczy...

Rzuciła się w wąski przesmyk. Całym ciężarem przyduśił ją do lodówki i chwycił za ramiona.

- Uderzysz mnie, co!?! - krzyknęła, jej twarz była zaledwie parę centymetrów od jego twarzy. - To będzie coś nowego. Następny krok po obelgach. A może mnie zgwałcisz? Zedrzesz ubranie i zgwałcisz? To nie będzie nic nowego!

Skrzywił się, twarz mu zbieleła.

To było kłamstwo i dobrze o tym wiedziała. Tego, co z nią robił, nikt by nie uznał za gwałt, bo ona mu na to pozwalała. Ale chciała się na nim zemścić, zranić go tak samo, jak on ją ranił. W dodatku się bała.

Rozluźnił uścisk.

Atakowała dalej, bo gdy zaczęła, nie umiała się już powstrzymać.

- Nigdy mnie nie kochałeś! - wykrzyknęła. - Kochałeś władzę nade mną. Znęcanie się, aż po kres wytrzymałości. Ośmieszanie przed innymi. Uwielbiałeś wyśmiewać mój sposób ubierania, fryzurę. To, co mówiłam. Uderz! No proszę! Wolę, żebyś mnie bił.

Patrzył na nią z niezwykłym bezruchem na twarzy.

- Czy potrafisz zaprzeczyć, że tak właśnie mnie traktowałeś! - znów wykrzyknęła. - Potrafisz?

Zamknął oczy i uniósł twarz ku sufitowi. Widziała, jak przy przelicykaniu śliny porusza się jabłko Adama. Płytko zaczerpnął powietrza, ruch jego torsu poczuła na swoim brzuchu. Pochylił głowę na tyle, że widziała, jak otworzył oczy.

Nie było w nich już piewu, tylko porażka. Był złamany, tak jak w szpitalu po wylewie.

- Widziałem, jak kochałaś swojego brata i Amy - powiedział. - Jak kochałaś Jaya. Nie mogłem się z nimi równać. Nie potrafiłem cię rozśmieszyć tak jak Sammy. Nie mogłem stać się częścią ciebie tak jak Amy. A Jay... Nie umiałem cię tak całować jak on. Tak tulić jak on.

Patrzył teraz niewidzącym spojrzeniem, jakby skierował je do wewnątrz, na samego siebie.

- Masz rację - przyznał wreszcie, o wiele lat za późno. - Chciałem cię zranić. — Puścił ją i odsunął się o krok.

Czuła, że na ramionach odbiły jej się jego dłonie.

- Masz rację.

- Tak - potwierdziła, spoglądając na niego przez łzy.

Rozejrzał się po maleńkiej kuchni, jakby ją widział po raz pierwszy.

- A więc to tak - głęboko wciągnął powietrze. - Wszystko skończone. Żałuję, że to się tak skończyło. Szkoda, że nie możemy choć zostać przyjaciółmi. Molly, na Boga.

Wreszcie go pokonała. A więc tak wygląda jej zwycięstwo? Wygrywając poniosła klęskę. Ona również została zmiażdżona.

Rozdział trzydziesty

Pakowanie.

Austin wyciąpnął przemoczony śpiwór spomiędzy drzew, zawinął go w plastik i wrzucił do bagażnika. Jeśli on i Molly mijali się w trakcie pracy, odnosili się do siebie uprzejmie niczym dwoje nieznajomych.

Kiedy wszystko zebrali, ruszyli do domu.

W czasie drogi, gdy jechała uwięziona w samochodzie z Austinem, ogarnął ją spokój. Głęboki spokój śmierci. I trwał w niej w trakcie siedmiogodzinnej podróży do domu. Pozostał z nią w La Grange. Pozostał z nią, gdy porządkowała wszystkie sprawy Austina. Kiedy płaciła rachunki i robiła zapasy.

Czy to ci potrzebne? - Molly trzymała w dłoniach ptaszka, którego znalazła w koszu na śmieci.

Na twarzy Austina na moment odmalował się ból, by natychmiast ustąpić miejsca obojętności. Pokręcił głową.

- Był w śmieciach.

- Wyrzucić.

- Skąd się tu wziął?

- Nie wiem.

Wróciła do gabinetu. Jednak zamiast wyrzucić, postawiła ptaka na półce obok książek.

Przeglądając zawartość teczek, natrafiła na kupione przez Austina akcje różnych przedsiębiorstw. Zniosła mu ten plik papierów.

- Chyba powinienes coś z tym zrobić. Może część sprzedać? Może byś p tym porozmawiał ze Stanleyem z waszego biura.

- Sam się tym zajmę - oświadczył biorąc od niej papiery.

Wyszedł, a w parę minut później usłyszała, że samochód wyjeżdża z garażu. Austin prowadził. Zupełnie sam. Wrócił po piętnastu minutach z „The Wall Street Journal” po pachę. Poradzi sobie. Potrafi żyć bez niej.

Zadzwoiła w parę miejsc. Do Amy, Melindy i Chrisa. Potem do Sammy'ego i Rachel.

A wreszcie do Gabrielle. Powiedziała szwagierce, że wkrótce wyjeżdża. Poprosiła, by co jakiś czas zaglądała do brata.

- W głębi ducha marzyłam, że jakoś się dogadacie - powiedziała Gabrielle.

- Za wiele rzeczy się wydarzyło. Zbyt wiele lat minęło.

- Chyba tak. Masz zamiar zajrzeć do Marka przed wyjazdem? - Gabrielle zmieniła temat.

Molly przyrzekła sobie, że więcej nie będzie już uciekać. Ale Mark... Zły moment. Fatalny. Jeżeli go zobaczy, zupełnie się rozklei.

- Sama nie wiem...

- Przynajmniej zadzwoń - nalegała Gabrielle. - Chociaż tyle mu się od ciebie należy.

Molly zadzwoniła do Marka.

- Chciałam się pożegnać.

- Mfe wpadnę do ciebie? Poszlibyśmy gdzieś na kawę.

Dostała gęziej skórki. Miała ochotę się rozplakać. Byłoby tak łatwo, tak przyjemnie oprzeć się na nim. Ale nie mogła. To by było nie fair wobec niego i nie fair wobec siebie samej.

- Kiepski pomysł - udało jej się wykrztusić w miarę spokojnym tonem.

- Molly, będę za tobą tęsknił.

- Ja też.

- Muszę cię o to zapytać, muszę to wiedzieć. Czy mogę mieć choć odrobinę nadziei?

- Och, Mark.

Kochała go. Ale to był inny rodzaj miłości. Matki do dziecka. Siostry do brata. Uczucie do przyjaciela.

- Tylko mi tego nie mów - błagał. - Nie chcę słyszeć, że uważasz mnie za przyjaciela.

- Czy... - Wzięła głęboki oddech. Przełknęła ślinę. - Czy nadal udajesz Elvisa?

- Jutro w Sali Conrada.

- Szkoda, że cię nie mogę zobaczyć.

- Będę o tobie myślał śpiewając *Hotel pod Złamanym Sercem*.

- Nie mów tak.

- Tylko żartowałem. Ale ona знаła prawdę.

- Nie czujesz do mnie nienawiści? - spytała. Dał jej siłę. Pomógł jej zobaczyć, że jest coś warta. W pewnym sensie pomógł jej wrócić do życia. - Zostaniesz moim przyjacielem? Na zawsze?

- Na zawsze.

Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć, poza słowami pożegnania.

- Opal się zamiast mnie, dobrze? - poprosił.

- Jasne - wciągnęła powietrze. - Mark?

- Tak?

- To cześć.

Mark siedział z dłonią na telefonie, nie miał sił, by przerwać to ostatnie połączenie. Wreszcie odłożył słuchawkę, wstał i poszedłszy do kuchni wygrzebał butelkę whisky, którą Gabrielle zostawiła tutaj odchodząc.

Stukanie. Nie odpowie.

Zbój zamiauczał. Mark przyłożył palec do ust.

- Cii..,

Drzwi się otworzyły i weszła Rachel. Stara poczciwa Rachel. Doktor Rachel. Jego mistrz. Leciał na nią, nim na horyzoncie pojawiła się Molly.

Podeszła do miejsca, gdzie leżał rozwalony na wznak na podłodze.

- Aleś się załatwił - stwierdziła.

- Dziękuję. Chyba pamiętam ciebie w gorszym stanie. - Machnął dłonią w powietrzu. - Jeżeli szukasz Gabrielle, to jej tu nie ma.

- Szukam ciebie.

- Hmm, no to jestem.

- Ale w ilu procentach? Czy potrafisz się pozbierać na tyle, żeby jutro pracować? Doktor Fontana grozi, że cię wyrzuci.

- Woale nie jestem pewny, czy chcę dalej bawić się w to nudziarstwo. Słyszałem, że w barze „U Denny'ego” szukają kogoś do zmywania wieczorami.

Zacisnęła usta i wzruszyła ramionami.

- Rozumiem cię. Taka okazja awansu.

O, ho, ho, stara Rachel rzeczywiście rozwija poczucie humoru.

- Wiesz, co pomyślałem? - rzucił w zadumie. - Że powinniśmy się zająć operacjami plastycznymi. Reperować ludzi od zewnątrz.

- Daj spokój - chwyciła go za ramię i pociągnęła do góry. - Zapraszam cię na obiad. Za długo siedziałeś tu sam.

- Ranisz uczucia Zbója. - Zerknąwszy na kota, Mark odetchnął z ulgą - na szczęście nie usłyszał. Był zajęty lizaniem łapek i myciem pyszczka. W sumie całkiem niezły pomysł.

Mark popatrzył na Rachel. Stara, poczciwa Rachel. Przeszła przez piekło, ale teraz jest szczęśliwa. Dowód, że dobrym ludziom czasem trafia się coś dobrego. ' ^

Nim wyszli z mieszkania, Mark zajrzał do łazienki. Ściągnął koszulkę, rzucił ją na podłogę i sięgnął po maszynkę. Kiedy się golił, Rachel stała w drzwiach i opowiadała mu o nowej pacjentce: kobieta z diagnozą - agorafobia.

- Jak sobie radzi? - zapytał przeciągając żyletką po szczęce.

- Ma niezłą pracę. Jest DJ w radiu „KGRS”.

- „Mary o północy”? - pociągnął po raz ostatni, a potem opłukał maszynkę.

- Słyszałeś o niej?

- Głos ma taki, że potrafi rozpuścić facetowi kości.

- A więc nie żartowała mówiąc, że wychodzi z domu tylko wieczorem.

- Kiedyś jej często słuchałem - powiedział wyraźnie zaciekawiony. - Chyba nawet sobie wmówiłem, że się w niej durzę.

Otarł twarz ręcznikiem. Podeszedł do szafki, wyjął białą koszulkę polo, wciągnął ją przez głowę i przeczesał palcami włosy.

- Dokąd idziemy? - spytał.

- Co powiesz na pizzę?

Nagle zdał sobie sprawę, jaki jest głodny. Cieszył się, że Rachel do niego zajrzała.

- Może tam, gdzie grają taką straszliwą muzykę?

- „U Kapitana Zigzaga”? Może być.

- Czy ona ma naprawdę na imię Mary? - spytał Mark, kiedy szli po schodach do wyjścia.

Liście na białym orzechu zaczęły żółknąć. Jesień.

Gabrielle nienawidziła jesieni. Oznacza nadejście zimy, a ona była letnim stworzeniem, które nie znosi grubo się ubierać.

- Przyprowadzałem tutaj Amy - powiedział Austin siadając obok niej na ławce w parku. - Lubiła karuzelę. Nazywała ją wielki-kręcioł.

- Brzmi jak nazwa lodów. Albo ksywka oszusta.

Uśmiechnął się z tego żartu. Ale był to smutny uśmiech. Nie obejmował oczu.

- Molly wyjeżdża - rzucił, nie patrząc na siostrę.

- Wiem. Bardzo mi przykro - oparła głowę na jego ramieniu. Przed wylewem nie wykonałaby takiego gestu. - Wpadnę co jakiś czas pomóc ci robić zakupy. Opłacić rachunki. I tak dalej.

- Świetnie. Ale żebyś wpadała mnie odwiedzić, nie tylko z pomocą.

- Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale spotkasz jakąś inną kobietę. Baby zawsze na ciebie leciały.

Uśmiechnął się tym krzywym uśmiechem, który właściwie był bardzo pociągający.

Kochał Molly i na tym polegał kłopot, ale przecież nawet Gabrielle musiała przyznać, że w bratowej jest coś, co przyciąga ludzi. Przełknęła ślinę. Marzyła o papierosie, lecz nie chciała palić przy Austinie.

- Muszę ci coś powiedzieć - z poszarpanego brzegu obciętych nad kolanami spodni wyciągnęła nitkę i nawijała ją na palec. - Pamiętasz, jak ci

powiedziałam, że mam dobrą pracę... i zdałam egzaminy? No więc, skłamałam. Nie mam matury wieczorowej... A jeśli chodzi o pracę... - Przestała szarpać materiał, tym razem uderzała pięściami w udo. - Jestem striptizerką.

- Wiem.

- Wiesz o tym?

- Kilka lat temu byłem w Rockford i szukając centrum konferencyjnego skręciłem w złą ulicę. Jeździłem szukając drogi, gdy zobaczyłem na barze plakat z twoim zdjęciem.

-Och.

-Napoczątku byłem wściekły. Chciałem wyskoczyć z samochodu i go zerwać. Ale potem... zrobiło mi się... sam nie wiem. Jakoś pusto. Nie potrafiłem w ogóle o tym myśleć.

- Przepraszam - wykrztusiła w końcu Gabrielle.

- Nie ma sprawy. Już mi to nie przeszkadza. Powiem szczerze: wolałbym, żebyś robiła coś bezpieczniejszego. Pracowała w piekarni albo gdzieś indziej. Kiedy pomyślę o tych wszystkich szajbusach...

Gabrielle cicho westchnęła. Austin się zmienił. Jego choroba sprawiła, że był o wiele bardziej tolerancyjny.

- Nie martw się o mnie - powiedziała poprawiając golf, tak by zasłaniał resztki sińców na szyi. - Jestem twarda. Zatrąszę się o siebie. Ale naprawdę chodzę do szkoły wieczorowej. Tym razem nie kłamię. Spotkałam takiego faceta, wygląda na dzieciaka, ale uczy w klasach na poziomie szkoły średniej. Namówił mnie, żebym zaczęła.

I powiedział także, że jest piękna, a tego bardzo potrzebowała.

- Cieszę się.

Przypomniała sobie o chlebie, który dała jej Molly, nim wyszli z domu. Wygrzebała go z torebki i podała Austinowi pokruszoną kromkę. Odgryzł kęs, po czym oderwał kawałek i rzucił gołębim.

- Pamiętasz, jak byliśmy mali... - Gabrielle zapatrzyła się na grupę dzieci kręcących się w kółko, tak długo, że od zawrotu w głowie padały na ziemię. - Leżeliśmy na plecach na trawie i patrzyliśmy w gwiazdy.

Roześmiał się.

- I powiedziałaś, że będziesz pierwszą kobietą w przestrzeni kosmicznej.

- A w dwa lata później poleciała ta babka.

- To powinnaś być ty.

- Hmm, prosili mnie, ale byłam zajęta. A pamiętasz, jak wypatrywaliśmy tego statku kosmicznego? Wos..

- Wostok?

- Tak. Ludzie mówili, że jesteśmy za bardzo na północ, żeby go zobaczyć, więc weszliśmy na dach. I widzieliśmy go, prawda? To był on, nie?

Nadal chciała, żeby to była prawda, choć w głębi duszy przecież wiedziała, że to były światła lądującego samolotu.

- Tak - potwierdził cicho Autsin. - Widzieliśmy go.

Razem patrzyli, jak zrywa się wiatr, a żółte liście spadając z drzew w jego powiewach płyną w górę, nim opadną na ziemię.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Już prawie czas na nią.

Walizka czekała przy drzwiach. Bilet w torebce. Taksówka przyjedzie za pół godziny;

Amy błagała matkę, żeby pozwoliła się odwieźć na lotnisko, ale odmówiła.

- Nie chcę rozziewających scen na lotnisku - powiedziała córce. I ucałowała obie, Amy i Melinę, na pożegnanie. Patrzyła, jak Amy wsadza dziecko do samochodu, patrzyła, jak odjeżdżają i machała, aż pojazd zniknął jej z oczu.

Teraz musi pożegnać się z Austinem.

Poprzednim razem zostawiła mu list. Teraz była mocniejsza, ale to nie znaczy, że będzie to łatwiejsze.

Znalazła go spacerującego po podwórku w pobliżu zaniedbanego ogródka; chodził z rękami w kieszeniach.' ^

On się zmienił, zdała sobie sprawę. Kiedyś rzadko nosił dżinsy i jeszcze rzadziej wychodził do ogrodu.

- Zamówiłam taksówkę - zwróciła się do niego.

Popatrzył na nią obejmując spojrzeniem prostą, dżinsową spódnicę, białą bluzkę z podwiniętymi rękawami, gołe nogi. Potaknął i odwrócił się; oglądał chwasty zarastające rabatki.

W końcu nic tu nie posadziła, nawet żadnych roślin jednorocznych. Austin może to teraz kazać przekopać i obsiać trawą.

Rozejrzała się po podwórku.

- Pewnie będziesz chciał zdjąć karmniki i domki dla ptaków - powiedziała. - Gabrielle chętnie ci pomoże.

- Jakoś się przyzwyczailem do ptaków - wzruszył ramionami. - **To** podobno oznaka starzenia. Obserwowanie ptaków.

Uśmiechnęła się na myśl o karmie dla ptaków, którą znalazła w zamrażalniku.

- Jeżeli chcesz je zostawić, to karmniki i domki trzeba czyścić, bo ptaki mogą złapać jakieś choroby.

- Zajmę się tym.

Jeśli coś obiecał, to na pewno to zrobi.

Nagle poczuła zapach. Kwiatowy, jakby z odcieniem drzewa sandałowego.

Znajomy. Przyniósł ze sobą zew przeszłości. Obudził w niej gorzko-słodki ból, wspomnienie, którego nie umiała sprecyzować.

- Co to? - zapytała bardziej siebie niż Austina.

- Co?

- Ten zapach. Jakby kwiatu. - Nie umiała go określić. - Jak... Sama nie wiem. -

Potrząsnęła głową. Czowała tę woń wiele lat temu i od tego czasu nic podobnie nie pachniało.

Austin pochylił się nad kępą chwastów. Kiedy się wyprostował, trzymał coś w dłoni. Kwiat. Różę.

Jej różę. Słodką Burgundię. Powąchał i podał Molly.

- Uważaj na kolce - ostrzegł, gdy brała w palce łądygę.

Ile lat minęło od chwili, gdy widziała ten aksamitny, barwny kwiat? Czowała ten oszałamiający zapach?

Zaszczepiła krzew wiele lat temu, przed urodzeniem Amy. Przed Austinem. Kiedy ona sama była inną osobą. Młoda. Zakochana. W głowie pełno marzeń. Ta róża stanowiła jej przyszłość. Nigdy wcześniej nie wyhodowano tak wspaniałej nowej odmiany, o tak pięknym kolorze, woni i wielkiej obfitości kwiatów.

A potem Jay zginął. I jej dziecko umarło. I jej Słodka Burgundia nigdy więcej nie zakwitła.

Dotknęła miękkich, aksamitnych płatków. I znów poczuła ten zapach. Tak boleśnie znajomy. Jak stara piosenka. Suknia zapakowana w szeleszczące bibułki i nietknięta przez wiele lat.

Boli. Z całego serca chciała znów być tak niewinna.

- Podlewałem krzak - wyjaśnił Autsin. - Ale sądziłem, że coś źle robię. Tylko jeden kwiat. A róże chyba nie kwitną jesienią, prawda?

- Nie - nie miała serca mu powiedzieć, że dbał o martwą roślinę. Ostrożnie urwała kolce. To już nie jest jej krzak, teraz należy do Austina.

Jakoś czułością przekonał go, by zakwitł, a jej się nie udało. Pod milczącym spojrzeniem Austina wsunęła kwiat w dziurkę od koszuli. Podlewał jej różę. **Karmił** jej ptaki.

W tym momencie rozległ się klakson samochodu. **Taksówka.**

Popatrzyli sobie w oczy. Na moment we wzroku Austina zamigotało przerażenie, ale natychmiast znikło.

- Poradzisz sobie - pocieszyła go. - Amy i Gabrielle będą wpadać. - Tu zniżyła głos.

- A i sąsiedzi się tobą zajmą. Tylko nie jedz tych tłustych deserów, którymi pani Berquist próbowała cię karmić. Powiedziałam jej, że musisz uważać na poziom cholesterolu, lecz to zupełnie do niej nie dotarło.

Uśmiechnął się tym lekko krzywym uśmiechem; jedyny ślad wylewu, którego nie pokonał. Śmieszne, ale dzięki niemu wyglądał młodziej i nie jak wcielenie ideału.

- Zastanawiałem się, czyby sobie nie kupić psa - powiedział.

- Dobry pomysł.

Dwa lata temu nie potrafiłaby sobie wyobrazić Austina z psem. Nie starczyłoby mu cierpliwości na zajmowanie się zwierzęciem, nie zniosłby bałaganu. Ale teraz to możliwe. 'Mógłby być duży pies, który by gryzł drobiazgi i zostawiał sierść na meblach.

Czekał, aż Molly odjedzie.

To już koniec. Miała zamiar powiedzieć, że niedługo wyśle mu pozew rozwodowy, ale słowa nie chciały wyjść z zaciśniętego gardła.

- Do widzenia - wykrztusiła tylko. Przełknął ślinę i potaknął. Odwróciła się.

Nogi miała jak z żelaza, gdy szła przez podwórko, na którym Amy potykała się, ucząc się chodzić. Oczyma duszy widziała ją w żółtym kraciatym kombinezonie.

Te tłuste nóżki... Przez dom. Przez framugę drzwi, na których znaczyli wzrost Amy.

Austin

był zły, kiedy Molly nakreśliła pierwszy znak na drewnie, **ale potem to** on pilnował dokonywania kolejnych pomiarów.

Molly podniosła zniszczoną walizkę, która kiedyś należała do Jaya. Czy Austin o tym wiedział? Czy jakoś to wyczuł? Może dlatego tak **bardzo jej** nienawidził?

Ona sama lubiła zapach płynący ze środka. Pleśni i cedru. Dawnych lat. Przeszłości. Przez drzwi frontowe i podjazd, po którym Amy kiedyś szybko pedałowala na rowerze. Między rzędami pomarańczowych i żółtych nagietków. Teraz nie było ni nagietków.

Odejść z domu. Domu, który wybrała razem z Austinem na krótko przed urodzeniem się Amy. Austin zawsze marzył o piętrowym domu. Molly zawsze marzyła o dużym ogrodzie, w którym będzie dość miejsca, by hodować róże. Kierowca pomógł Molly włożyć walizkę. Kiedy znalazła się w bagażniku, a pokrywa została starannie zamknięta, Molly wsunęła się na tylne siedzenie i podała cel podróży. Zawrócił na podjeździe i wyjechał na główną drogę.

Byle dalej.

Molly wyglądała przez okno, gdy mknęli znajomymi ulicami. Postępując właściwie, powtarzała sobie w myślach. Jeżeli robi dobrze, to dlaczego to tak boli?

Podejmowanie decyzji zawsze przychodziło jej z trudem. Nigdy nie była pewna, czy robi dobrze, aż klamka zapadła. I było już za późno. Jak po ślubie z Austinem.

Gdyby ktoś zrobił im test na to, czy do siebie pasują, oblaliby go sromotnie.

Okazałoby się, że nic ich nie łączy, a ich charaktery są przeciwstawne.

Ale podlewał jej róże.

Karmił jej ptaki.

I pojechał na kemping. Stał na deszczu w samym centrum burzy. Kochał się z nią tak, że wstrząsnął nią do głębi. Przeraził ją. - To dlatego odchodzisz? - zapytała samą siebie. Czy Austin miał rację? Czy naprawdę przez całe małżeństwo patrzyła za siebie, a nie do przodu? Ale przecież ludzie właśnie tak robią? Pamiętają!

247

A ona nie pamiętała zimowego, lodowatego wieczoru w parku, gdy Austin owinał ją swoim paltem i mocno przytulił.

Myślała, że on się zmienił. Ale czy na pewno? Naprawdę? A może widziała go wyraźniej? Może zobaczyła go po raz pierwszy w życiu?

Taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle. Na ułamek sekundy, zanim światło zmieniło się na zielone, kierowca nacisnął gaz i samochód pomknął do przodu przez skrzyżowanie.

Jedźcie za szybko. Za wcześnie dojadą na lotnisko.

Nie jestem gotowa.

Jej myśli powróciły do tematu, który ją dręczył od czasu kłótni w domku kempingowym.

Poronienie. Skutecznie wyparła je ze swoich myśli wiele lat temu i nie potrafiła nawet znieść wspomnień. Tamtego ranka w domku kempingowym po raz pierwszy świadomie starała się je przywołać. I od tego dnia wspomnienia stawały się wyraźniejsze. Teraz widziała Austina stojącego przy szpitalnym łóżku, a w oczach błyszczało mu coś bardzo przypominającego łzy. i Czy on naprawdę płakał?

A jeśli nawet tak, to cóż to za różnica? Wszystko zdarzyło się tak dawno temu. Jakież by teraz mogło mieć wpływ na jej życie?

A jednak pasowała się ze sobą, starając się przypomnieć sobie więcej szczegółów, zobaczyć je wyraźniej.

BÓL.

Jakby ją ktoś rozdzierał. , Kiedy Austin przyszedł do domu i znalazł ją skuloną na podłodze, ból i przerażenie oładnęły nią całkowicie. Tylko one istniały.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła utożsamiając Austina z cierpieniem. - Jay! Chcę Jaya!

Ale Jay nie żył. Jak mogła zapomnieć o śmierci ukochanego Jaya?

- Wezwij Sammy'ego!

Ale Sammy był w Wietnamie.

Była sama. Nie miała zupełnie nikogo. Tylko Austina.

A jego się bała.

248

Stał nad nią wielki i przerażający. Rysy twarzy ostre i niezrozumiałe, coraz częściej tak wyglądał. Bała się! Nie chciała, żeby to on przy niej był. **Ktoś** inny, nie Austin. Potrzebowała oparcia, pomocy i zrozumienia. A nie dezaprobaty.

- Idź sobie! - wrzasnęła, a ten okrzyk odbił się echem od ścian pokoju i zadźwięczał w jej głowie.

W dłoniach trzymał koc. Zakryje nim jej twarz.

- Jeszcze nie umarłam! - krzyknęła. - Może i tego chcesz, ale **ja żyję!**- Jęknęła i podkuliła kolana; ból oddzielał ją od rzeczywistości.

Jak przez mgłę czuła, że otula ją kocem. Spokojny, porządny Austin. Czy jest zdolny do innych uczuć poza gniewem? Nie знаła nikogo takiego jak on. Kogoś tak twardego, pozbawionego emocji. Dlaczego, och, dlaczego wyszła za niego za męża? Była przerażona. Okropnie przerażona!

Pochylił się, by ją podnieść.

- Nie dotykaj mnie!

Ból. Straszliwy ból. Szlochała histerycznie, wyglądała jak idiotka i zachowywała się jak idiotka. Austin nie tolerował idiotów. Jeżeli już wcześniej jej nie zniecierzył, to teraz to zrobi.

- Nie! Puść!

Podniósł ją i trzymał w ramionach. Kolejny atak straszliwego bólu. Przed oczami widziała tylko czerwoną mgłę. Coś powiedział, ale już nie rozumiała słów. Nie pamiętała, jak ją zaniósł do samochodu. Ani jak ją wiozł do szpitala. Dziecko! O Boże, jej dziecko!

Na pogotowiu otoczyły ją białe ściany, biały sufit. Przeraźliwie jaskrawe światło. Twarze kobiet i mężczyzn patrzące na nią z góry. Nieznany lekarz. Wyjaśnił komuś innemu w pokoju, że ból był większy niż w czasie zwykłego porodu, bo dziecko nie jest gotowe do przyjścia na świat.

Za wcześnie. Za wcześnie...

Wtem ból ustał.

Na początku nie zastanawiała się nad przyczyną. Czuła jedynie błogosławioną ulgę. Jednak szybko powróciła do rzeczywistości. Dlaczego już nie targa nią ból? Czy ustały skurcze? Czy dali jej coś na wstrzymanie porodu?

Gzy nic się nie stało dziecku?

- Błagam, niech tylko maleństwo będzie zdrowe!

Usłyszała czyjeś łkanie i uświadomiła sobie, że to ona płacze. Jay, dlaczego umarłeś i zostawiłeś mnie samą?

- Molly? - niski głos nabrzmiały uczuciem. Jaya? Nie, to nie jego. Ciepła dłoń ujęła jej lodowate palce. Ktoś odgarnął włosy z jej czoła.

Gładził ją delikatnie po głowie.

Próbowała wyteńczyć wzrok, ale łzy przesłaniały jej oczy. Płynęły w dół policzków, skapywały na włosy. Usta jej drżały.

- M...oje dziecko?

- Molly, tak... - Głos załamał się. Mężczyzna przycisnął czoło do ich splecionych dłoni. - Tak mi przykro. Tak strasznie.

Łkanie. Głębokie, wyrywające się z gardła łkanie mężczyzny.

Kto płakał przy jej łóżku? Kto jeszcze miał tak złamane serce jak ona?

Próbowała go pocieszyć. Chciała ubrać w słowa swoje myśli, ale jej umykały.

Chciała uścisnąć jego dłoń, lecz nie mogła.

- Dziwnie - powiedziała; jej język poruszał się opornie. - Dziwnie się czuję...

Zamrugła oczami, by lepiej widzieć. Musi wiedzieć, musi zobaczyć... Ten mężczyzna zniknął. Przy łóżku stał Austin. Przyśniło jej się to wszystko.

- Dali ci środek usypiający - powiedział. - Zaraz uśniesz. Spać.

- Chcę spać.

Jej dziecko. O Boże. Jej maleństwo. Musi spać. Usnąć i nigdy się nie obudzić.

Z ust Austirfa wydobył się dźwięk, jakby się krztusił albo zdusił łkanie. Ten dźwięk sprawił, że zaczęła go mylić z mężczyzną ze snu. Biedny Austin. Nie zasłużył na takie problemy. Powinien był ożenić się z dobrą dziewczyną, która nie oczekiwała dziecka kogoś innego...

Tok jej myśli się urwał.

- Przepraszam - powiedziała, a jej głos brzmiał, jakby wychodził z ust kogoś innego.

- Przepraszam, że ci pokręciłam życie.

- Nie pokręciłaś mi życia.

Odpływała... leżąc na dmuchanym materacu na środku basenu. A może to był ocean? Na wargach poczuła smak soli. A więc to ocean...

- Ty jesteś moim życiem - usłyszała głos obok siebie.

Co Austin robi w jej śnie? Próbowała otworzyć oczy, ale nie mogła.

250

Próbowała słuchać, ale było za późno. Za późno... Ocean miał gładką tafle, choć pod spodem kryła się głębia. Mrok. Wolno zanurzała się w ciemne, głębokie wody.

Proszę pani, jesteśmy na miejscu.

Zaskoczona Molly zobaczyła, że taksówka stoi w miejscu.

Byli na lotnisku. Przed wejściem.

„Ty jesteś moim życiem.”

Czy to Austin powiedział? A może to był narkotyczny sen? Molly musiała czuć się potrzebna, zaś Austin nigdy jej nie potrzebował. Albo tak tylko sądziła.

- Licznik nadal bije - przypomniał jej taksówkarz. - I ludzie za nami czekają, żeby wysiadać.

„Ty jesteś moim życiem.”

Czy rozpacz ją oślepiła? Czy w smutku tak bardzo pograżyła się w sobie, że nie dostrzegła własnego męża? Nie wiedziała.

Jedno tylko wie: nie może odejść. Nie teraz. Jeszcze nie. Przynajmniej do chwili, aż pozna prawdę.

- Zapomniałam o czymś - pochyliła się do kierowcy. - Musimy wrócić. Ze stoickim spokojem taksówkarz westchnął, wrzucił bieg i odjechał od krawężnika.

Ile razy wyobrażała sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby Jay żył? Wspaniale.

Zawsze widziała je jako wspaniale. Oczywiście takie by nie" było. Nikt nie ma idealnego życia. Każdemu trafiają się kłopoty i kłótnie. „Nie umiałem cię całować jak on. Nie umiałem cię tulić jak on.”

Austin siedział w ich dawnej sypialni odwrócony tyłem do drzwi, a wokół unosiła się woń róży, którą Molly przypięła mu do koszuli. Dlaczego nie poprosił, żeby została? Dlaczego nie powiedział, że ją kocha, nie tylko wczoraj, ale dziś, jutro?

Duma.

244

Lęk.

Aż taksię nieponiży. Nie da jej okazji do odrzucenia.

Żałował tylko, że jej nie przeprosił za wszystkie okrutne słowa, jakie powiedział w ciągu tych lat.

Ranił ją słowami. Bardziej niż mieczem czy nożem.

U kogoś takiego jak Molly okrutne słowa wywoływały najsilniejszy ból, sprawiały największą przykrość.

Zastanawiał się, czy między nimi ułożyłoby się inaczej, gdyby spotkali się w innym momencie. Dziś już za późno, by o tym myśleć.

-Austin? Molly!

Serce zakołatało w piersiach.

Nie słyszał, jak weszła. Dlaczego wróciła? Czego chce? Nie znieś tego raz jeszcze. Ile razy mężczyzna może patrzeć na to, jak odchodzi jego ukochana kobieta, i nie zwariować?

Wcisnął pięści w oczy i wydał stłumione ziewnięcie, mając nadzieję, że dobrze udaje przebudzenie z drzemki.

- Co tu znów robisz? - spytał. Ile razy będzie musiał przez to przejść? Czy nie może po prostu odejść i nie wracać?

- Muszę cię o coś zapytać.

Nie odwrócił się. Wbił martwe spojrzenie w okno. Z łóżka widział chmury płynące po błękitnym niebie.

- Obiecałem, że zajmę się ptakami.

- Czy kiedyś powiedziałeś że jestem twoim życiem? Siedział całkowicie bez ruchu, nawet wstrzymał oddech. -Nie.

Słyszał, jak na toaletce po lewej stronie cyka zegar.

- Och!

Idź. Szybko weź to, po co wróciłaś, i idź.

- Skoro tego nie powiedziałaś... to czy kiedyś płakałaś?

Płakać? On? Nie płakał przed chwilą, tak jak nie płakał nigdy w życiu. Mężczyźni nie płaczą. Ojciec go tego nauczył.

- Kiedy poroniłam. Tik - tak, tik - tak.

Nie lubił myśleć o tym dniu. Wróciwszy do domu zastał Molly w kałuży

krwi. Był strasznie przerażony. A ona tak się go bała, jego, *swojego meza*, Bała się nawet jego dotyku.

Nie wiedział, że ludzie mają w sobie tak dużo krwi. Odniosł ją do samochodu i jak szalony popędził do szpitala, cały czas bał się, że w każdej chwili może ją stracić.

O mało nie umarła. O mało jej nie stracił. A parę minut później...

- Nigdy w życiu nie płakałem - oświadczył. Tik - tak, tik - tak.

- Och.

Wstrzymał oddech nastawiając uszu. Słyszał, jak się porusza: może odwraca się, by wyjść. Słyszał, jak idzie ku niemu stawiając niepewnie kroki.

Śmieszne, ale stracił ją znacznie wcześniej, wcale nie tamtego dnia. I nigdy mu się nie udało jej odzyskać.

W gardle go ścisnęło. Pod powiekami kręciły się łzy. Musi się jej pozbyć, jakoś zmusić ją do wyjścia.

Otworzył szeroko oczy, zamrugał powiekami. Uniósł się z łóżka, poszedł do toaletki i otworzył górną szufladę.

- Weź - powiedział wyciągając paczuszkę. - Baw się dobrze na Florydzie. - i rzucił jej opakowanie prezerwatyw.

Zaskoczona złapała je, a potem zobaczyła, co to jest. Prezerwatywy od doktora Fishera. Na policzki Molly wypłynął rumieniec, potem zbladła.

Natychmiast pożałował okrutnego gestu. Co się z nim dzieje? Parę minut temu wyrzucał sobie najmniejszą przykrość, jaką jej wyrządził. A teraz znów ją rani.

To dobrze, że odchodzi, ucieka od niego.

Popatrzyła na paczuszkę trzymaną w rękach, potem na niego.

- Myślałam, że się zmieniłeś - powiedziała. - Ale widzę, że jesteś zupełnie taki sam.

- Tak - przyznał. - Taki sam kretyn jak zawsze.

Włożyła paczuszkę do torebki i odwróciwszy się na pięcie wyszła.

Kiedy Molly dotarła do drzwi frontowych, zatrzymała się z ręką na klamce.

Pomyliła się, jeśli chodzi o Austina. A tak bardzo chciała mieć rację. Był taki daleki, zamknięty w sobie, okrutny. Dawny Austin w każdym calu. Otworzyła drzwi.

Oślepił ją blask słońca odbijający się w białych ścianach domu i masce samochodu. To dobrze, że poprosiła taksówkarza, by na nią poczekał, pomyślała. Była zupełnie otepiała.

Chciała, żeby Austin był kimś, kim być nie może. W gruncie rzeczy chciała, żeby był kimś, kto ją kocha. Kogo ona może kochać.

- Molly! . Austin.

Odwróciła się i zobaczyła go na szczycie schodów.

Czego on chce? Czy ma zamiar rzucić jej kolejną paczkę prezerwatyw?

-Kłamałem.

Nie był już tym znudzonym, obojętnym mężczyzną, którego widziała w sypialni. Niepokojny, oczy szeroko rozwarte, włosy sterczące na wszystkie strony, jakby czochrał je nerwowo.

- We wszystkim - powiedział, kurczowo ściskając poręcz. - Kłamałem odpowiadając na każde twoje pytanie.

Wziął głęboki oddech, niczym pływak przed skokiem na głęboką wodę.

- Kłamałem mówiąc o huśtawce w ogrodzie. To nie Chris ją powiesił, tylko ja. Skłamałem na temat grzybo-ptaka. Wiem, skąd się wziął. Kupiłem go dla ciebie, kiedy pojechałem na zjazd.

Co on opowiada?

Patrzyła na niego, jak zawsze unosząc wzrok ku górze. Gdyby tak zszedł na dół... ale on nie ruszył się ku niej. Tylko nagle opadł na górny stopień, łokcie oparł na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

Torebka upadła na podłogę, gdy Molly pobiegła po schodach. Już nie przejmowała się tym, że to ona pędzi do niego. Kucnęła obok Austina i chciała oderwać mu dłonie od twarzy, ale jego ramiona twardością przypominały stal. Zmienił pozycję i skrzyżowawszy ręce na kolanach, przycisnął do nich czoło.

- Austin?

Jedną dłonią wykonał bezradny gest. Nie mogę teraz mówić. W minutę później uniósł głowę. I w jego zielonych oczach ujrzała ból i smutek, a także... piękne, lśniące łzy. Miał mokre rzęsy. I mokre policzki. Położyła rękę na nie ogolonym podbródku, łzy zamoczyły jej palce.

- Płaczesz - powiedziała w zdumieniu, zdając sobie sprawę z dokonującego się cudu.

- Ty... - z trudem zaczerpnął powretrza - jesteś... moim życiem. Myślałem,

że potrafię żyć bez ciebie - mówił stłumionym głosem. - Ale **nie mogę**, - Załkał i znów ukrył twarz.

Pomyliła się co do niego. Zawsze uważała go za twardego, mocnego, **silnego**, obojętnego. A tymczasem był taki jak inni ludzie. Płomyk świecy **na** wietrze. Powoli się opanował i uniósłszy głowę znów na nią spojrzął. Nie miał już nic do ukrycia.

- Skłamałem też o płaczu - powiedział. - Rzeczywiście płakałem tego dnia. **Jestem** mięczak.

Te stracone lata to jej wina. A także jego. Nie pozwoliła mu się poznać; on nie próbował jej zrozumieć. Ale czy dwoje ludzi, a wtedy właściwie para dzieciaków, mogło postępować inaczej? Za nic w świecie nie chciałyby być znów taka młoda. Na zewnątrz rozległ się klakson.

- Twoja taksówka - powiedział chrapliwie Austin.

Nie rozumiała, jak to się stało, ale po tylu latach małżeństwa zakochała się w swoim mężu. I to uczucie było zupełnie inne niż wszystko, czego doświadczyła w życiu. To była miłość, jaką żywiła do Amy, do Melindy, Sammy'ego, Marka i coś więcej. To był ból. Pragnienie o nieznośnej słodczy. Utrata czegoś niesłychanie cennego tylko po to, by znaleźć **to** coś w najmniej oczekiwanej chwili, gdy człowiek już się pogodził z utratą.

To był dar.

- Czy ci będzie bardzo przeszkadzało, jeżeli taksówka odjedzie beze mnie? - spytała Molly.

Austin zamknął oczy i z jego piersi wyrwało się westchnienie. A potem objął **ją** ramionami i przytulił mocno do siebie, powtarzając w kółko **jej** imię i kołysząc się w rytm słów. Czuła szalone bicie jego serca tuż przy swoim.

Nigdy więcej nie będzie patrzeć do tyłu. Tylko w przód, bez żalów i wyrzutów.

Razem zaczną od **nowa**.

Kiedy taksówka czekała, a drzwi do domu stały otworem, Austin całował Molly mocno, długo i namiętnie. Pocałunki pełne najslodszych obietnic.

Otaczała ich woń róży wyhodowanej przez Molly, zapach silniejszy niż kiedykolwiek, dawny, dobrze znany, a jednak cudownie nowy.